

PROWINCJA

KWARTALNIK SPOŁECZNO KULTURALNY DOLNEGO POWIŚLA I ŻUŁAW • NR 4 (54) • 2023



Darczyńcy Kwartalnika Prowincja



**WOJEWÓDZTWO
POMORSKIE**

Publikacja została dofinansowana z budżetu
Samorządu Województwa Pomorskiego w ramach programu
„Rozwój kultury w województwie pomorskim w 2023 roku”



Bank Spółdzielczy w Dzierzgoniu



**FOBOS
ONE**

Wydawnictwo kwartalnika wspiera
Jacek Szarycki Prezes Zarządu Fobos One

PROWINCJA

**KWARTALNIK
SPOŁECZNO-KULTURALNY
DOLNEGO POWIŚLA I ŻUŁAW**

Nr 4 (54)

2023

Redakcja

Leszek Sarnowski – redaktor naczelny
Wacław Bielecki – sekretarz redakcji
Piotr Napiwodzki
Janusz Ryszkowski
Andrzej Kasperek

Stali współpracownicy

Krzysztof Czyżewski, Paweł Zbierski, Andrzej C. Leszczyński, Andrzej Lubiński, Jan Chłosta,
Wiesław Olszewski, Adam Langowski, Krystian Zdziennicki

Projekt okładki

Mariusz Stawarski

Str. III i IV

Prace plastyczne Anny Albrecht

Skład komputerowy i przygotowanie do druku

Ewa Krefft-Bładoszewska

Druk

Wydawnictwo Region Jarosław Ellwart, ul. Goska 8, 81–574 Gdynia

Wydawca

Stowarzyszenie Inicjatyw Obywatelskich „TAKA GMINA” w Sztumie
82–400 Sztum, ul. Królowej Jadwigi 10, tel. 693 527 614
prowincja@onet.pl, www.prowincja.com.pl

Dziękujemy za współpracę przy promocji kwartalnika:

Sztumskiemu Centrum Kultury, Kwidzińskiemu Centrum Kultury, Żuławskiemu Ośrodkowi Kultury oraz
Żuławskiemu Parkowi Historycznemu w Nowym Dworze Gdańskim

Miejsca w których można kupić kwartalnik „Prowincja”:

Kwidzińskie Centrum Kultury – Sklep Tabularium
Zakład fotograficzny Foto Mono II w Sztumie, Plac Wolności 19
Sklep papierniczo-biurowy „Kopiał” w Malborku ul. Żeromskiego 5

Wszystkim, którzy zechcą wesprzeć finansowo nasz kwartalnik podajemy numer konta wydawcy:

Stowarzyszenia Inicjatyw Obywatelskich „Taka Gmina” w Sztumie:
Bank Spółdzielczy w Sztumie: 42 8309 0000 0002 6741 2000 0010

ISSN 2082–0291

www.prowincja.com.pl

Nakład 400 egzemplarzy

SPIS TREŚCI

Pięćdziesiąta czwarta „Prowincja”	5
Poezja	
Sergiusz Mizera	6
Proza	
Marek Stokowski – Lotnicho	9
Łukasz Walendziak – Dumkibas	18
Esej	
Andrzej C. Leszczyński – Okruchy.....	26
Radosław Wiśniewski – Notatnik Zafroncia (1)	32
Na tropach historii	
Grażyna Nawrońska – Zapisane w drewnie	40
Radosław Kubus – Wyzwiska i gesty obraźliwe w użyciu mieszkańców Prus Królewskich	47
Jean Rapp – Gdańsk kapituluje.....	52
Piotr Zawada – Forsterowie z Mokrego Dworu na Żuławach Wiślanych	58
Ryszard Rząd – Historie nie tylko malborskie (13).....	67
Wędrowki po prowincji	
Piotr Napiwodzki – Patronka Dzierzgonia w Pałacu Dożów w Wenecji.....	78
Andrzej Lubiński – Zapomniani bohaterowie z Szadowa.....	83
Katarzyna Rozmarynowska – Wielki park w małych Polaszkach.....	88
Alicja Łukawska – Żuławskie opowieści	93
Arkadiusz Wełniak – Kiedy Kahlberg nazywano Łysicą.	106
Andrzej Kasperek – W Stegnie, nie tylko na plaży	114
Agnieszka Świercz-Karaś – Szkoła pod Starym Dębem	123

Wspomnienia

- Wiesław Olszewski – Rodzinne strony – Podlasie.....129
Leszek Sarnowski – Zakwas z dziadkiem, czyli z piekarni do powstania.....137

Prowincje bliskie i dalekie

- Marek Suchar – Jerozolima – Święte Miasto.....147

Muzyka

- Wacław Bielecki – Zapiski melomana158

Galeria Prowincji

- Mandala porządkuje świat – Z malborską malarką Anną Albrecht rozmawia
Alicja Łukawska.....169

Czego ci matka nie powie...

- Paulina Hoppe-Gołębiewska – O problemach (nie)młodej pisarki171

Recenzje

- Andrzej Lubiński – Pasje sztumskiego regionalisty173
Janusz Ryszkowski – Świat, jaki znałeś, umiera.....175
Andrzej Kasperek – Żuławy dla najmłodszych.....178

Noty o autorach..... 181

PIĘĆDZIESIĄTA CZWARTA „PROWINCJA”

Niewiasta niosąca światło po miejskich zaułkach Mariusza Stawarskiego. To zapowiedź dobrej nowiny i ostatniego w tym roku numeru naszego kwartalnika.

Poetycką frazą wraca do nas młody poeta i reżyser teatralny Sergiusz Mizera z Kwidzyna. Marek Stokowski przybliży nam nową powieść „Lotnicho”, której akcja rozgrywa się na Powiślu. Łukasz Walendziak zaprasza nas na dalszy ciąg swego życiopisania do nepalskiej dżungli.

Andrzej C. Leszczyński pisze o tych, którzy chcą „wiedzieć, żeby wiedzieć”, czyli o filozofach, i tym, co ich odróżnia od Prometeusza. Radosław Wiśniewski przygląda się początkom wojny na Ukrainie, podsumowując pierwszą część zapisków sentencjonalnie: „Jeszcze myśmy nie zginęli, póki oni żyją”.

Grażyna Nawrońska pisze o roli datowania wieku drewna w badaniach archeologicznych. Piotr Napiwodzki kończy swoje tłumaczenie fragmentów pamiętnika Jeana Rappa, napoleońskiego generała, gubernatora Wolnego Miasta Gdańska (1807-1813), a Piotr Zawada opowiada o rodzinie Forsterów, związanych z Tczewem i Mokrym Dworem, którzy wędrowali po świecie ze słynnym Jamsem Cookiem. Ryszard Rząd zaprasza do Parku Miejskiego w Tczewie, by przypomnieć jego początki z XIX wieku i postać założyciela parku – Williego Muscate. Często oburzamy się na współczesny język polityki: obraźliwy, deprecjonujący, a Radosław Kubus pokazuje, że taki język był w dość powszechnym użyciu w Prusach Królewskich.

Andrzej Lubiński przywraca pamięć o bohaterach walki o polskość z Szadowa. Arkadiusz Wełniak szpera w archiwach, by przedstawić początki powojennego osadnictwa w Krynicy Morskiej, a Andrzej Kasprek zaprasza do Stegny. Alicja Łukawska szuka ciekawych opowieści, tym razem w Zwierznie. Dominika i Kamil Kaczorowscy, szukając swego miejsca na ziemi, kupili starą szkołę w Stażkach na ziemi sztumskiej. Odtwarzają lokalną historię, budują swoją tożsamość i, oprócz opieki nad swoim dzieckiem, stworzyli pogotowie rodzinne dla dzieci niechcianych. Ich historię opisuje Agnieszka Świercz-Karaś. Katarzyna Rozmarynowska z troską przygląda się umierającemu parkowi w Polaszkach na ziemi sztumskiej, założonego w XIX wieku przez niemiecką rodzinę Klinggräffów. W poprzednim numerze Piotr Napiwodzki analizował wizerunek Św. Katarzyny, patronki Dzierzgonia, uwieczniony przez Michała Anioła w Kaplicy Sykstyńskiej. Tym razem odnajduje Ją wśród świętych na obrazie Tintoretta w pałacu Dożów w Wenecji.

Wiesław Olszewski kontynuuje wspomnienia o swoich korzeniach na Podlasiu, a ja z rodzinnych pamiętek buduję opowieść o moim dziadku Franciszku Milińskim, piekarzu i powstańcu wielkopolskim.

Po Jerozolimie i jej najważniejszych miejscach dla trzech religii – judaizmu, chrześcijaństwa i islamu, oprowadza nas Marek Suchar, który od roku kieruje studiami podyplomowymi „Judaistyka stosowana” na pockim Wydziale Psychologii SWPS.

W części artystycznej kwartalnika Wacław Bielecki recenzuje swoje muzyczne wojaże, a Alicja Łukawska pyta Annę Albrecht, malborską malarkę, dlaczego tworzone przez nią mandale pełnią funkcję nie tylko estetyczną, ale i terapeutyczną.

Na deser Paulina Hoppe-Gołębiewska – z jej rozterkami, nie tylko macierzyńskimi. Nawijając do tekstu autorki: redaktor nie tylko, że puścił tekst (czy tylko dla poprawy ego?), to jeszcze w zakończeniu tego wstępu (a myślałem, że wstępu nikt nie czyta) wyszły dwa zdania i to z pozytywnym przesłaniem: nie daj się zwątpieniom, frustracjom i innym -omom.

Ten numer trafi w Państwa ręce przed świętami Bożego Narodzenia i mam nadzieję, że przysporzy Państwu dobrej i ciekawej lektury. W imieniu własnym i redakcji życzę Państwu miłości, wolności, wzruszeń, zauroczeń i dobrych wieści, nie tylko z Betlejem.

Leszek Sarnowski
Redaktor Naczelny Kwartalnika „Prowincja”

Sergiusz Mizera



SENS

Nie ma świata, który znałaś.
Skończył się najpóźniej wtedy,
gdy zamknęłaś drzwi do łazienki,
popatrzyłaś w lustro, puściłaś wodę.

Tego dnia twoja nagość była dziełem sztuki tylko dla kropel,
którymi grawitacja zwykła rysować kontury twojego czoła,
zmęczonych ramion, łopatek i zewnętrznej strony ud.

Twoje piersi, nieprzydatne, niesłużące niczemu,
stopy zmęczone ciągłymi wędrówkami do tych samych miejsc.
Uciążliwe włosy, grymas uśmiechu podszyty szyderstwem dnia codziennego
i inne niedoskonałości twarzy.

Za dnia szarością, w nocy zaś potworem,
którego boisz się tylko ty sama.

Proszę, nie pytaj mnie o sens, nie pytaj mnie już o nic.
Boli mnie głowa. Boli mnie, rozrywa mnie na myśl
o twojej zbyt jasnej skórze, poszarpanej kroplami wrzątku.

Mogę tylko spróbować Cię kochać,
próbować wyrębać drogę do środka,
w którym przecież i tak nie znajdę niczego, co nie byłoby złudzeniem.

Możesz tylko dać się pokochać,
brudnymi palcami wygarniać ziemię, której solą jest strach.

Dać w mordę komuś, kto wciąż ci powtarza,
że przecież sens jest ukryty tylko w nieznanym.
Dać w mordę i odejść, lecz później powtarzać sobie,
że przecież on ma rację, a tylko ty nigdy mu jej nie przyznasz.

WYGNANIE Z RAJU

Widok z okna wciąż ten sam,
ale inaczej patrzę.
Inaczej widzą moje oczy,
bo i wzrok już nie ten.

A przecież jeszcze niedawno tamtędy chodziliśmy
do ogrodów, do kwiatów.

Patrz, jacy jesteśmy niezdarni.
Groteskowi — kroku na linie nie uczynimy,
a przepaść nam wcale do tego niepotrzebna.
I tak sami dla siebie jesteśmy przepaścią.

Naszą słabością największą i triumfem naszym
jest — o, ten zachwyt nad tym, co za horyzontem
i co w dłoni.
A w dłoni dłoń.

Naszą słabością największą i triumfem naszym
jest zaufanie, które prowadzi nas do złego i dobrego,
o które się nie prosi. A ja Cię nie prosiłem.
Nie prosiłem.

Nie wiem, czy powinienem mieć pretensje.
I do kogo?
Zresztą, jakie to ma znaczenie,
teraz, gdy cały świat zwałił się nam na głowy?

Jacy my jesteśmy mali
w obliczu tego wszystkiego.
Jacy my jesteśmy mali,
a wielcy tylko, kiedy kochamy.

A w dłoni dłoń.

NAWET GDY SKOŃCZY SIĘ ŚWIAT

Dni mijają,
gasną jak świetliki
na letniej, polnej drodze,
a każdy następny wydaje się krótszy.

Wciąż tak trudno jest mi uwierzyć,
że żyjemy pod tym samym niebem,
a w naszych oczach już od dawna zaczajona
pustka nie daje o sobie zapomnieć.

Dotąd właśnie dotarliśmy,
próbując nie pomylić apokalipsy ze zmartwychwstaniem.
Na nic przecież nie jest za późno,
bo nic się jeszcze nie zdarzyło.

Zamykam i otwieram oczy,
ale z twojej twarzy nie znika całun trosk i niedowierzania.
Zamykam oczy i otwieram,
rozdarty między oczekiwaniem i zapominaniem.

Siedzę na brzegu Styksu,
biegnę po Mlecznej Drodze do bram Irij,
spotykam dziwnego lekarza-nauczyciela,
który pyta, jak może mi pomóc?

Nasze słowa toną we wzruszeniach.
Sen się kończy.
Świt przybywa zbyt wcześnie.
Melodia staje się echem.

Kiedy umrę, obiecuję,
że pobiegnę w głąb lasu,
że popłynę na dno jeziora,
że będę Cię szukał,
nawet gdy skończy się świat.

Marek Stokowski

LOTNICO¹

[...]

Droga nam minęła bardzo prędko. Rafał grał na harmonijce. Ewka częstowała karmelkami, które przy pospiesznym pożegnaniu wcisnęła nam Vivi. Zjedliśmy je wszystkie. Czułem ciepło uda i ramienia siedzącej tuż przy mnie Marysi. Wargę już właściwie nie bolała. O czym więcej mogłem marzyć?

Żałowałem tylko, że wracamy, że już wkrótce będzie pociąg, jeden, drugi, i Warszawa, tam rozstanie no i koniec. Pewnie zobaczymy się dopiero w budzie, na matmie lub ruskim. Zemdliło mnie z lekka. Wróciłem więc pędem do skupienia na dotyku. I od razu było lepiej.

*

Z naszej skrzyni widzieliśmy tylko to, co dało się wypatrzeć przez szpary w plandece: migające drzewa, puste pola, jakieś lasy albo wioski. A potem, w Elblągu, migaly nam w oczach koszary, betony śródmieścia, w końcu żuk zatrzymał się opodal ogromnych budynków, najwyraźniej przemysłowych.

Makarewicz o nas nie zapomniał. Uchylił plandekę i spytał:

- To co, wysiadacie i będziecie szli na dworzec, czy chcecie zobaczyć prawdziwą fabrykę?
- Fabrykę! – wrzasnąłem.

Marysia jęknęła:

- No co ty? Wracamy! Wracamy do domu.
- To dla nas okazja wejrzenia w głąb rzeczy – przemówił Filozof. – Prawdziwy dar boży.

Makarewicz zdębiał i oniemiał. On jeszcze nie widział i nie słyszał Filozofa, który głosi coś z katedry.

*

Ewka z miejsca się zgodziła. Marysia westchnęła dużo głębiej niż poprzednio.

- Tylko jak wejdziemy bez przepustki? – zdradziłem wątpliwość.
- O przepustki się nie martwcie – Makarewicz się uśmiechnął. – Tu, panie, rybakom otwierają wszystkie bramy. Tylko cisza! Nie gadajcie.

Siedzieliśmy bardzo cicho, a żuk wjechał z nami do Zamechu.

O przepraszam – zanim wjechał, stał chwilę przed bramą. Ktoś z kimś gadał, coś wyjaśniał. Ktoś nadbiegł od strony zakładu i po chwili jego słowo przekonało kogoś, kto otwierał komuś szlaban.

¹ Fragment najnowszej, niepublikowanej jeszcze, książki Marka Stokowskiego, *Lotnico*, która ukaże się w przyszłym roku.

*

Potem jechaliśmy dosyć wolno, a ze wszystkich stron huczało. Huczało metalem. To nie był brzęk puszeki, jaką smarkacz kopie po asfalcie, tylko grzmoty Hefajstosa, huki młotów mechanicznych, dzwony grubych szyn żelaznych.

Furgonetka zatrzymała się na dobre. Wyszliśmy, pokracznie, bo ścierpły nam nogi. Przełaziłem nazbyt nieuważnie przy silniku z kutra Szwarca, no i powalałem sobie rękaw mojej pięknej, duńskiej kurtki. Martwiłem się strasznie, że smaru się nie da absolutnie niczym wyprać. Ewka trochę mnie uspokoiła. Powiedziała – są sposoby. Chciałem ją wyściskać, wycalować, tylko że gapiała się Marysia.

*

Nasz żuk, mówiąc prawdę, nie tyle zajechał, co raczej zawinął. Zawinął do portu. To nie jest przenośnia. Furgonetka stała na nabrzeżu rozległego doku portowego przy ogromnej hali przemysłowej. W doku cumowało kilka statków: pilotowe, pożarniczy i holownik, a właściwie pchacz szcepiony z barką. Port był rzeczny a nie morski, ale woda tak pachniała, jak ta we Fromborku, Kadynach czy Przebrnie.

Z hali wyszło kilku ludzi w znoszonych drelichach i koszulach flanelowych. Dwóch młodych, dwóch starszych. Tylko jeden wyszedł w kasku. Przywitali się z panami z Tolkmicka i Kadyn. Spozstrzegli Marysię i Ewkę, i od razu się zaczęło:

– A co to? Obstawa?

I śmiechy! I machania w naszą stronę. Raczej w stronę naszych dziewczyn.

– Wzięliśmy ich z Kadyn, na pociąg z Elbląga – odpowiedział Makarewicz. – Oni jadą do Warszawy.

– Tu, z Zamechu nic nie jeździ – tamci znów zaczęli się wygłupiać. – Najwyżej karawan ze zwłokami gospodarki.

I śmiechy! I machania w naszą stronę, żeby podejść do nich bliżej. No to dobra, podeszliśmy.

*

Oni byli pod wrażeniem. Wiadomo – Marysi i Ewki. Więc zaraz, szarmancko, po kolei przedstawili się z imienia, pseudonimu i nazwiska. To my też, natychmiast, elegancko: Ewa, Maria, Arek, Rafał. To witamy u nas na zakładzie. – Kusy, może oprowadzisz ładne panie? – Oczywiście, z miłą chęcią. – Przepraszamy, ale my spieszymy się na pociąg. – Pociąg srociąg, nie ucieknie. – Widziały już panie turbiny albo śruby okrętowe? – W telewizji. – W telewizji pokazują tylko bałach, Bolka, Lolka, Gierka i Breźniewa.

I znowu ryczeli ze śmiechu, a jeden od tego dostał kaszlu jak suchotnik. No to zaraz zapalili, by podreperować sobie płuca.

Wydawało się, że Ewka migiem wyrwie komuś papierosa i wskoczy do wody, żeby sobie palić, tam głęboko, jak mała syrenka, bez spojrzeń i uwag Rafała ascety. Być może to głupie, ale nałóg jest żywołem o wiele silniejszym od ognia i wody.

*

Przez otwarte wrota hali widać było stanowiska z ogromnymi maszynami i hasłami na tablicach: Żeby Polska rosła w siłę, a ludzie żyli dostatniej albo Pokój, praca i socjalizm. Gapiliśmy się na te potwory, mam na myśli urządzenia. Jeden z robotników rzucił do nas:

– To nasze turbiny. Sześćdziesiątki i siedemdziesiątki piątki.

– Pan podaje liczbę megawatów? – spytała Marysia.

Wywołała wielki podziw, już nie tylko dla urody.

– Tak, tak, o to chodzi. A robimy także sto dziesiątki, sto trzydziestki piątki no i czasem jakieś mniejsze.

– To na eksport? – spytał Rafał.

– Na eksport? Do Ruskich – odpowiedział mu ten w kasku. – Oni od nas biorą te turbiny, praktycznie za friko, a w zamian ze Śląska dostarczają im darmowy węgiel.

Roześmiali się tak dziwnie, jakby wcale się nie śmiali, tylko wyli do księżyca.

*

Przemówił najstarszy:

– Złodziejstwo. Od góry do dołu złodziejstwo. W dodatku udają, że płacą, my z kolei udajemy, że w ogóle pracujemy. I wszędzie badziewie: miękka stal i twarda guma. Mówię wam, i najbogatszy kraj by upadł, gdyby miał podobną gospodarkę. To wszystko się trzyma wyłącznie na czołgach, no a z drugiej strony – na kobietach.

– A dlaczego na kobietach? – podskoczyła chuda Ewka.

– Bo cokolwiek by się działo, jaka bida by nie była, one zawsze nas nakarmią, obszyją dzieciaki, przytulą do serca i jakoś ciągniemy.

– Ciągniemy jak woły – uściślił ten w kasku.

– Tamci mówią – wtrącił młody – że szkoły za darmo, szpitale za darmo, a ja nie mam za co kupić ciepłych butów, jeśli w ogóle jakieś buty gdzieś wynajdę, bo najczęściej nigdzie nie ma. A jak znajdę i jak kupię, to rozpadną mi się po tygodniu.

– Może tam, w Warszawie, macie lepiej – powrócił do głosu najstarszy – tam, bliżej ko-ryta, ale tutaj prości ludzie żyją marnie, pomiatani, bez szacunku, jak w klatce dla szczurów, tylko że się boją podskakiwać. Jeden boi się drugiego, a wszyscy się boją, że znowu nam zrobią, jak zrobili wtedy w grudniu. Chyba wiecie, co tu było?

Wiedzieliśmy nie za wiele, tylko trochę. Przykra sprawa. Naturalnie, wiedział Rafał, więc zaraz powiedział:

– Podobna masakra jak w Gdańsku, Szczecinie i Gdyni. Tylko o Elblągu się nie mówi.

– O, widzę, kolego, że ty jesteś łebski facet. Pewnie nie oglądasz telewizji. To zawsze wychodzi na dobre.

*

Szwarc okropnie już się niepokoił, bo stał z tym silnikiem na pacy jak głupi, a tamci gadali, palili i przez cały czas nie zapytali, co z motorem, jaki kłopot.

– Panowie, motorek... – Szwarc próbował się przypomnieć.

– Motorek, srotorek nie odpłynie, nie ucieknie – powiedział ten facet, co wspominał wcześniej o srociagu.

– Ja wam, dzieci... Mówię: dzieci, bo mam córkę w waszym wieku – odezwał się znowu ten starszy – Ja wam powiem, że jak przestaniemy trząść dupami i staniemy wszyscy razem, tak naprawdę wszyscy razem, to nie wiem, no nie wiem, czy tamte ich czołgi i inne armaty zatrzymają taką siłę.

Jakoś nikt się nie roześmiał. No bo z czego? Nawet huk z tej hali z turbinami nagle przysnął i opadał kurzem na posadzkę. Dziesięć osób stało i milczało. W basenie portowym manewrował perkoz z czubem.

*

Szwarc nie chciał już czekać. Skoczył prędko do szoferki i wrócił z pakunkiem.

– Dla panów. Świeżutki! Dziś rano złowione.

Panowie zajrzeli do środka sporej torby brezentowej.

– Węgorzyki, sęgorzyki! – z radością zawołał obsesyjny słowotwórca. – Ale tłuste, tłuste bestie! Wykarmione, czuję, na teściowej.

I śmiechy! I głośne zachęty, żeby Ewka i Marysia dotknęły węgorzy.

– To nie węże, nie ugryzą!

Sam sobie musiałem się przyznać do tego, że wcześniej używałem słowa robociarze. Od naszej rozmowy w Elblągu nigdy więcej tak nie powiedziałem.

*

Kiedy robotnicy się zabrali do rozładowania furgonetki, staliśmy nad wodą i Rafał oznajmił, spoglądając na tych ludzi i halę fabryczną:

– Tutaj czuje się nagromadzenie. Tylko czego? Gniewu? Bólu? Rozpaczy? Nadziei?

– Może jak w Warszawie przed powstaniem? – wyksztusiłem trochę mądrze, trochę głupio.

– Tu zaczęły mi się przypominać – wyszeptał Filozof – słowa z wiersza Czechowicza: przez nich runą twierdze Jerycha.

Rafał trochę się pomylił, coś niecoś pozmieniał w tym tekście, ale trafił w samą dychę.

*

Starszy, suchy Makarewicz nie rwał się do rozładunku furgonetki. Wystarczyło tam fachowców – dużo młodszych, doświadczonych w tej robocie i dysponujących akumulatorowym wózkiem transportowym. A pan Makarewicz podszedł do nas i grzecznie przeprosił, że powie coś może nie tego, ale musi to powiedzieć.

– Jestem pewny – mówił cicho – że z was są porządni i szlachetni młodzi ludzie, więc nigdzie, nikomu nie będziecie rozpowiadać, co i kto tu, panie, gadał. No bo jakby, nie daj Boże, ktoś niepowołany to usłyszał, to ja nie wiem, panie, czy ci chłopcy nie wpadliby prędko w poważne kłopoty i nie stała im się krzywda. I dlatego lepiej nie powtarzać.

– Rozumiemy. Rozumiemy. Nikt nie będzie rozgadywać! – zapewniła go Marysia, a my energicznie wspieraliśmy ją mruczeniem, jasne, jasne, nie ma sprawy.

I wtedy zjawiała się pani z termosami tak wielkimi, jak cysterny na paliwo. Ta pani też była naprawdę ogromna. Musiała mieć miejsce na ogromne damskie serce.

*

Pani wyjechała zza zakrętu między rzeką a budynkiem, na akumulatorowym wózku Stal 258 w kolorze olejno-niebieskim. Tamten wózek, który transportował silnik Szwarca pod dach wielkiej hali, miał kolor wytarty, raczej nie do ustalenia, i pochodził z innej sekcji. Niewiastę okrywał dość ciasny a zarazem kusy fartuch i czepek z koronką, też mały. Siedziała na ławce tuż obok kierowcy, może nawet trochę na nim. Kazała mu stanąć. Zahamował prawie na nas.

– A skąd wyśta so? – krzyknęła pani i zaśmiała się uroczco. – Co, goście? Będzieta pisały do szkolny gazetki o naszym zakładzie?

– No coś w tym rodzaju – Ewka popisała się refleksem.

– To piszta, to piszta, a tera napijta się kawki. Zbożowo, najzdrowszo!

Pani zgrabnie się zsunęła z pojazdu na ziemię i puknęła dłonią w termos, jeden z czterech na platformie. Obok stał wysoki kosz z kubkami.

– Rozwozimy kawulkę dla chłopaków z drugiej zmiany. Te cholery mówio gruźliczaka – zaśmiała się głośno – bo to niby naczyn mała i pijo po sobie.

Kierowca zapalił. Pani wyciągnęła pierwszy kubek, taki gruby, jakie królowały wtedy w barach i stołówkach zakładowych.

– Słodzono czy gorzko?

Dziewczyny nieśmiało poprosiły o słodzoną. Makarewicz, ja i Rafał skłanialiśmy się ku gorzkiej. Pani nalewała słodką z kurka, a gorzką czerpała z termosu z pokrywą. Czerpała ją chochlą z gnieczonego aluminium.

– Mężczyzny najczęściej wybierają właśnie gorzko. Bo chłopcy to miodu szukają gdzie indziej – mrugnęła do dziewczyn i znów się zaśmiała, poprawiając sobie z wdziękiem Hi-malaje upiersienia.

*

Nie mogła uwierzyć, że przyjechaliśmy aż z Warszawy.

– Co, z samy Warszawy?! – wołała.

Musieliśmy zaraz jej powiedzieć, gdzie pracują nasze mamy i nasi ojcowie, że wcale nie w rządzie, ile tak mniej więcej zarabiają i jak żyje się w stolicy. Przypuszczała, że ciekawie, bo ludzie tam mają od groma kawiarni i Pałac Kultury, i zoo z małpami. Zresztą widać po odzieniu, że dobrze żyjemy. Ładne ciuchy, kolorowe, jakieś takie zagraniczne.

– To napiszta o nas ładnie, żeby warszawiaki w waszej szkole przeczytały i wiedziały, że w Zamechu jest porządnie i częstują dobro kawko – roześmiała się jak zwykle.

Piliśmy z wdzięcznością. Wdzięczność bardzo zbliża ludzi.

Wargę miałem ciut spuchniętą (tak mówiła mi Marysia), ale już właściwie nic nie czułem – szczypania czy bólu. Pani w czepku i fartuchu przyglądała nam się z życzliwością. Nagle dziwnie spochmurniała. Poprosiła nas o kubki i wyraźnie chciała już odjechać. To chyba dlatego, że od strony wielkiej hali szedł ku nam marynarz. Poznałem po czapce.

*

To był bardzo rostry facet z obfitym zarostem, pewnie ponad pięćdziesięcioletni, ubrany niedbale i – uwaga! – z jednym okiem zasłoniętym czarną klapką. Stanął przy pojeździe z termosami.

– Pani Reniu, można kawkę? – zadudnił jak bęben.

– Pan nie jest z zakładu, a ciągiem się prosisz.

Jako go wyraźnie nie lubiła i nie chciała tego skrywać. Z tym że wzięła kubek i nalała. Ten mruknął: dziękuję, po czym wypił kawę duszkiem, chociaż była dość gorąca. I nagle zagapił się na nas, nie będąc już mówić, że najbardziej na dziewczyny, bo to chyba oczywiste.

– No, co się tak gapi? – ofuknęła go kobieta.

On ją całkowicie zignorował. Świdrował nas okiem i naprawdę dało się usłyszeć, że właśnie w tej chwili obracają mu się w łbie jakieś tryby i trybiki, jakby robił obliczenia. Coś wreszcie wyliczył i zwrócił się do nas:

– Szukacie roboty?

Przyznam, trochę mnie zatkało.

– Nie, wracamy do Warszawy – odparła Marysia.

– Jakim cudem do Warszawy?

Co mieliśmy odpowiedzieć?

– Ale macie trochę czasu? – znowu spytał, natarczywie.

– No właśnie nie mamy, jedziemy już dzisiaj – dalej rozmawiała z nim Marysia.

– Co pan tak ich nękaś i marudzisz? – wtrąciła się pani, już wyraźnie podenerwowana.

Zignorował ją ponownie. Mruknął do nas:

– Do Warszawy można i przez Bydgoszcz.

Pani tak patrzyła na tamtego, jak gdyby go chciała dzielić łychą z aluminium. Może nawet by to uczyniła, ale nadbiegł drugi facet. Nieduży, tłustawy, w wysłużonym garniturze i z poważnym neserem. Pani mocno się spłoszyła i zaczęła zwijać bufet.

*

Ten tłusty natychmiast wyskoczył z pretensją:

– Pani Reniu, no i co to? Pani zaspokaja nieznajomych, a załoga, co, poczeka?

– Już, już, panie inspektorze. Już jadę do hali zaspokoić naszych chłopów – nie zaśmiała się jak wcześniej.

Tłusty otaksował naszą grupę, włącznie z panem Kazimierzem i tym gościem w czapce szypra.

– Wszyscy obcy! – warknął głośno. – Jakim cudem tutaj u nas? Są przepustki, pozwolenia?

Nie czekał na naszą odpowiedź, tylko zwrócił się do marynarza:

– Pana znam, widziałem wczoraj. Pan dostarczył z Gdańska urządzenia.

– Od Fińczyków.

– Tak, z Finlandii. I to panu zeszli załoganci. I przez to pan stoi tu, w doku. Jak tak dłużej pan postoi, będzie kara, uprzedzałem. Wiem, że śruby już załadowane.

– No, ale mi zeszli, zapili, przepadli!

– A to nie jest nasza sprawa. Pan odpowiedzialny jest za ludzi.

– I słusznie. Akurat prowadzę najętą załogę.

– Tych młodych!?

- No właśnie.
 - Co, dziewczyny będą służowały?
 - Nie, co pan, chłopacy. Dziewczyny pomogą w kambuzie.
- Nas całkiem zatkało.

*

Pani w czepku pomachała do nas miło za plecami tego z neserem i zrobiła minę: To idiota, ale groźny. Władowała się na wózek i ruszyła w stronę hali. A inspektor spojrzął na nas i powiedział lodowato:

– Ja zaraz zawołam tu straż przemysłową i sprawdzimy, skąd ta młodzież, co tu robi i tak dalej.

Makarewicz chciał nas bronić, coś wyjaśniać, lecz uprzedził go marynarz:

– Już idziemy! My właśnie idziemy na pchacza. Klarujemy okręt i ruszamy.

– Ja chcę to zobaczyć – wycedził inspektor.

Cholera, zobaczył. Ze strachu poszliśmy, chociaż Makarewicz na nas patrzył takim wzorkiem, jakby chciał powiedzieć: Nie, nie idźcie, damy radę. To był bardzo fajny facet. Cokolwiek mrukiwy, ale czuło się, że dusza człowiek. Takim aż się chce po cichu błogosławić.

*

Dreptaliśmy jak barany, za plecami marynarza. Sunęliśmy wzdłuż nabrzeża w stronę barki, a Marysia się szarpała i syczała do nas:

– Nie, nie idę! Nie idę z tym dziadem! Wychodzimy stąd, już, zaraz! Śmigamy na dworzec i to, błagam, jak najprędzej!

My do niej:

– Daj spokój. Ty chcesz, żeby tamten wezwał jakichś, kurde, ochroniarzy, i żeby nas, nie wiem, posadzili za sabotaż? Przeczekamy na tej barce, a potem wyjdziemy.

To ją ciut uspokoiło, choć żarzyła się rumieńcem. Miała chyba nadciśnienie. A Ewka drobiła za milczącym Filozofem. Ja cieszyłem się z przygody. Jeszcze nigdy nie zwiedzałem żadnej barki ani holownika.

*

Weszliśmy na pokład Lucyny. Pokład pchacza, a nie barki, żeby wszystko było jasne. To było wchodzenie bez trapu, więc pomogłem Ewce i Marysi.

Znaleźliśmy się na pchaczu wyłącznie dla picu, umykając przed tym tłustym, a tymczasem jednooki, z którym nie zamieniliśmy wcześniej ani słowa, a jeżeli to dwa zdania, te zdania Marysi, zaczął nam wydawać polecenia, właściwe rozkazy. I to bardzo dziwnym tonem. Polecenia dotyczyły jakiejś pracy na pokładzie.

– Zaraz, zaraz... – wykrztusiłem.

A ten do mnie:

– Jakie zaraz?! Ja tu jestem (przeklął) kapitanem!

Filozof spokojnie pokazał nam gestem, że schodzimy na nabrzeże. I równie spokojnie zeszedliśmy.

*

Tamten aż wychylił się przez reling i wyhuczał w naszą stronę:

– Pierniczone warszawiaki! – właściwie on użył mocniejszego wyrażenia. – Ja was tu ratuję (przeklął) przed tłusćciochem, a wy co, stroicie (przeklął) fochy?

– Chyba zaszło nieporozumienie – odezwał się Rafał swoim tonem intelektualnym. – Owszem, tak, jesteśmy panu wdzięczni za pomoc w kłopotcie, to jednak nie znaczy, że wyraziliśmy zgodę na cokolwiek, na jakiś rejs z panem i pomoc na statku. O tym wszystkim, to, ewentualnie, możemy dopiero spokojnie pomówić. W dodatku bez przekleństw.

– Idziemy, idziemy! Idziemy na pociąg! – błagała Marysia.

Tamten się wyraźnie zagotował, z tym że potrzebował nas jak tlenu. Nawet my to świetnie widzieliśmy, że jedna osoba absolutnie nie da rady samodzielnie obsługiwać tego pchacza razem z barką, to znaczy sterować i odcumowywać lub cumować, chronić burty w śluzach i tak dalej. To pewnie dlatego nie wydarł się na nas. Zaczął ostro, ale potem zmienił ton na łagodniejszy:

– Będę kłął, jak będzie mi się chciało, więc, hipis, bez uwag! A o innych sprawach pogadajmy. Proponuję: rejs na pchaczu do Bydgoszczy, czyli w stronę waszych domów. Ja wam oferuję tę przejażdżkę, relaksik na wodzie, wczasowe widoczki, spanie nocą w ciepłych kojach, podstawowe żarcie i herbatę, a wy macie wykonywać różne prace na pokładzie. Chłopaki pomogą na śluzach i zajmą się sprzętem, a dziewczyny posprzątają trochę w mesie i będą gotować, jak kuk okrętowy. Chyba lepiej (przeklął) być nie może?

– Czyli chce pan mieć załogę, ale taką, której ani grosza się nie płaci – skwitował to Rafał.

– No jak (przeklął) się nie płaci! A żarcie, wycieczka, wakacyjny relaks i połowa, darmowa połowa dojazdu do domu?! Zresztą, nie wyjdziecie stąd, z Zamechu. Dorwą was przy bramie albo wcześniej i powyrywają nogi z dupy. Będzie (przeklął) pałowanie a potem kolegium.

– Musimy pomyśleć – odpowiedział mu Filozof.

Odeszliśmy od nabrzeża i zaczęła się dyskusja.

*

Marysia, wiadomo, nalegała energicznie, żeby zaraz wyjść do miasta i gonić na dworzec. Ona jakoś tam zagada przy bramie z ochroną, mrugnie oczkiem, będzie dobrze. Ewka stała i czekała, co powie Filozof. A ten, że co prawda mamy do czynienia z arcychamem, ale rzeczywiście tu, w Zamechu, mogą spotkać nas nieprzyjemności, może nawet areszt i kolegium, bo to jest fabryka o znaczeniu strategicznym, a więc opuszczenie tego miejsca nie przez bramę, ale tylnym, wodnym wyjściem, jest sensownym rozwiązaniem.

– Poza tym – wtrąciłem – to dla nas okazja, żeby się przepłynąć do Bydgoszczy, poznać życie marynarzy. To przygoda jakby z marzeń! W budzie będą pisać jakiś sprawdzian, a my: wolność i żegluga!

Marysia w emocjach aż podskakiwała i kuciała, nieszczęśliwa mamrotła:

– Nawet nie ma skąd zadzwonić, a to jest naprawdę, no naprawdę kawał chama.

Ja jej na to, że on jeden, a nas czworo, damy radę, będzie dobrze, zadzwonimy gdzieś po drodze. Filozof mnie poparł i zachęcał, by spróbować, bo ryzyko nie jest wielkie. Ewka pokiwała głową i bąknęła, że jak coś, to można wysiąść.

– Ja nie wiem, ja nie wiem – smędziła Marysia. – Mnie się ta impreza nie podoba. Zresztą, ile do Bydgoszczy płynie barka? Pewnie z miesiąc albo dłużej!

– Jak prosiłaś nas w Kadynach, to od razu zostaliśmy – użyłem mocnego, nieładnego argumentu.

I dziewczyna się poddała.

*

Nim weszliśmy znów na pokład jednostki Lucyna, odbyła się krótka rozmowa z Cyklopem. To Filozof go tak nazwał, gdy dyskutowaliśmy nad tym, czy płyniemy, czy idziemy do więzienia. Tamten stał, jak wcześniej, przy relingu w pobliżu sterówki. Patrzył z góry. Kończył palić.

Rafał zwrócił się do niego, spokojnie, z uśmiechem:

– Możemy popłynąć i możemy panu pomóc. Będziemy się starać zachowywać jak wodniacy, robić wszystko, jak należy, ale nie będziemy pana podwładnymi. Raczej gośćmi. Pan się zgadza?

Tamten splunął papierosem i trafił dokładnie do wody między burtą a nabrzeżem. Kiwnął głową, ale nie powiedział ani słowa.

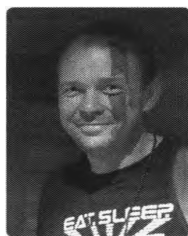
– Jeżeli się zdarzy coś złego, zejdziemy na ląd i po wszystkim – zakończył Filozof.

Szyper nadal patrzył na nas w zupełnym milczeniu. Po chwili wykszusił:

– Już, włąćcie.

Zaczęło znów padać. Wleźliśmy.

[...]

Łukasz Walendziak**DUMKIBAS****MAŁYRAM**

MałyRam miał czternaście lat, gdy wyruszył na podbój stolicy w poszukiwaniu wrażeń, wyzwania i przygód. Dopuszczał się przy tym niemałego wykroczenia. Odwiedził dom dziadka i oznajmił, że ojciec potrzebuje pewnej sumy pieniędzy, w konkretnym celu. Oszustwo nie wzbudziło żadnych podejrzeń, pewnie dlatego, że dzieciak nie sprawiał wcześniej problemów wychowawczych, a w szkole rezultaty miał ponad przeciętną. Akcja była zaplanowana, plecak spakowany. Gdy tylko gotówka znalazła się w jego posiadaniu, ruszył w drogę. Przez pierwsze tygodnie pobytu w stolicy trwoniał to, co miał na start, smakował życia, bawował w najlepsze. Gdy pieniądze się skończyły, nastąpiło brutalne przebudzenie. MałyRam wiedział, że powrót do domu nie wchodzi w rachubę. Znalazł pracę w restauracji niedaleko dworca autobusowego. Rozpoczął na zmywaku. Garów do szorowania w takim lokalu nie brakowało. Dzień w dzień tysiące osób opuszczają stolicę lub wracają do Katmandu z rodzinnych stron. Frekwencja gwarantowana. Tory kolejowe to w Nepalu, póki co, melodia przyszłości, a lokalne połączenia lotnicze to luksus, na który stać wyłącznie zamożnych. Autobusy zatłoczone i załadowane rozmaitym mandżurem to stały element krajobrazu. Start do łatwych nie należał, ale MałyRam już wtedy był zawzięty, przebiegły i rezolutny. Szybko zyskał sobie sympatię nowego szefa i jeszcze przed szesnastymi urodzinami został jego prawą ręką. Wspominając tamte dni, mówił o upokorzeniu, jakie spotkało go, gdy musiał szorować gary przez osiemnaście godzin na dobę, a także o satysfakcji i dumie, gdy jakiś czas później to on mógł rozkazywać znacznie starszym od siebie podwładnym. Uderzające były dla mnie pewne szczegóły, kompletny brak szacunku i empatii wobec słabszych, uwielbienie silniejszego szefa oraz niesamowita przebiegłość. Szakał jak z bajki.

Kilka lat później MałyRam wyruszył na podbój Indii. Wykorzystując swoje doświadczenie w gastronomii, mając wrodzony dryg do manipulacji, skłonności do drobnych krętaństw i tendencje do wykorzystywania ludzi jak tylko się da, radził sobie lepiej lub gorzej przez kolejnych kilka lat. Przyszedł moment, że miał już dość imprez i życia na wygnaniu. Spędził poza domem dobrze ponad dekadę, wrócił jak ten syn marnotrawny, splekany, zmęczony życiem, niepokieszony. Rodzina powitała go z radością i od razu zaproponowała rozwiązanie, które zatrzyma ich syna w rodzinnych stronach na stałe. Związek małżeński z niezbyt piękną, ale wywodzącą się z bardzo bogatej rodziny kobietą. MałyRam przystał na tę propozycję momentalnie. Dziś małżeństwo ma dwójkę dzieci, żona prowadzi niewielką restaurację w miejscowości Sauraha, a mąż ma naprawdę duży agrobiznes na skraju mojej wioski.

Gdy po raz pierwszy podjąłem tam zatrudnienie, były to w zasadzie wyłącznie stawy rybne. Obowiązków było sporo, miejsce malownicze. Ekipa robotników z wioski stawiała dużą konstrukcję, która później miała służyć hodowli kurczaków. Szef nie pił i nie tolerował alkoholu w pracy, co miało dla mnie istotne znaczenie, gdyż jako emerytowany alkoholik mam alergię na wypitych wesołków. Płacił mi grosze – dzieńka wynosiła trzy dolary, ale co i rusz wyskakiwał z jakimś prezentem lub zabierał mnie na szybką eskapadę po okolicy. Raz pojawił się z ogromnym indykiem, którego miałem okazję pozabawić życia. Żaden to zaszczyt czy przyjemność, stało się. Szef przyrzucił przepyszną kolację. Współpraca trwała dwa miesiące, przyszła zima i stwierdziłem, że czas odwiedzić kilku starych znajomych w Katmandu. Pożegnaliśmy się w zgodzie, szef rzucił coś ekstra na drogę i zapewnił, że zawsze jestem mile widziany, zawsze znajdzie się dla mnie robota. Nic dziwnego, zasuwałem za dwóch, nie narzekałem na skromne wynagrodzenie, a dodatkowo fakt, iż „cudzoziemiec pracuje na jego farmie”, wzbudzał uznanie i zazdrość w środowisku wioskowych przedsiębiorców. Minęło kilka miesięcy i znów byłem w okolicy. Nie omieszkiałem odwiedzić byłego miejsca pracy. MałyRam żalił się, że właśnie musiał pogonić swoich dwóch pracowników, bo to leniuchy i złodzieje. Kilka dni później zdecydowałem się przystać na jego propozycję. Hodowla kurczaków, dwa i pół tysiąca sztuk. Szef zasuwał razem ze mną, dzięki czemu nie trzeba było zatrudniać nikogo więcej. Roboty było od groma. Zarobki podskoczyły mi do pięciu dolarów dziennie, poza tym satysfakcja i zbierane cenne doświadczenia w zakresie hodowli i uprawy. Ryby to dobry biznes, przyzwoite pożywienie, niewielkie ryzyko. Za to te ptaszyska...

Taki cykl w przypadku przemysłowej odmiany kurczaka to 45 dni. Od pisklaka do nafaszerowanej turbo białkiem i antybiotykami trzykilowej porcji drobiu. Po drodze trzysta kurczaków padło, grzebanie ich to był mój wieczorny obowiązek. Przełożony wyjaśnił mi, że 2200/2500 to świetny wynik. Po tym jak samochody dostawcze z klatkami na przyczepie zabrały wszystko to, co przeżyło, w ostatnią podróż, przyszedł czas na chwilę relaksu i odpoczynku. Wiedziałem już wtedy, że to był mój pierwszy i ostatni epizod na fermie drobiu. Z kolei MałyRam planował, jak upchnąć w tych samych warunkach cztery tysiące sztuk. Moje miejsce zajęło dwóch nowych pracowników. W połowie cyklu hodowle nawiedziła jakaś ptasia grypa i cztery tysiące kurczaków padło w przeciągu kilku dni. Z pewnością był to paskudny widok. Właściciel sporo stracił, ale on się tak łatwo nie poddaje...

PASZA

Pasza swoją przygodę w Azji rozpoczął kilkanaście lat temu. Dziesięć lat temu w Indiach urodził mu się syn. Jego żona pochodzi z Kazachstanu, jako matka dziecka dostała zgodę na pobyt stały. Sympatyczny Rosjanin, ojciec chłopca nie miał tyle szczęścia. Sześć miesięcy z rodziną, sześć na wygnaniu. Dwa razy wrócił na chwilę do St. Petersburga, jakiś czas pracował na statku pod flagą Kambodży, w międzyczasie był na Sri Lance i Malediwach. Poznaliśmy się oczywiście w Nepalu jakieś dwa lata temu. W miejscowości Pokhara, która jest najbardziej popularnym turystycznym kurortem w kraju. Taki plus minus Sopot. Nad jeziorem Phewa aż roi się od rozmaitych restauracji i sklepów z pamiątkami.

Zakwaterowanie można znaleźć w cenie 2 dolarów za dzień – warunki oczywiście spartańskie. Nie brakuje też ogromnych hoteli o naprawdę wysokim standardzie. Przy sprzyjającej pogodzie, umiarkowanym zachmurzeniu, wrażenie robi widok szczytów górskich spowitych śniegiem. Annapurna i Machhapuchre to te najbardziej znane. Pasza pracował wtedy jako elektryk i specjalista od napraw wszelakich w jednej hostelo-restauracji. Miejsce było bardzo gustownie wykończony bambusem, pełno tam było rozmaitych roślin, malowideł, ciekawych książek do poczytania. Od początku złapaliśmy świetny kontakt, raczyliśmy się wzajemnie anegdotami z przeszłości. Nie dość, że jesteśmy rówieśnikami, nasi synowie także, jednak ja ze swoim nie miałem wtedy żadnego kontaktu. Pasza natomiast skazany jest na przymusową rozłąkę od czasu do czasu, ale pozostaje z młodym w regularnym kontakcie. Jego syn chodzi w Indiach do szkoły założonej przez rosyjską społeczność, mówi zarówno po rosyjsku, jak i angielsku, jeździ na deskorolce, maluje, gra na perkusji...

Tym razem coś poszło nie tak i Pasza utknął w Nepalu na kilkanaście miesięcy. Podczas gdy ja zbierałem swoje doświadczenia w Chitwan, Pasza pracował na plantacji herbaty w Ilam. Wprowadził szereg ciekawych rozwiązań dotyczących nawadniania, sortowania, suszenia liści. Ten gość to prawdziwy inspektor gadżet. Domorośły haker, elektryk, mechanik, hydraulik. Ma na koncie kilka własnych wynalazków. Jakiś czas temu dostałem od niego wiadomość: został głównym dowodzącym na fermie kóz w Chitwan, zapytał, czy nie chciałbym go odwiedzić, zaproponował współpracę. Ja przebywałem wtedy w województwie Nawałparasi, tam w miejscowości Dumkibas odbywał się festiwal muzyki elektronicznej REJUVENATE THE PSYCHE, przy którego organizacji pracowałem. Tej roboty jest jednak tylko dwa tygodnie, odpisałem więc, że za kilka dni wpadnę na szybkie rozeznanie. Poza blisko pięćdziesięcioma kozami na miejscu były jeszcze trzy konie, co nieco gęsi i dwa psy. Gospodarstwo znajdowało się dobre kilkadziesiąt kilometrów od mojej wioski, w miejscowości Meghauri, która leży po drugiej stronie parku narodowego. Dla mnie była to nowa okolica, taka odmiana miała swój urok. Właścicielem był prawnik ze stolicy. Znudzony papierkową robotą i życiem w mieście zapragnął powrotu na łono natury, pracy u podstaw. Nie miał jednak zielonego pojęcia o hodowli zwierząt. Kilka dni po tym, jak się tam pojawiłem, udał się z powrotem do stolicy organizować wesele swojej córki. Zostało nas trzech: Pasza, ja i pomocnik, którego zatrudnił właściciel. Ten jednak potrafił zniknąć na kilka godzin i wrócić w takim stanie, że potrzebował porządnej drzemki, aby nadawać się do czegokolwiek. Ciężko było mu powierzyć jakieś odpowiedzialne zadanie, ciężko było go też specjalnie o coś winić. Niezdara taka. W międzyczasie odebraliśmy trzy porody młodych koźląt, a konie przestały wyglądać na wychudzone i zaniedbane. Zaczęliśmy nawet urządzać sobie na nich wieczorne przejażdżki po okolicy. Pełna arystokracja. Wspaniałe wspomnienia. To, co wcześniej przypominało oborę, teraz wyglądało jak przyzwoita stajnia. Współpraca z Paszą układała nam się tak dobrze, że po jakimś czasie nawet nasz pomocnik złapał właściwy rytm. Prawnika powrócił po trzech tygodniach i przez kilka godzin wyraził wdzięczności i podziękowania przeplatał komplementami pod naszym adresem i obietnicami na przyszłość. Zwróciłem mu uwagę: „ostatecznie był to blisko miesiąc ciężkiej pracy i chyba należy nam się jakieś wynagrodzenie”. Wieczorem szef wychylił kilka głębszych, a w środku nocy zaczął wydawać mi zupełnie absurdalne polecenia, które kompletnie zignorowałem. Następnie posypały się w moim kierunku obelgi i pogrożki. Nie wdawałem się nawet w zbędne dyskusje. Spakowałem się momentalnie i oznajmiłem

krótko – do widzenia. Na wspomnianej wcześniej imprezie zarobiłem więcej niż tutaj dostałbym przez kolejny miesiąc. Tym razem miałem komfort wyboru, szkoda było mi tylko rozstawać się z moim druhem. Ten najpierw namawiał mnie, żebym poczekał do rana z ostateczną decyzją, ale po krótkiej wymianie argumentów za i przeciw również postanowił ruszyć w dalszą drogę. Facet nie był zły, alkohol jest. Jeszcze przed wschodem słońca ruszyliśmy we wspólną podróż. Kierunek wioska. Stawy rybne Małego Rama.

Sporo wody upłynęło w rzece Raptii od kiedy przekonałem się, jak paskudny i śmierdzący jest los kurczaka przemysłowego. Miejsce zmieniało się powoli we wschodzący resort oraz restauracje. Została oczywiście hodowla ryb. Jeden ze stawów był obecnie osuszony, szkielec z żelaza na jego środku zwiastował, że za jakiś czas będzie można pic piwko i wcinać smażoną rybkę na swoistej werandzie. Mnóstwo kwiatów, rozmaite warzywa, drzewa papai i bananowce dookoła. Po kurczakach ani śladu, ich obóz koncentracyjny przechodzi teraz delikatny remont, będzie służył za więzienie dla bawołów. Stanowiliśmy z Paszą zgrany duet, doskonale się rozumieliśmy, uzupełnialiśmy nawzajem. Obaj byliśmy już solidnie otrzaskani w lokalnych warunkach. Za pomocą jednego z wynalazków, który ciął dwulitrowe butelki po napojach gazowanych, uzyskaliśmy dziesiątki metrów plastikowej wstążki, odpornej na wilgoć i temperaturę, ale wystarczająco silnej, by skonstruować tratwę czy drabinę. Cały zabieg wzbudził ogromny entuzjazm pośród lokalnych przedsiębiorców. Wszystko, co organic albo recycling, momentalnie stało się modne. Podczas gdy ja składałem most z bambusa (było to zadanie mało skomplikowane, ale niezwykle mozolne), „Pomysłowy Dobromir” czarował kolejnych, potencjalnych inwestorów. Zainstalował baterie słoneczne, Wi-Fi, prowizoryczną kamerę CCTV za pomocą komputera z drugiej ręki i dwóch popsutych telefonów. Mały Ram szukał kolejnych partnerów do współpracy, poprzednich oszukał i spławił. Ponieważ nigdy dobrze nie płacił, od początku traktowaliśmy ten epizod jako ewentualną trampolinę i tak zwany poligon doświadczalny. Nie mieliśmy żadnych z góry narzuconych obowiązków, traktowani byliśmy jako goście honorowi. Za chwilę posypały się zaproszenia: „musicie odwiedzić moją farmę świniaków”, „ja też chciałbym CCTV w mojej restauracji”. „Takich trzech jak nas dwóch, to nie ma ani jednego” – jak mawia klasyk. Wtedy do gry wkroczył Mamaszri. Na język polski można by to przetłumaczyć „Arcywujek”. Facet już dobrze po pięćdziesiątce, z przeszłością w Chinach i Hong-Kongu. Nie znam szczegółów, ale wiem, że nie wybył tam, by grać w tenisa stołowego. Jakieś lewe interesy z obcą walutą w roli głównej. W efekcie: dwa lata więzienia w Szanghaju, a następnie powrót w rodzinne strony. Twierdził, że się opłacało. Wieknie uśmiechnięty, żartobliwie usposobiony i elegancko ubrany. Wjechał na stawy rybne swoim jeepem z przyciemnianymi szybami. Słabo mówił po angielsku. Moja znajomość nepalskiego oraz wynalazki Paszy sprawiły, że lekką ręką wyrzucił kilka tysięcy dolarów na budowę trzech pokoi gościnnych o przyzwoitym standardzie. Został współnikiem. Mały Ram obiecał zwrócić koszty budowy, jak tylko inwestycja zacznie przynosić zyski. Póki co jeszcze nie przynosi, ale nie zdziwiłbym się, gdyby pieniądze nigdy nie wróciły do inwestora. Z czasem Mamaszri oraz Mały Ram przestali się dogadywać, a ten pierwszy obrał sobie za punkt honoru zabrać nas ze sobą i wystartować z własnym miejscem.

Lokację miałem upatrzoną już dawno, na temat charakteru miejsca, ewentualnych możliwości, o pomysłach i marzeniach rozmawialiśmy z Paszą na okrągło przez ostatnie

dwa miesiące. Okoliczności wydawały się nad wyraz sprzyjające. Mamaszri gwarantował, że inwestuje we wszystko, co uznamy za stosowne i naprawdę na to się zanosilo. Umowa wynajmu tego kawałka ziemi na skraju dżungli została zawarta na dziesięć lat, negocjacje przebiegły nad wyraz sprawnie. Pieniądze za pierwszy rok przekazane „od ręki”. Następnie materiały budowlane oraz załoga do pracy, sprawy przybrały błyskawiczny obrót. Na terenie był opuszczony budynek w stanie surowym, beton, potencjalne dwa pokoje. Wybite szyby i ślady schadzek młodzieży z okolicznych wiosek. Gęste zarośla, kompletna dzicz, skrawek do zaaranżowania pomiędzy parkiem narodowym Chitwan a gigantyczną plantacją bananów. Trzy kilometry na dziki wschód od wioski, którą już można by określić mianem jakichś slumsów rybackich. Przyroda intensywna aż do bólu. Koniec świata, raj na ziemi. Wesoly wujek w roli inwestora i domorosły multi-talent w roli współnika. Na początku karczowanie terenu, szybki remont pustostanu i stawianie prowizorycznej kuchni oraz latryny. Byłem więcej niż podekscytowany. Byłem na najlepszej drodze, by spełnić marzenie swojego ojca z czasów studenckich. Urządzić sobie leśniczówkę z prawdziwego zdarzenia. Stworzyć miejsce, z którego nie będę chciał się ruszyć. Życ sobie tak szczęśliwy, jak las tropikalny w czasie letniej burzy. Na wieki.

EDMUNDO

Słonie to potężne, dumne i niezwykle inteligentne zwierzęta. Tutaj w okolicy, takich słoni, które funkcjonują w niewoli i niedoli, nie brakuje. Kilkaset metrów od naszej chaty mieści się posterunek straży leśnej. Mieszkają tam dwa słonie. Zwierzęta pomagają dźwigać ścięte drzewa dla przykładu. Jakiś czas temu, podczas gdy zonglowałem piłką w ogródku, słonie wracały z roboty. Ten duży miał zrezygnowany wzrok niewolnika, ten mały wodził trąbą za piłką do góry i w dół, powiedziałbym nawet, że się uśmiechnął. Mamaszri zaprosił kolegów „słonio-jeźdźców” na porcje suszu roślinnego, a ja miałem przyjemność odbyć krótki trening z małym słoniem. Podaje piłkę po ziemi – ten kopie prawą nogą, powtórka – lewą nogą, piłka zeszła z kopyta i poleciała na bok. Słoń pokręcił trąbą z niezadowolaniem. Na koniec pokazałem, jak odbijać piłkę głową, zwierzak okazał się bystrym uczniem. Towarzystwo zanosilo się ze śmiechu, kręciło filmiki, klaskało. Ja całe popołudnie rozpamiętywałem, jakie to było sympatyczne uczucie trenować z uszatym. Przecież on wyglądał jak młody Dumbo w momencie, gdy nauczył się latać. Nadałem mu imię Edmundo. Piłkarz Edmundo, reprezentant Brazylii z lat 90, nosił pseudonim „zwierzak”. Wszystko się zgadza. Przygarnął bym go na stałe, gdyby nie cena odstępnego...

Dzikiego słonia widziałem dwa razy w życiu. Po raz pierwszy w parku narodowym Bardia na dalekim zachodzie kraju, gdzie wybraliśmy się z Ziomkiem pozwiedzać. Przechadzał się dostojnie na skraju lasu po drugiej stronie rzeki. Gigant, prawdziwy król dżungli. Wspominałem już, że to zwierzęta niezwykle inteligentne, ten od razu wyczuł, że my szanujemy status gościa i przybyliśmy wyłącznie nacieszyć się widokami rezerwatu. W pewnym momencie na chwilę przystanął i coś jakby nas pozdrowił. Ziomek jest ścisłym vegetarianinem, a ja podczas wspólnych podróży też wskoczyłem na dietę bez mięsa. Słonie to szanują.

Po raz drugi w miejscowości Baghmara. Najpierw dobiegły mnie krzyki wrzaski i piski, następnie rytmiczne wstrząsy. Jak taki gigant tupnie, to delikatny wstrząs niesie się na sto metrów. Wielki, wściekły i dziki, mamut normalnie jak z epoki lodowcowej, staranował betonowe ogrodzenie i próbował dostać się do uwięzionej samicy. Tym razem się nie udało, zdecydowała przewaga liczebna i technologiczna. Zgromadzenie użyło: kamieni, cegieł, metalowej rury wielkości latarni i płonącego drewna. Zmusiło samca do odwrotu. Innym razem dziki słoń rozbroił ogrodzenie pod wysokim napięciem za pomocą drzewa, które staranował własnym ciężarem, a później złapał w trąbę. To już wiem z opowieści.

Znacznie więcej miałem spotkań z panem nosorożcem. To chyba najbardziej wyluzowane zwierzę, jakie miałem okazję podziwiać na łonie natury. Jeżeli grzyby zawierające psylocybinę rosną na bazie ichnich odchodów, to może to sugerować, że były wcześniej konsumowane i tłumaczyć beztroskę oraz swobodę, z jaką żyją te zwierzęta. W okolicy miejscowości Sauraha „nosy” przywykły do widoku turystów. Pozują wdzięcznie to zdjęć z pełną gracją i szerokim uśmiechem. Jedna sierota zadomowiła się w miasteczku całkowicie i stała się jej żywą maskotką.

Pamiętać jednak trzeba, że jak się nadeptnie na odcisk na przykład samicy z dziećmi gdzieś głęboko w lesie, to może dojść do tragicznego wypadku. Pewnego razu po południu wracałem sobie na wioskę leśnym skrótem i omal nie wpadłem na nosorożca, który kompletnie się mnie nie spodziewał. Warknął tylko, szurnął prawą kończyną przednią, spuścił łeb i już szykował się do szarży. Ponieważ momentalnie oddaliłem się sprintem, lawirując między drzewami, zwierzak zorientował się dość szybko, że to nieporozumienie. Wrzucił na luz. Innym razem w podobnych okolicznościach potrafił mnie dzik. Nabił siniaka na pół uda, ale większej krzywdy nie zrobił. Zapewne sam przerażony, popędził w głąb lasu. Raz brałem też udział w nocnej obławie na dzika. Cztery osoby, zacieśniający się krąg, a trzeba pamiętać, że w tym lesie, szczególnie nocą, łowca z łatwością może stać się ofiarą. Ostateczny cios zadał kto inny, ale jakby nie patrzeć, mam na koncie współudział. Dorosły samiec poszedł na mięso i handel, a dwa warchlaki trafiły do chowu u jednego z lokalnych moźnych.

W rzece Raptii występuje zarówno gatunek aligatora – „Garyal”, jak i krokodyla „Marlsh Magaar”. Ten pierwszy ma pysk długi i wąski, co pomaga mu łowić ryby niczym pelikanom, nie jest on natomiast groźny dla człowieka. Drugi jest znacznie większy, ma ogromną szeroką szczękę i wystające trójkątne zęby. Potrafi złapać ofiarę potężnym uściskiem i wirując wokół własnej osi ciągnąć ją na dno. W większości przypadków kończy się to tylko amputacją, ale słyszałem też o ofiarach śmiertelnych.

Jeżeli chodzi o węże, te jadowite trafiają się niezwykle rzadko, ale występują. Pewnego razu natomiast chatę Mamaszri nawiedził pyton. Zwabiły go niewątpliwie nasze kaczki, bardzo smaczne, muszę przyznać. Z początku wszyscy wpadliśmy w panikę, ale ostatecznie udało nam się złapać nieproszonego gościa w betonowy okrąg i przykryć kawałkiem blachy dachowej. Następnie pobiegłem do biura parku narodowego i wezwałem strażników leśnych. Przy pomocy bambusa dwóch z nich złapało węża jednocześnie za głowę i ogon. Gdyby udało mu się wyśliznąć z jednej chociaż strony, momentalnie starałby się on owinać wokół nieprzyjaciela, a mięśnie brzucha ta bestia ma chyba ze stali. Po umieszczeniu węża w wielkim worze, trafił on na wagę – 24 kg. Leśnicy podziękowali za zgłoszenie i zabrali zwierzę z powrotem do dżungli.

MAMASZRI

Zdecydowana większość okolicznych mieszkańców była mi bardzo życzliwa. W wielu domostwach byłem częstym i zawsze mile widzianym gościem. Z jednej strony zagraniczny, ale w sumie „swój chłopak”. Wygląda jak z Ameryki, ale gada po naszymu. Jedyne taki egzemplarz w okolicy. Byłem zadowolony z siebie i z życia. Wcześniej tułałem się po wiosce i łapałem każdej roboty, teraz stawiałem imperium arcywujka. Czułem, że rosnę i że wszystko będzie dobrze. Ostatecznie się nie pomyliłem, ale po drodze było jeszcze kilka zwrotów akcji. Jeden z nich nastąpił niebawem. Jak się okazało, Mamaszri miał nie tylko licznych przyjaciół, często wysoko postawionych, ale też swoich wrogów. Do tej ostatniej grupy dołączył niedawno MałyRam. Najpierw odwiedził nas patrol policji lokalnej. Ktoś musiał ich poprosić, aby złożyli nam wizytę i sprawdzili moje dokumenty. W świetle obowiązującego prawa panowie mieli prawo mnie zatrzymać tylko w przypadku przyłapania „na gorącym uczynku”. Bójka, kradzież, zakłócanie porządku publicznego czy coś w tym stylu. Mogliby wtedy zamknąć mnie na najbliższym posterunku i mieli obowiązek wezwać policję turystyczną z oddalonej o kilkanaście kilometrów miejscowości Sauraha. Lokalne służby nie mówią po angielsku i nie znają zapewne zakresu swoich praw oraz obowiązków. Ich zadaniem było po prostu mnie nastraszyć, spowodować, że wrócę skąd przybyłem. Wszyscy w okolicy zdawali sobie sprawę, że zupełnie przyzwoicie mówię po nepalsku. Tymczasem ja zbyłem żandarmów udając turystę z Ameryki. Boris Borsuk, San Francisco, Goodbye. Nie tylko kompletnie zignorowałem nadciągające zagrożenie. Poczuję się kompletnie bezkarny, za sprytny, za świetny, nieomylny i nieuchwytny, a, jak wiadomo: „pycha kroczy przed upadkiem”. Minęły jakieś dwa tygodnie i zawitało do nas dwóch funkcjonariuszy policji turystycznej. Panowie to już mówią po angielsku i zazwyczaj zajmują się pomocą turystom, którym na przykład skradziono telefon. Oczywiście, jeżeli to cudzoziemcy dopuścili się przestępstwa, tacy funkcjonariusze również mają obowiązek reagować. Asystują też we wszystkich procedurach, jeżeli lokalna policja zatrzymała jakiegoś obcokrajowca na dalekiej prowincji. Tym razem wspiałem się na wyżyny swojej znajomości języka nepalskiego. Opowiedziałem krótką historię, jak to żyłem z pewną kobietą przez kilka lat, byliśmy małżeństwem (co w założeniu legalizowało mój pobyt), ale ona ostatnio uciekła i ja też niebawem wracam do swojego kraju. Panowie upewnili się, że niebawem zniknę i nie robili więcej problemów.

Ja w dalszym ciągu byłem przekonany, że mogę tak lawirować w nieskończoność. Mamaszri wydawał się jednak być coraz bardziej zaniepokojony. W międzyczasie na wierzch zaczęły wyływać kolejne historie z jego przeszłości. Niespłacone zobowiązania i inne nieporozumienia. Goście odwiedzali nas coraz rzadziej a robota, która niedawno ruszyła z hukiem, teraz niemal stanęła w miejscu. Pasza, widząc co się dzieje, wystarał się o drobną pożyczkę u jednego ze swoich znajomych i wkrótce podjął udaną próbę nielegalnego przekroczenia granicy z Indiami. Następnie kilkaset kilometrów w kilka dni autostopem i wyczekiwane spotkanie z rodziną. Ja natomiast nigdzie się nie wybierałem. Czułem się jak w domu, a arcywujek wcześniej wielokrotnie zapewniał, że jestem u siebie. W tym momencie nie miało dla mnie znaczenia czy Mamaszri szasta kasą na prawo i lewo, czy jest bankrutem. Mamy swoje małe gospodarstwo, w tym dwa pokoje gościnne. Przetrywamy porę deszczową a jesień to sezon turystyczny w Chitwan. Odwiedzą nas moi znajomi z Kathmandu

i włóczęgi z całego świata, których poznałem podczas kilku lat własnej tułaczki. Wszystko zacznie się kręcić – myślałem. Niepoprawny ze mnie optymistą.

Minął kolejny miesiąc i zawitała do nas delegacja z komendy wojewódzkiej w towarzystwie dwóch wojskowych. Zostałem wezwany przez dowodzącego tą placówką do złożenia wyjaśnień.

„Dobra panowie. Rączki, nóżki myję i możemy ruszać”. Zachować spokój to podstawa, ale trzeba było szybko wdrożyć jakiś plan awaryjny. Przypomniałem sobie, że w miejscowości Pokhara przebywa Ziomek. Polak, który wiele lat spędził wcześniej w Indiach. Poznaliśmy się jakiś czas temu, mieliśmy już nawet na koncie kilka wspólnych wybryków i, jak to się mówi, dogadywaliśmy się bez słów.

„Witam, tu Borsuk. Jest Problem. Jadę na komendę. Od teraz jesteś ambasadorem RP w Nepalu, będą dzwonić” – wysłałem SMS.

Komendant główny powiedział mi, że dostał liczne powiadomienia na temat mojej osoby. Byłem obserwowany przez funkcjonariuszy w cywilu, ale nie doszukali się oni w moim postępowaniu niczego niewłaściwego. Jak bumerang jednak powraca temat paszportu i ważnej wizy na pobyt. Facet prezentował klasyczną postawę: „Nie chcem ale muszem”.

„Zostanie pan zatrzymany do wyjaśnienia sprawy” – usłyszałem.

„Chwilczkę” – odparłem. „Proszę wykonać telefon do polskiej ambasady” (na marginesie dodam, że takowa w Nepalu po prostu nie istnieje) i podałem oficerowi naczelnemu karteczkę z zapisanym numerem do kolegi. „Ja jestem cenionym w całej Europie naukowcem. Botanikiem. Socjologiem. Słynny Doktor Borsuk we własnej osobie. Nie godzi się mnie tak traktować.” Podsumowałem. Dałem do zrozumienia, że jestem zirytowany całą sytuacją, ale nie okazałem najmniejszych objaw lęku przed ewentualnymi konsekwencjami. Po prostu niewinny jestem. To nieporozumienie jakieś.

Komendant połknął haczyk a Ziomek głupi nie jest. Zobaczył numer nieznaną.

„Ambasada RP w Kathmandu, w czym mogę pomóc” – odebrał.

„Komenda wojewódzka policji, zatrzymaliśmy obywatela Polski. Nie ma przy sobie dokumentów i...”

„Proszę podać jego dane” – wtrącił się ziomek, w końcu jest ambasadorem, to on tu zadaje pytania.

„Łukasz Walendziak, urodzony...”

„Że co, przepraszam? To jest nasz wybitny naukowiec! Czy coś mu się stało?” kolega idzie za ciosem.

„Nie, w zasadzie...”

„Wasze szczęście! Proszę dopilnować, aby pojawił się w ambasadzie najdalej jutro, wybaż pan, mam wiele ważnych spraw na głowie. Żegnam”

Komendant przez chwilę zdawał się być zaskoczony takim obrotem sprawy, ale po chwili zorientował się, że i jemu będzie wygodniej puścić mnie wolnym. Zapytał, czy może mi jakoś pomóc. Poprosiłem o 10 USD na drogę. Naczelnik wyjął nieco więcej z własnej kieszeni, przeprosił za zamieszanie i życzył powodzenia. Natychmiast wyruszyłem w podróż do stolicy. W dużym mieście łatwiej pozostać w cieniu. Tylko krajobrazy takie szarobure. Nie to, co w dżungli, ale lepiej niż w areszcie – pomyślałem. I oby do przodu...

Andrzej C. Leszczyński



OKRUCHY

FILOZOF

Diogenes Laertios („Żywoty i poglądy słynnych filozofów”), powołując się na ucznia Platona, Heraklidesa z Pontu, pisze, że jako pierwszy o filozofach mówił w VI wieku p.n.e. Pitagoras z Samos, autor znanego twierdzenia geometrycznego. W rozmowie z Leonem, tyranem peloponeskiego miasta Fliunt, porównał życie ludzkie do igrzysk (agonów, ἀγῶνες). Zjeżdżają tam handlarze liczący na zarobek, zawodnicy chcący zyskać sławę, a przez nią nieśmiertelność, oraz widzowie, którzy przybyli na igrzyska dla nich samych – by widzieć, czyli wiedzieć. Podobnie jest w życiu. Są ludzie dążący do wiedzy, by dzięki niej dorobić się majątku, są tacy, dla których wiedza jest środkiem do osiągnięcia stanowisk i sławy, i są też ci, którzy dążą do wiedzy dla niej samej. Można wiedzę traktować jako mądrość praktyczną, użyteczną (phronesis, φρόνησις) – wiedzieć, żeby mieć, zdobyć, uzyskać itp. I może to być wiedza niczego poza nią samą nie przynosząca (sophia, σοφία) – wiedzieć, żeby wiedzieć. Ci ostatni, tłumaczy Leonowi Pitagoras, to są właśnie filozofowie (φιλόσοφοι), miłośnicy mądrości: philos, φίλος (przyjaciel, miłośnik), σοφία (wiedza, biegłość, mądrość). Widać, że już wtedy odróżniano dwa rodzaje wartości: instrumentalne i autoteliczne. Wartość instrumentalna (gr. organon, ὄργανον, łac. instrumentum) jest „po coś”. Dążymy do niej nie dla niej, lecz dla pożytków, jakich potrafi przysporzyć. Wartość autoteliczna – zgodnie z etymologią (autos, αὐτός – swój, telos, τέλος – cel) – jest celem samym w sobie, dążymy do niej dla niej samej.

Początkowo nie odróżniano umiłowania wiedzy (φιλοσοφία) i samej wiedzy (σοφία).

Φιλεῖν nie oznacza pragnienia, dążenia do czegoś nieobecnego. To zażyłość, obcowanie z czymś obecnym. Np. philositos (φιλόσιτος) – miłośnik jedzenia, które ma i je spożywa; philippos (φίλιππος) – przyjaciel koni posiadanych; także: philophilos (φιλόφιλος) – miłośnik swych przyjaciół.

Z czasem zmienia się to dość radykalnie, o czym pisze znany niemiecki filozof Karl Albert w niespełna czterdziestostronicowej, niezwykle gęstej myślowo książeczce pt. „O platońskim pojęciu filozofii”. Ateński myśliciel dokonuje rozróżnienia między rzeczywistością pełną (idee) i jej niedoskonałym odwzorowaniem („ziemskie widma”), co jest przewrotem symbolizowanym przez tzw. „drugie żeglowanie” (δεύτερος πλοῦς). Odróżnia więc także σοφός i φιλόσοφος, „Mędrzec” i „filozof” wykluczają się – mądrzy są tylko bogowie. Człowiek znajduje się pomiędzy (μεταξύ) mądrością i głupotą. Przypomina to trochę

przygnębiający tytuł książki zmarłego dopiero co Milana Kundery „Życie jest gdzie indziej”. Zbigniew Herbert pisze („Studium przedmiotu), że „Najpiękniejszy jest przedmiot/którego nie ma”. Poetycki tren o „pięknym nieobecny” odwołuje się do przedmiotu intencjonalnego, nie realnego – tymczasem dla Platona jedynie realne są właśnie byty pełne, czyli idee. Dobitnie skomentował to Fryderyk Nietzsche: idealizm to największe oszustwo („Idealismus, höherer Schwindel”).

Tradycja europejskiej filozofii opiera się na pojmowaniu filozofa jako miłośnika mądrości, której brak odczuwa i do której dąży. Leszek Kołakowski („Horror metaphysicus”): „Możemy zgodzić się, że żadne z tradycyjnych pytań metafizycznych nie jest rozstrzygalne, a mimo to przeczyć, by należało z tej racji je odrzucić czy uznać za bezsensowne. Zgodnie z tym poglądem filozofia jest w rzeczy samej umiłowaniem mądrości, tyle że miłość to nigdy nie skonsumowana; każde spełnienie jest zwyczajną złudą, lichą satysfakcją z pozornej pewności. Skoro tak, to czemuż miałoby służyć to próżne – o czym zawczasu wiadomo – dociekanie? Odpowiedź brzmi: idzie o nie samo [...]. Nie możemy zgłębić tajemnicy i obrócić jej w wiedzę, lecz ważne wiedzieć, że mamy z nią do czynienia; choć nie sposób zderzyć zasłonę, za którą ukrywa się rzeczywistość ostateczna, winniśmy wiedzieć, że jest taka zasłona”¹. Podobnie odczuwa rzecz Andrzej Falkiewicz („Stachura [1]”): „Żeby móc myśleć, musi się nie rozumieć. Więc kiedy się rozumie, już nie potrzeba myśleć. Ale rozumienia nie osiąga się na drodze myśli. Myśl może zrodzić tylko myśl, a ta myśl rodzi następną. Rozumienie zaś to właśnie umilknięcie sporu, oczywistość: coś, co nie pociąga za sobą dalszego ciągu. [...] Kto wie, nie musi chcieć wiedzieć. Kto wie, w czym rzecz, jest już (częściowo) samą tą rzeczą”.

MIT

Racjonalizm epoki oświecenia, a także pozytywistyczne z ducha zafascynowanie naukowym obiektywizmem, odnosiły mity do fikcji, fałszu, zacoiania intelektualnego. Także i dzisiaj wyrażenie to jest nacechowane negatywnie, bywa wręcz epitetem („mitoman”, „włożyć coś między bajki i mity” itp.). Wrażliwości nielicznych umysłów możemy zawdzięczać uprzymomnienie sobie, jak jałowa i spłaszczona jest rzeczywistość wyprana z mitotwórczej tkanki. Są wśród nich Emanuel Swedenborg, William Blake i Czesław Miłosz, który okaleczony w ten sposób świat określał, podobnie jak Blake („Jerusalem. The emanation of the Giant Albion), mianem Ulro. Także Max Weber, który pisał o „odczarowaniu” (die Entzauberung) rzeczywistości, Bruno Schulz czy Witkacy wytykający współczesności zanik poczucia metafizycznych.

Scjentyści odwoływali się do pojęcia logosu (λόγος), obejmującego wszystko to, co wyraża rozum (od: λέγω – zbierać razem). Logos tworzy pojęcia, wiedzę, abstrakcyjne teorie, ustala prawdę i wyraża ją w piśmie. Co innego mit, „pramyśl ludzkości”, jak określała go Hans-Georg Gadamer („Prometeusz i tragedia kultury”). Greckie mythos (μῦθος),

¹ Jedyny możliwy postęp w filozofii, to – pisze Krzysztof Michalski („Zrozumieć przemijanie”) – „postęp w umiejętności stawiania pytań: wiemy coraz lepiej, jakie pytania nas dręczą, i nic ponadto”.

podobnie jak epos (ἔπος), zawiera w sobie wyjątkowe bogactwo znaczeń: słowo, mowa, przemowa, rozmowa, powiedzenie, przysłowie, rada, zamiar, pogłoska, wieść, opowiadanie, historia, legenda, zmyślenie (to jeszcze nie wszystko). Późniejsze badania (antropologia, fenomenologia) pozwoliły zobaczyć w mitach nie teorię, lecz żywą treść życia i jego sensu; nie wywiedzioną z rozumu prawdę, lecz mądrość (mit nie ustala prawdy, ale ją wyraża); nie zapis (mit zapisany staje się martwy), lecz mowa.

Mit jest opowieścią prawdziwą, tyle że prawda, jaką zawiera, wyrażona jest nie wprost, lecz w języku symbolicznym. Gr. *symballo* (συμβάλλω) znaczy „rzucać razem”, „zbierać razem”. Symbolon (σύμβολον) to rozłamany na pół przedmiot, tabliczka z metalu: złożenie obu części ujawnia to, czego oddzielnie nie sposób było uchwycić. Jest tu widoczna idea syntezy, wnioskowania, wydobywania. Historia mityczna nie jest „dana”, lecz „zadana”. Trzeba ją domyśleć (Paul Ricoeur: symbol daje do myślenia), wydobyć spod warstwy literalnej (anegdota). Sen, którego nie odczytujemy, jest jak list, którego nie otwieramy (Talmud); to samo można powiedzieć o micie. To opowieść uniwersalna, historia, która „nigdy się zdarzyła, lecz wciąż się dzieje” (Zygmunt Kubiak).

Leszek Kołakowski w „Obecności mitu” (napisanej w 1966 roku, wydanej sześć lat później w paryskiej „Kulturze”) pisze, że trwałość mitu w świadomości i w kulturze bierze się z doświadczenia kruchości, temporalności i przypadkowości istnienia – „stawania się”.

W ten sposób człowiek „uniką zgody na świat przypadkowy, wyczerpujący się każdorazowo w swej nietrwałej sytuacji, która jest tym, czym jest teraz, i do niczego nie odsyła [...]. Wiemy, że świat, w którym żyjemy, musi się kiedyś skończyć. Nadejdzie moment, w którym ziemia ulegnie zniszczeniu. Spłonie ostatni egzemplarz Szekspira i roztrzaskana zostanie ostatnia rzeźba Michała Anioła. Niczego nie można ocalić na zawsze. Koniec musi nadejść, to jest nieuchronne”. Tym bardziej trwałą jest potrzeba czegoś innego niż to, co doczesne, co wytłumaczalne. Mit wprowadza w świat „sens, porządek, celowość”. Świat jest „obojętny” i „bierny” wobec ludzkich problemów egzystencjalnych: cierpienia, klęsk życiowych, śmierci. Pragnienie przewyciężenia tej „obojętności”, to źródło wszelkich ludzkich wysiłków. Potrzebę tę – „chorobę na sens” – zawsze najlepiej zaspokajał mit.

Oto jedna z podstawowych opowieści kultury europejskiej, mit przeznaczenia Zachodu, jak mówi o nim Hans-Georg Gadamer.

PROMETEUSZ

Imię to (Προμηθεύς) oznacza „wprzód myślącego”, „przemysłnego”. Jako pierwszy opowiedział o Prometeuszu Hezjod (VIII wiek p.n.e.) w „Teogonii” oraz, w nieco inny sposób, w „Pracach i dniach”. Syn tytana Japetosa (synem innego tytana, Kronosa, był Zeus) uosabia dobroczyńcę ludzkości. Dla dobra „innych” – śmiertelnych („jednodniowych”, „efemeryd” [ἐφήμεροι]) – oszukał „swoich”, samego Zeusa. W mieście Mekone namówił ludzi do buntu poprzez oszustwo: mięso okryli skórą z brzucha zwierzęcia, zaś kości smakowicie wyglądającym tłuszczem. Niewykluczone, że Zeus domyślił się podstępny i że świadomie wybrał kości po to, by mieć powód do rozprawienia się ze śmiertelnymi. Na zawsze pozbawił ich

ognia, którym dotąd ich zgodnie ze swą wolą, bywało. że kaprysem, obdarowywał. Jednak Prometeusz podszedł Zeusa raz jeszcze. Wykrał ogień² (iskry) z „koła słonecznego”³ – choć wspomina się też o palenisku z kuźni Hefajstosa – i w wydrążonej trzcinie przekazał go ludziom. Stali się właścicielami ognia. „[...] człowiek uczy się sam rozniecać i podtrzymywać ogień, dotąd zsyłany na ziemię według woli i uznania władcy piorunów” (Gadamer).

Ostatnie słowo należało do Gromowładnego. Ukarzał Prometeusza: przykuty do skały Kaukazu, do której codziennie przylatywał wygłodniały orzeł rozszarpując mu odrastającą wciąż wątrobę (uwolnił go po jakimś czasie Herakles), stał się najwcześniejszym symbolem boga cierpiącego z miłości do ludzi. Ukarzał też ludzi: stworzył kobietę, Pandorę⁴, która, otwierając puszkę z wszelkimi nieszczęściami, przekreśliła satysfakcję z posiadania ognia.

LUDZIE, BOGOWIE

Stefan Chwin w zapiskach drukowanych w „Kwartalniku Artystycznym” (nr 115) zarzuca judeochrześcijańskiemu Bogu, że wszystko, co stworzył, jest gorsze od niego. „Nie mógł znieść myśli, że ludzie mogliby być nie gorszymi i niższymi od niego, tylko w pełni mu równymi? Każdą próbę przekroczenia pozycji niższego i gorszego traktował jako akt wrogi, chociaż – gdyby tylko zechciał – mógłby współlistnieć z równymi sobie w chwale, nie tracąc nic ze swojej boskości? Dlaczego więc tej woli zabrakło, skoro bezgraniczna wszechmoc na taki akt stwórczy w pełni pozwalała?”. Znaki zapytania nie mają tu większego znaczenia, bowiem Chwin wie: to nie jest prawdziwy Bóg. „Prawdziwy Bóg jest inny. Nie chce mieć wokół siebie istot niższych i gorszych, tylko istoty równe mu: wolne, dumne i niezależne”. Autor wyrzeka na ludzkich wyznawców. „Oni nie chcą nawet słyszeć o Prawdziwym. Odczuwają rozkosz w poczuciu bycia gorszym i niższym, podporządkowanym i uległym. Chcą czuć nad sobą Moc i Potęgę. Bez tego nie mogą”. – Nie mogą, bo przecież tak właśnie zostali stworzeni, jako niżsi i gorsi (tyczy to także samego autora, który protestując przeciwko nierówności potwierdza ją). Widząc swą niedoskonałość, tylko do bytu pełnego mogą się odwołać, co mocno wyraził Fiodor Dostojewski (w liście do Natalii Fronwizinej w 1854 roku): „[...] gdyby ktoś mi udowodnił, że Chrystus [jedyna czczona przez pisarza personifikacja Boga – ac] jest poza prawdą, i rzeczywiście byłoby tak, że prawda jest poza Chrystusem, to wołałbym pozostać z Chrystusem niż z prawdą”⁵. Czy szukając bytu pełnego odczuwają rozkosz, nie powiedziałbym; od – często rozpaczliwej – nadziei do rozkoszy daleka droga. Prawdziwy Bóg, o jakim pisze Stefan Chwin, natychmiast przestałby być Bogiem, a ludzie ludźmi. Przy braku jakiegokolwiek wertykalności zapanowałaby śmiertelna nuda. Może warto też pamiętać o niższości i wyższości w relacjach międzyludzkich,

² Ogień symbolizuje światło, świadomość. Także oczyszczenie i odnawianie w procesie spalania (Feniks). Bóg ze Starego Testamentu objawia się jako krzew gorejący. „Wieczne światło” to w katolickich świątyniach paląca się nieustannie lampka. Ajschylos („Prometeusz skowany”) pisze o ogniu jako „wielkim nauczycielu”.

³ Stworzył je Zeus dla ukarania Iksjona za próbę zbliżenia się do Hery. Został on przykuty do koła mającego toczyć się przez całą wieczność.

⁴ Imię to (Πανδώρα) znaczy: „ta, która daje wszystko”.

⁵ Inaczej Platon, który – przynajmniej w „Timajosie” – każe Bogu (Demiurgowi) odwoływać się do przewyższającego go Jednego (μονάς), czyli modelu form (idei), według którego tworzy rzeczy tego świata.

opisywanych po wielokroć przez Witolda Gombrowicza, na przykład w „Ślubie”, gdzie Pijak pragnie zniweczyć majestat króla (chce „dutkanąć” go palcem).

Ale, rzeczywiście, niełatwo przychodzi uznać i pojąć Boga biblijnego, który – jak określa go KKK („Katechizm Kościoła Katolickiego”, Lublin 1994, s. 11) – jest bytem „nieskończenie doskonałym i szczęśliwym z powodu czystej dobroci”. Szkoda, że boskie szczęście rzadko idzie w parze z ludzkim.

Odmienność ontyczna bogów (Boga) wywołuje lęk (nie: strach). Platon w „Protagorasie” pisze o Zeusie, który zesłał na ziemię prawo i bojaźń. Rudolf Otto określa Boga (Sacrum) jako tajemnicę wzniosłą, fascynującą i trwożącą (misterium augustum, fascinatum et tremendum; tremendus – straszny, przerażający). Bezpośredni kontakt człowieka z Bogiem jest zagrożeniem, o czym przekonała się Semele, matka Dionizosa, chcąc zobaczyć ojca swego dziecka, Zeusa, w jego prawdziwej postaci.

Odnoszenie się do bogów (Boga) jest trwałą cechą zachodniej kultury, bez tego odnośnika się nie byłoby arcydzieł literackich, muzycznych czy plastycznych. W europejskiej kulturze jest też widoczne mierzenie się, wadzenie z bogami (Bogiem), widoczne na przykład w „Dziadach” Adama Mickiewicza. Przede wszystkim w mitach, czego przykładem jest wspomniany wyżej mit prometejski (podobnie: mit biblijny). Odstępstwo Tytana od Zeusa jest początkiem „zuchwałego przekształcania przyrody w dziedzinę ludzkich zabiegów, w świat, nad którym pieczę i władzę sprawuje człowiek” – pisze Hans-Georg Gadamer. I dodaje: zuchwalstwo Prometeusza „to zuchwalstwo, jakiego ciągle dopuszcza się ludzkość”. Za szczególny wyraz owego zuchwalstwa można uznać wspomniany wcześniej akt filozofowania, dążenie do mądrości przynależnej bogom.

Akt ten różni się istotnie od czynu prometejskiego. Filozof konkuruje z bogami, Prometeusz rywalizuje z nimi. Konkurent jest sprzymierzeńcem, rywal wrogiem. Konkurowanie wiązało się z zawodami sportowymi, oznaczało współpracę (łac. concurrō – spotkać się, łączyć; concurrere – biec razem). Rywalizowanie brało się z niewystarczalności dóbr: łac. rīvus to rzeka; rīvalis – sąsiad czerpiący wodę z tego samego potoku: jeśli wody brakuje, trzeba o nią walczyć. Z czasem rywalizacja zaczęła oznaczać współzawodnictwo w zabiegach miłosnych (Samuel Bogumił Linde określa rywala jako „współmiłośnika”).

Prometeusz dąży do wartości substancjalnej. Ogień nie był bogom potrzebny, przejęli go dlatego, że był potrzebny śmiertelnym. Gdy wykradł go Tytan – tego ognia już na Olimpie nie było. Przedmiotem dążeń filozofa jest wartość atrybutywyistyczna, cecha (mądrość), która może przynależeć nieskończonej ilości podmiotów. Gdyby ją osiągnął, nie pozbawiłby jej dotychczasowych posiadaczy, lecz dołączyłby do nich. Prometeusz, sam bóg, nienawidzi innych bogów. U Ajschylosa wypowiada słowa „Zaprawdę wszystkich nienawidzę bogów”, w innym tłumaczeniu mowa jest o zbrzydzeniu: „Mierzą mnie wszystkie bogi jednak” (niewykluczone, że określenie „wszystkich” obejmuje także jego, nienawistną mu własną tożsamość). Jego czyn ma charakter podstępny, niejawny. Filozof, miłośnik mądrości, zdaje się być także miłośnikiem bogów, dąży do niej (do nich) na oczach bogów i ludzi (jeżeli skrywa swe dążenia, to wyłącznie przed ludźmi, gdy system polityczny jest opresyjny).

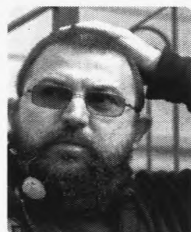
Co może szczególnie istotne, Prometeusz i filozof odmiennie pojmują sukces. Czyn Prometeusza jest skutecznym. Zapłacił wysoką cenę, jednak co zamierzył, osiągnął: ludzie

odzyskali ogień dla siebie. Filozof – o czym pisał cytowany wcześniej Leszek Kołakowski – swego celu, mądrości, nie osiąga, co pozwala mu pozostać jej miłośnikiem. To znaczy: pielęgnować w sobie zdziwienie ($\theta\alpha\upsilon\mu\acute{\alpha}\zeta\epsilon\iota\nu$)⁶, pytać, dążyć nie licząc na kres wysiłków. Francuski myśliciel Maurice Blanchot tak właśnie sądzi: „Odpowiedź jest pechem pytania. Wysilek myślowy pobudzony pytaniem dobiegł pomyślnego końca. Odpowiedź ubezwładnia pytania, pozbawia mocy zaczynu myślowego, fermentu, pobudki do transcendencji, która jest sposobem bycia myśli”. William Stanley Merwin, amerykański poeta i dramaturg (w rozmowie z Julią Fiedorczyk): „Nie powinno się pragnąć pewności, w żadnej sprawie. Nigdy nie wiem. Zawsze nie wiem. To bardzo ważne – nie wiedzieć. Dlaczego martwić się o odpowiedzi? Po co nam odpowiedzi? Odpowiedź to koniec rozmowy, pytanie – to początek. Zawsze trzeba mieć w sobie pytanie, bo to właśnie z pytania, a nie z odpowiedzi, bierze się poezja”.

Piękne, mądre słowa Wisławy Szymborskiej: „A ja nie wiem i nie wiem i trzymam się tego/ jak zbawiennej poręczy” („Niektórzy lubią poezję”)..

⁶ Platon: „To stan bardzo znamieny dla filozofa: dziwić się. Nie ma innego początku filozofii, jak to właśnie” („Teajtet, 155 d, tłum. Władysław Witwicki).

Radosław Wiśniewski



NOTATNIK ZAFRONCIA (1)

28 LUTEGO. DZIEŃ 4. ROSJANIE, DLACZEGO?

*„Wy — czy mnie wspominać! ja, ilekroć marzę
O mych przyjaciół śmierciach, wygnaniach, więzieniach,
I o was myślę: wasze cudzoziemskie twarze
Mają obywatelstwa prawo w mych marzeniach.
Gdzież wy teraz? Szlachetna szyja Rylejewa,
Którąm jak bratnią ścisnął, carskimi wyroki
Wisi do hańbiącego przywiązana drzewa;
Kłątwa ludom, co swoje mordują proroki. „*

(Adam Mickiewicz, „Do przyjaciół Moskali”)

Powtarzam sobie, że najważniejsze, to, nie zaniedbując codzienności, wpisać sobie w codzienność trwanie, czuwanie, chociażby z tego nic wielkiego nie miało wynikać.

Codziennie coś zrobić, żeby być z nimi.

Piszę szybko do Borysa: „Nie daj się zabić!”, a on odpisuje znaczkiem kciuk do góry, znaczy – żyw.

Olaf od początku wojny nie odpisał na żadną wiadomość, widać, że nawet nie przeczytał.

Vita pisze, że u nich na razie spokojnie.

Ros i Mama Rosa podobno też bezpieczni.

Wczoraj myślałem o Rosjanach, o tych zasmarkanych dzieciakach w czołgach, tych poranionych szczyłach płaczących do telefonów, że chcą do domu, że nie chcą umierać.

To stąd te pogubione kolumny w polach, stąd porzucone czołgi.

Pomyślałem o tej parafrazie, jaką napisał Piotr Siemion:

„Gdzież jest król, co na rzezie tłumy te wyprawia?
 Czy dzieli ich odwagę, czy pierś sam nadstawia?
 Nie, on siedzi o pięćset mil na swój stolicy,
 Król wielki, samowładnik świata połowicy.
 Zmarszczył brwi, — i tysiące Kalibrów wnet leci;
 Podpisał, — tysiąc matek oplakuje dzieci;
 Skinął, — padają rządy od Mińska do Chiwy.
 Mocarzu, jak Bóg silny, jak szatan złośliwy!
 Gdy Turków za Bałkanem twoje straszą spiże
 Gdy poselstwo niemieckie twoje stopy liże
 Kijów — on jeden twej mocy urąga,
 Podnosi na cię rękę i koronę ściąga,
 Koronę Jarosławów, Ruryków z twej głowy,
 Boś ją ukradł i skrwawił, wnuku Stalinowy!”

Mądrzejsi ode mnie mówią, że tam już ktoś się zorientował, że wojsko poborowe nie zdaje egzaminu. Że się sypie psychicznie i ruszyli rezerwy najemników i wojsko powietrzno-desantowych.

Dużo desantników w tej wojnie. Podobno właśnie dlatego, że wojska desantowe są na wyższym poziomie wyszkolenia i morale.

Ale zapasy ludzkiego mięsa w tych jednostkach są ograniczone.

Powiadają – jeżeli Ukraina wytrzyma teraz kilka dni wzmożonego naporu, odda teren za krew i złom – będą powody do ostrożnego optymizmu.

Ta wojna będzie przedmiotem legend o tym jak zdeterminowany, słabszy, ale lepiej dowodzony przeciwnik może wsadzić miszy widelec w oko i poprawić z buta w jaja. Bo determinacja – co wiemy z polskiej historii – to za mało.

A tutaj musi być prawdopodobnie spryt, dowodzenie, łączność, rozpoznanie, świadomość sytuacyjna i decyzja czego i jak użyć, tak w skali taktycznej, jak i operacyjnej, żeby bolało.

Pewnie jest im łatwiej, bo czują, mam nadzieję, że czują autentyczne wsparcie wolnego świata, poza FIFA, która może się rozwiązać.

A kiedy czytam krótkie żołnierskie posty moich znajomych i nieznanomych Ukraińców nie dziwię się, że – podobno – kilka tysięcy rosyjskich kontraktorów w Białgorodzie podniosło bunt i nie chcą na wojnę z Ukraińcami, że tego nie było w kontrakcie.

Ja na ich miejscu też bym nie miał ochoty na tę wojnę i bałbym się jak cholera.

Dodam jeszcze, że według najczęściej powtarzanych danych. Wehrmacht w Polsce w 1939 roku stracił 16 tysięcy zabitych. W wojnie, która trwała 36 dni i toczona była ze sporą zaciekłością.

Jeżeli wierzyć ukraińskim danym – Rosjanie już mają ponad 4 tysiące zabitych w pięć dni, a najkrwawsze elementy tej wojny – zdobywanie miast – dopiero przed nimi.

Chyba, że do tego nie dojdzie. Coś z losów jest jeszcze w rękach prawych ludzi w Rosji.

Czytacie z rozbawieniem o działaniach grupy Anonymus? A wiecie, że spora część tych hakerów demolujących systemy informatyczne Gazpromu i oficjalnych mediów putlera to Rosjanie?

Niestety, kiedy widzę palący się moskiewski czołg, nieodmiennie czuję kosteczkę radości. Niestety, bo tak nie powinno być. Ktoś po tych chłopakach płacze, ktoś będzie nosił kwiatki na ubogą mogiłkę, znicze palił, jak śpiewał Aleksandar Rozebanum w piosence „Czornyj Tulpan”:

*Мы проклинали все свою работу.
Опять бача подвел потерей роту
В Шинданде, Кандагаре и Баграме
Опять на душу класть тяжелый камень
Опять нести на родину героев
Которым в 20 лет могилы роют
Которым в 20 лет могилы роют*

w wolnym tłumaczeniu:

*Wszyscy przeklinaliśmy swoją robotę
Bo znowu na straty poprowadzili kompanię
W Szyngandzie, Kandaharze i Bagramie
Znowu w sercu nosić ciężki kamień
Znowu wieść do ojczyzny bohaterów
którym, 20 letnim trzeba kopać groby
którym, 20 letnim trzeba kopać groby*

Nie, nie mam w sobie nienawiści do Rosjan. Nie znajduję jej w sercu. Pamiętam Żeńkę spotkanego w ramach jakiejś imprezy w Domu Literatury w Warszawie, zapytałem go, skąd tak zna polski, że nawet nie słycać u niego, że jest z Nowosybirsk, a on powiedział:

– A Ty jak myślisz, jak ja czytałem pierwszy raz Bułhakowa? Po polsku. Myśmy nie mieli wielu naszych książek po rosyjsku, to uczyliśmy się polskiego, żeby czytać rosyjskich pisarzy w polskich tłumaczeniach.

Tylko nie wiem. po której stronie jest dzisiaj Żenia. Czy wychodzi na protesty w różnych miastach Rosji? Czy jednak wybiera siedzenie w domu w myśl rosyjskiej zasady – tisz jediesz, dalsze budiesz?

Problem chyba w tym, że nie mając w sobie nienawiści do Rosjan, pytam niemo was bracia i siostry jak to jest, że tyle setek lat dajecie sobą pomiatać przez despotów. Despotów, którzy was nienawidzą i wami gardzą. Bo nie wierzą, że sami jesteście w stanie sobą rządzić.

Dlaczego na prezydenta wybraliście lub daliście wybrać butlera, a nie Anię Politkowską, Andrieja Sacharowa, Siergieja Kowaliowa, Lwa Ponomariewa?

Powiedzcie mi: dlaczego?

Albo jeszcze lepiej – odpowiedzcie sami sobie – dlaczego?

*„Kto z was podniesie skargę, dla mnie jego skarga
Będzie jak psa szczekanie, który tak się wdroy
Do cierpliwie i długo noszonej obroży,
Że w końcu gotów kasać — rękę, co ją targa”.*

(Adam Mickiewicz, „Do przyjaciół Moskali” oczywiście)

1 MARCA. DZIEŃ 5. POLSKA. PRZEBUDZENIE

*„Te barbarzyńskie metody bicia specjalnie w kościoły lub pamiątki narodowe, jak Zamek czy Belweder, te barbarzyńskie metody, które nic wspólnego z wojną nie mają, które nie są wojną, które są metodami bandyckimi, muszą obudzić srogi gniew, który pomści wszystkie krzywdy”
(Stefan Starzyński, Warszawa 1939)*

Zatem dzisiaj z okazji rozmów pokojowych „Grad” spadł na Charków, a „Iskandery” na Kijów. W Iwankowie najeźdźcy spalili muzeum sztuki ludowej.

Odezwał się Olaf, że żyw.

Vita mówi, że u nich spokojnie.

Borys co rano zostawia znak z kciukiem do góry.

Piszę do nich, powiedziałbyś, że dla podtrzymania morale. Ale komu to jest tak naprawdę potrzebne?

To oni mogliby nam coś o tym opowiedzieć, a nie my im.

Bo zasługą Ukraińców w tym wszystkim jest to, że pokazali, że tego całego putlera można się nie bać, ale go jebać.

Tak jak to podobno skandowały tłumy we Wrocławiu w sierpniu 1982 roku naprzeciwko ZOMO –

jechać, jebać i się nie bać.

I jakby oddech ulgi na całym świecie, że dają radę.

Putin wysłał najemną swołocz zwaną wagnerowcami, to dzisiaj, proszę, zdjęci co do jednego na przedmieściach Kijowa, wybici, bo wagnerowców nikt nie bierze do niewoli. Do niewoli bierze się regularne wojsko.

Więc może świat się czegoś nauczył, tylko potrzebny był implus, pokazanie, że można. To działa w dwie strony.

Można pokazać, że można coś złego i nie ponieść kary.

Albo pokazać, że złego jebać, jebać i się nie bać.

No i Ukraińcy pokazali światu to drugie.

Rozmowy o noktowizorach, termowizji, celownikach. Pytam o ceny jednych, innych o to, czego naprawdę potrzebują i znajomego czy dołoży, wreszcie wysłałam listę rzeczy do wyceny, z prośbą o rezerwację, bo przedpłatę uruchomię jutro i zaraz przychodzi odpowiedź:

„Sprzęt schodzi „na pniu”, w związku z ogromnym zapotrzebowaniem. Decyzją Zarządu, nie mogę blokować towaru rezerwacjami. Proszę o złożenie zamówienia tak szybko jak to możliwe.”

Żadna tajemnica o co chodzi. Przecież nie o polowania na dziki.

Kolega samochód ma na warsztacie, mówi, ma jechać dzisiaj, jutro po swoją rodzinę na granicę, mówię mu najpierw spoko, aby w nocy, to rano zdążę do roboty, ale liczymy, liczymy, kurde, osiołek, jest zarejestrowany na 5 osób, plus my dwaj na zmianę, plus dwójka dzieci, dwie kobiety... nie składa się.

Poczekaj, mówię.

Dzwonię do sąsiada co ma większą furę, sąsiad mówi że sam będzie jechał po swoich, ale jak wróci, pożyczę.

I jeszcze przelew poszedł na Hospitalerów, kolejne w drodze, zbiórka dobiła do 334%, a przecież dopiero ruszył fanpage.

A to ułamek tego, co widzę. Bo najlepszy dowcip dzisiejszego dnia jest taki, że kończy się historia służby polskich myśliwców MIG29, bo podobne te, co mamy – 23 w stanie lotnym i 5 w stanie nielotnym do tzw. skanibalizowania na części zamienne – podobno jadą na Ukrainę zasilić „Duchy Kijowa”.

Chciałbym, żeby przypomnieli się Polakom i Polkom, że my tacy po prostu jesteśmy, że budzimy się ze złego snu ksenofobii, zamknięcia, zatrzaśnięcia. Nie jesteśmy idealnym społeczeństwem, ale, jak pamiętam, mindset mamy wolnościowy.

Jesteśmy w stanie przyjąć dziesiątki tysięcy ludzi i dać im dach nad głową. Dlaczego mamy się bać kilkuset czy kilku tysięcy więcej ganianych przez tych samych czułych strażników granicznych po lasach, rzucanych przez druty kolczaste?

2 MARCA. DZIEŃ 6. JESZCZE MYŚMY NIE UMARLI, PÓKI ONI ŻYJĄ.

To się nazywa czuwanie.

Wybudzenie, trwanie w przytomności, mimo że nikogo od niczego to nie uratuje.

Ale może gdzieś daleko sumuje się w jakąś drżącą elektryczność innych czuwań i wraca fala, której częstotliwości jeszcze nie wykryła fizyka.

Minął dzień szósty.

Są nowości.

Okazało się, że wielka zmotoryzowana kolumna na północ od Kijowa, która liczyła najpierw 27 kilometrów, a teraz sięga 70, to nie nadciągający armagedon, ale korek. Tam jest jednopasmowa, nienajlepsza droga, przerwany zwykły most drogowy i do tej jednej schodzą się dwie inne drogi.

A putler chce Kijowa.

Dlaczego?

Może wie, że umiera?

I w żywym lub martwym Kijowie chce zdążyć od Cyryla odebrać w ruinach Ławry Pezerskiej koronę carów?

Oczywiście to nie do końca jest tak, że to jest niegroźny korek, bo tam jest wojsko, ale jednak jest to raczej ruski korek, bardak, a nie blitzkrieg.

Wicie pewnie też, że kilka portali kremlowskich miało zaplanowane posty o wyzwoleniu i ponownym zjednoczeniu ziem ruskich na 26 lutego, 8 rano.

Naprawdę, to był news, który mimo ogólnego braku wesołości, jak to mówią, made my day.

Nie wiem, kto układał plany inwazji, ale musiał zastosować srogie dawki.

Niestety są też gorsze wieści. Wiele wskazuje na powolne, mozolne okrążanie Kijowa, odciecie Mariupola.

Putler pokazał się dzisiaj na jakiejś budowie. Pierwszy raz od wybuchu wojny bez wypowiedzenia. Spontaniczni robotnicy w odległości trzydziestu metrów od niego wznosili spontaniczne okrzyki na cześć bohaterskich chłopaków na wojnie. Brzmieli nieco gorzej niż my we dwóch z Grześkiem Giedrysem dziesięć lat temu słuchający po pijaku Lao Che. No ale się starali.

Wypłynęło nagranie Aleksieja Nawalnego z sądu, jego przemowa 25 lutego, dali mu mówić, bo pewnie myśleli, że i tak nic nie wypłynie poza salę, ktoś nagrywał, słabą komórką. Mówił odważnie.

Podobno mają być zakładane komitety antywojenne w Rosji, ale kto tam wie. Wiadomo, że poborowi nie bardzo chcą walczyć. Są niedoszkaleni, niedożywieni, brakuje paliwa, a na dokładkę naprawdę myśleli, że jadą kogoś wyzwalać, denazyfikować.

A tu już po zajęciu miast ludzie wyzywają ich, lżą i mówią: wypierdalajcie z naszej ziemi. No i podobno zdarza się, że zostawiają sprzęt i idą do domu.

Wagnerowców, którzy jechali zabić Zełenskigo – Ukraińcy na przedmieściach Kijowa wybili podobno do nogi. Czeczeńców, którzy jechali zabić Zełenskigo – wybili do nogi.

A Zełenski przemawiał w Europarlamencie. Ukraina przypomniała nagle wszystkim, po co jest UE, NATO i dlaczego mamy jakieś tam wartości.

Robiła to od dawna, tylko prawie wszyscy mieli to w dupie. Kiedy ginęła na Majdanie „Niebiańska Sotnia”, to mówili, że my w Polsce zawsze histeryzowaliśmy.

Pierwszy tysiąc dolarów ze zbiórki dotarł do Hospitalierów. Stan zbiórki 360%. Będzie więcej, bo jeszcze kasę ze sprzedaży książek musimy jakoś mądrze przelać.

Dobra rozmowa z jednym z kolegów po piórze. Opowiadał, że do jednego ze sklepów z bronią w PL wszedł Ukrainiec, niemłody. Pyta o celowniki termowizyjne. Facet mówi,

że tak, ale tylko górna półka została po 10, 20 tysięcy za sztukę. Ukrainiec mówi: to po 20 każdego. Facet mówi: nie mam tyle. To on mówi – to dawaj ile masz. Wyszedł ze sprzętem wartym 350 koła.

I tak to jest – kiedy nasze państwo chwali się naszym wysiłkiem, naszymi kolejnymi zaskórniakami na czarną godzinę – ludzie po prostu robią rzeczy.

Niektórzy.

W biurach paszportowych kolejki jak przed wakacjami. Podobno husaria sposobi się do odlotu do ciepłych krajów, na wszelki wypadek.

No i na koniec.

Borys w dobrym humorze, żyje. Olaf, żyje. Vita z dziećmi – żyje, mówi, że spokojnie. Yaryna – żyje.

Stalowe kleszcze się zaciskają, ale oni nie ustępują.

Jeszcze myśmy nie zginęli,
póki oni żyją.

Grażyna Nawrońska



ZAPISANE W DREWNI

Archeologia historyczna, a zwłaszcza archeologia miast, zaczęła się intensywnie rozwijać od lat osiemdziesiątych ubiegłego stulecia. Prowadzone od tego czasu w obrębie ośrodków miejskich, m.in. w Elblągu, Kołobrzegu, Gdańsku, Wrocławiu (i wielu innych) szeroko-płaszczyznowe badania archeologiczne zaczęły być realizowane w szerokiej współpracy interdyscyplinarnej. Wszechstronne i systematyczne współdziałanie z historykami, historykami sztuki i architektury, archeozoologami, dendrochronologami, botanikami, pozwoliło i pozwala osiągać spektakularne wyniki. Bowiem tylko połączenie wyników prac wykopaliskowych z badaniami specjalistycznymi pomaga nam rozwiązywać szereg problemów i zagadek związanych z funkcjonowaniem miast i życiem codziennym ich mieszkańców.

METODA DENDROCHRONOLOGICZNA

Jedną z metod o kapitalnym wprost znaczeniu w procesie zgłębiania odległej przeszłości jest dendrochronologia. Jej podstawa została stworzona w latach 20-tych XX wieku przez amerykańskiego astronoma A.E. Douglassa. Punktem wyjścia jest fakt, iż większość gatunków drzew wytwarza w każdym roku pierścienie, czyli słoje, które są widoczne w przekrojach pni drzew lub na wykonanych z nich deskach czy belkach. Te przyrosty roczne tworzą sekwencje o zróżnicowanych grubościach zależnych od warunków klimatycznych w jakich powstały. W warunkach sprzyjających są zdecydowanie szersze, natomiast w czasie surowych zim względnie suszy przyrosty są węższe. Cechy te są czytelne na wszystkich drzewach danego gatunku. Punktem wyjścia do badań dendrochronologicznych jest stworzenie tzw. skali dendrochronologicznej osobno dla poszczególnych gatunków drzew – np. dębu, sosny, i regionów geograficznych. W Polsce skale dendrochronologiczne buduje się dla dębu i sosny.

Najstarsze drzewa w Polsce (dęby) mogą mieć około trzystu lat (Puszcza Białowieska), a potem naturalnie obumierają. W Wolińskim Parku Narodowym zachowały się okazy liczące około 400 lat; natomiast drzewa, które skupiają uwagę dendrochronologów, mają generalnie od 150 lat do 300 lat. Zdecydowanie starsze okazy dębów stwierdzono w Turcji, gdzie wiek stojących dębów dendrochronolodzy określili na około 700 lat.

Opracowanie wzorca tzw. skali dendrochronologicznej rozpoczyna się od pobrania próbek przy pomocy specjalnych świdrów z rosnących drzew o jak najgrubszym pniu. Np. możemy uzyskać skalę przyrostu w przestrzeni czasowej od 1650 roku do 2020 roku. Porównujemy ją do pobranej próby z belek starych kościołów, zbudowanych np. w szesnastym

wieku lub na początku siedemnastego. W ten sposób próby w pewnym punkcie pokrywają się ze sobą, a uzyskana skala wydłuża się „w przeszłość”. Kolejnym etapem na skali dendrochronologicznej są próbki pochodzące z różnorodnych konstrukcji drewnianych – domów, ulic, latryn, studni – odkrywanych podczas prac wykopaliskowych.

Najstarsze uzyskane w Europie daty dendrochronologiczne dla materiału pochodzące z badań archeologicznych pochodzą z północnej Irlandii – około 5000 la p.n.e. – i terenu zachodnich Niemiec – około 7000 lat p.n.e.

DENDROCHRONOLOGIA W ELBLĄGU

Na początku lat osiemdziesiątych ubiegłego stulecia dendrochronologia w Polsce była dziedziną znaną tylko kilku osobom. Obecnie zastosowaniem tej metody do datowania obiektów zabytkowych zajmuje się praktycznie tylko kilka osób: prof. Tomasz Ważny z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu oraz profesorowie Andrzej Zieliński i Marek Krąpiec z Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie.

Pierwsze prace badawcze związane z datowaniem obiektów drewnianych pochodzących z badań archeologicznych prowadzonych na Starym Mieście w Elblągu zapoczątkowano w 1985 r. w ramach projektu Instytutu Biologii Drewna Uniwersytetu w Hamburgu – prof. D. Eckstein i dr T. Ważny – z Pracownią Archeologii Miast PP PKZ kierowaną przez mgra T. Nawrońskiego.

Rozpoczęto „budowę” pierwszej w Polsce chronologii dębu zaczynając od pobrania próbek ze starych rosnących dębów, następnie z więźb dachowych kościołków i domów w konstrukcji szkieletowej, a na końcu z odkrytych różnorodnych obiektów, relikwów drewnianych pochodzących z wykopalisk; a więc podwalin i kantówek stanowiących elementy domów, dranic z podłóg, ulic, studni i latryn. W ten sposób opracowano chronologię dębu dla Elbląga, która została zsynchronizowana ze standardem dendrochronologicznym północnych Niemiec. Tak więc uzyskano najstarszy fragment wzorca także dla Pomorza Gdańskiego i Elbląga dla lat 1131–1327. Było to pierwsze w Polsce bezwzględne, czyli wyrażone w latach kalendarzowych, dendrochronologiczne datowanie drewna. Okazało się, że stulecia XIII i XIV były okresem, w którym występowały duże podobieństwa w przyrostach dębów w odległych od siebie leśnych kompleksach – między północnymi Niemcami i Elblągiem, co zostało wykazane we wspólnie prowadzonym projekcie.

Prace nad opracowaniem tysiącletniego wzorca drewna dębowego zajęli badacze prof. Tomaszowi Ważnemu pięć lat. Natomiast w przypadku ustalenia chronologii dla sosny – które okazało się znacznie trudniejsze – wymagało dłuższego czasu, bo aż dwunastu lat.

Podczas prowadzonych na ogromną skalę w latach 1980–2010 kompleksowych prac archeologicznych na terenie Starego Miasta w Elblągu pobrano ponad 1500 prób z różnorodnych elementów drewnianych, które następnie zostały wydatowane przez prof. T. Ważnego. Pochodziły one z dawnej (średniowiecznej i wczesnonowożytnej) drewnianej zabudowy mieszkalnej, gospodarczej, fragmentów ulic, studni, wodociągów i latryn.

Badania wykopaliskowe obejmowały rejony wszystkich podwórek i wybranych wnętrz murowanych domów, gdzie zachowały się jeszcze nieliczne relikwiny pierwotnych trzynastowiecznych

budynków frontowych. W wielu miejscach odślonięto nawet sześć poziomów drewnianej zabudowy datowanej od połowy trzynastego wieku do wczesnej nowożytności (XVI w.).

Jednym z wielu dobrych przykładów zastosowania dendrochronologii w Elblągu są działki mieszczańskie przy ulicy Kowalskiej 11 i 12. W ich obrębie badania dendrochronologiczne objęły pięćdziesiąt dziewięć drewnianych elementów konstrukcyjnych pochodzących z różnych poziomów zabudowy, a trzydzieści dwie wydatowane próbki drewna pozwoliły na odtworzenie historii rozplanowania obu parcel.

Najstarszym poziomem drewnianej zabudowy były pozostałości zabudowy domu wzniesionego w konstrukcji ramowo-słupowej. Analiza drewna z dębowych podwalin, kantówek i słupów pozwoliła na określenie zachowanych relikwów budynku na początek lat 60-tych XIII wieku. Elementami drewnianymi z drugiej fazy budynku, na których zachowała się jeszcze kora, były potężne podwaliny o średnicy 80 cm, określające datę ścięcia drzewa na lata 1280/1281. Mogły być ścięte jesienią 1280 r. lub zimą 1280/1281. Zwykle zastosowanie drewna do budowy miało miejsce bezpośrednio po ścięciu.

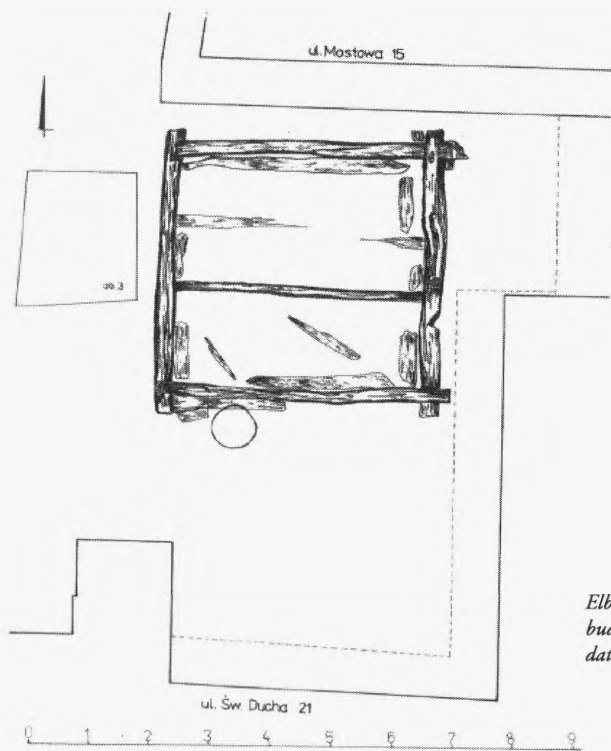
Duży pożar, który na przełomie lat 1288/1289 zniszczył w znacznym stopniu drewnianą zabudowę Starego Miasta, zostawił wyraźne ślady spalenizny. W kilka lat po nim, na zgłiszczach, wzniesiono w tym miejscu budynek, a użyte do jego budowy drewno pochodziło z drzew ścinanych jesienią 1296 roku lub zimą 1296/1297. W późniejszym okresie na tyłach działek wybudowano zespół latryn i studni, które w znacznym stopniu zniszczyły wcześniejszą drewnianą zabudowę. Datowanie dranic jednej z latryn określono na około 1342 r.

Na obszarze Starego Miasta odślonięto relikty drewniane kilkuset domów datowanych od lat 40-tych XIII wieku do końca piętnastego stulecia. Uzyskane z nich dane dendrochronologiczne pozwalają nam w bardzo dużym stopniu na ustalenie dat ścięcia drzew, a tym samym i budowaniu z nich obiektów mieszkalnych i gospodarczych, studni, latryn, jak i nawierzchni ulic.

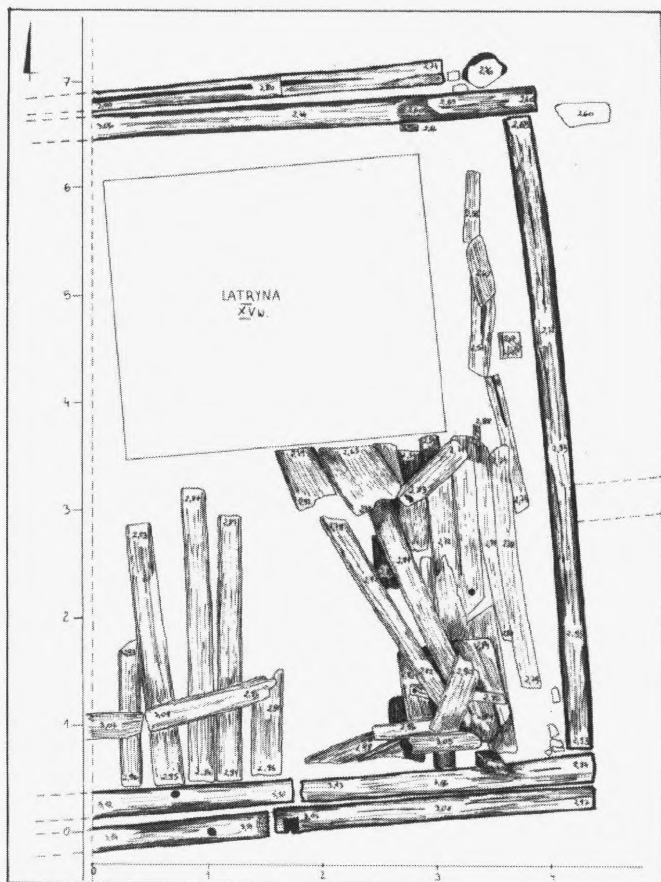
W dawnym Elblągu najstarsze domy drewniane wznoszono w konstrukcjach plecionkowej, palisadowej i słupowej, a od lat 80-tych XIII stulecia dominowała konstrukcja szkieletowa, stanowiąca najbardziej rozwiniętą formę budownictwa drewnianego. Dominującym gatunkiem drewna używanego do budowy był dąb; natomiast znacznie mniejsze znaczenie miało drewno sosny, sporadycznie używano drewna olchy, jesionu i wiązu. Tych ostatnich nie stosowano do elementów konstrukcyjnych.

Od połowy XIV wieku podstawowym materiałem budowlanym służącym do wznoszenia obiektów mieszkalnych (i nie tylko) było nadal drewno. Analizując rezultaty około 1500 wydatowanych próbek drewna, z podziałem na poszczególne fazy rozwoju budownictwa Starego Miasta, możemy mieć pewien obraz gospodarki drewnem.

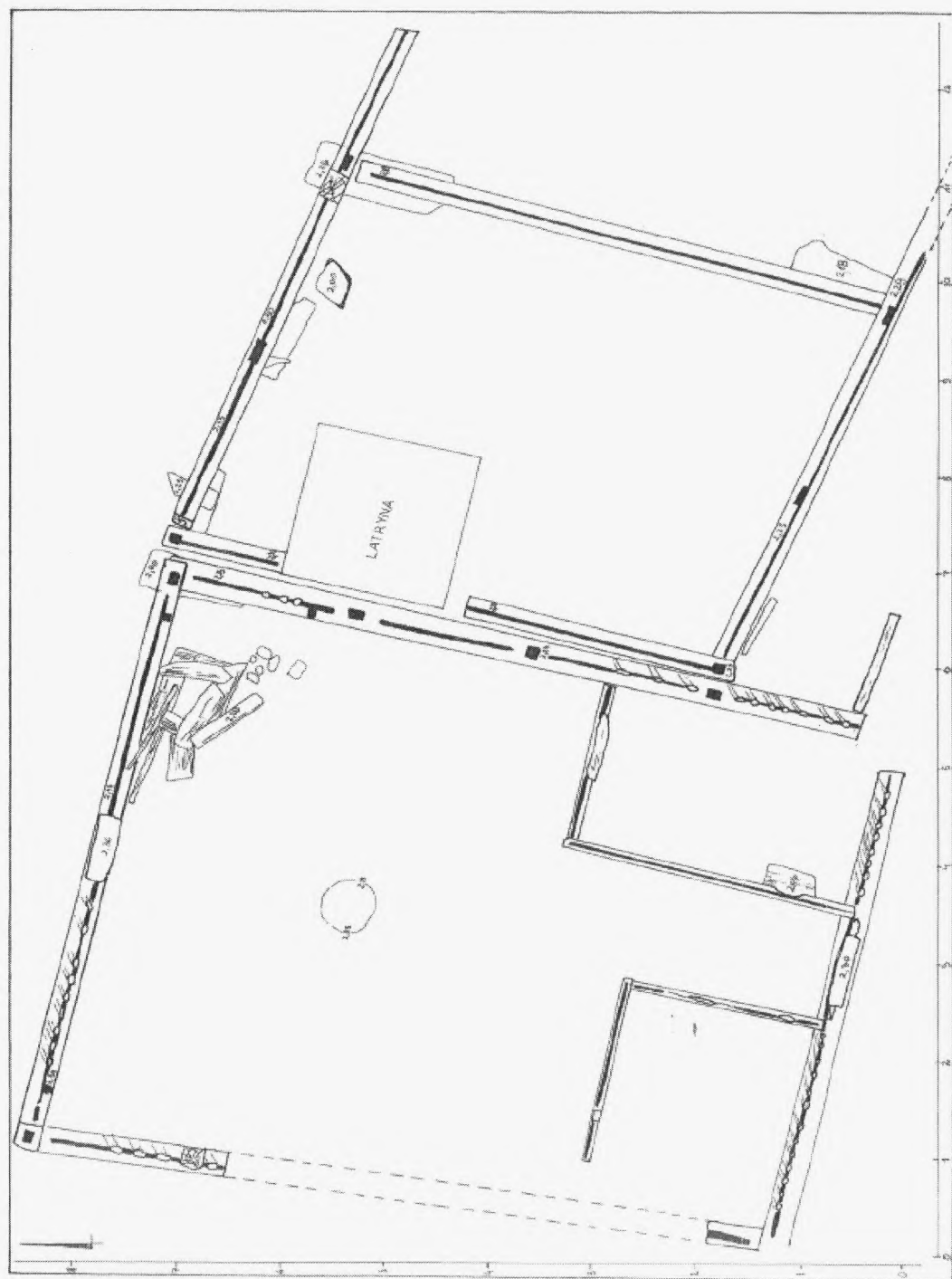
Od początku funkcjonowania założonego w 1237 roku Elbląga wznoszono budynki w prostych systemach konstrukcyjnych, używając surowca z młodych drzew w wieku do 100 lat. Lata 1260–1280 charakteryzuje obecność zdecydowanie starszych okazów. Największy rozwój budownictwa drewnianego na Starym Mieście przypadł na lata 1281–1300, tuż po dużym pożarze miasta (1288/1289) i jego odbudowie po ogromnych zniszczeniach. Drewno używane wówczas do stawiania przede wszystkim obiektów mieszkalnych charakteryzowało się wysoką jakością i przeciętnym wiekiem od 150 do 200 lat i było dobrane pod kątem realizowania sprecyzowanych potrzeb. Od połowy XIV wieku ma miejsce



Elbląg. Stare Miasto. Fragment budynku w konstrukcji zrębowej datowanej na rok 1286.



Elbląg. Stare Miasto. Fundament dwutraktowego budynku datowanego na lata 1290–1300.



Elbląg. Stare Miasto. Fundament drewnianego budynku i fragmenty podłogi datowane na początek XIV wieku.

zdecydowanie mniejsza ilość uzyskiwanych dat dendrochronologicznych, co może świadczyć o zastępowaniu budynków drewnianych obiektami murowanymi – kamienicami. Wycinano wówczas mniej drzew, a drewniany surowiec używano przede wszystkim do masywnych elementów konstrukcyjnych, np. więźby dachowej. Natomiast studnie, latryny i niektóre pomieszczenia gospodarcze budowano z dranic i desek, często wtórnie wykorzystywanych, jednak używano także drewno z drzew iglastych.

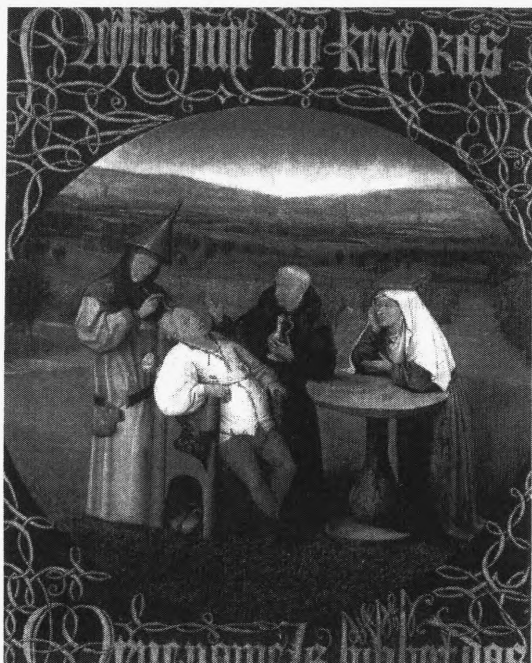
Określając na podstawie dat dendrochronologicznych wiek studni i latryn musimy być ostrożni, gdyż elementy drewniane użyte do ich budowy mogły być wykorzystywane wtórnie ze starych rozebranych obiektów. Było to praktyką powszechnie stosowaną nie tylko w dawnym Elblągu, ale w wielu miastach hanzeatyckiej strefy północnej Europy, a tendencja spadku w stosowaniu drewna do budowy domów była wynikiem intensywnego rozwoju mieszczańskiego budownictwa ceglanego.

DENDROCHRONOLOGIA... I MALARSTWO

Badania dendrochronologiczne mają jeszcze jeden bardzo ważny aspekt naukowy, chociaż dotychczas mało znany. Otóż pod koniec lat 60-tych ubiegłego stulecia dendrochronolodzy niemieccy we współpracy z historykami sztuki rozpoczęli badania dębowych podłoży ponad 300 obiektów wielkich mistrzów malarstwa europejskiego, m.in. Hieronima Boscha, Rembrandta van Rijn, Antoniego van Eycka, Petera Paula Breughla. Stwierdzono wówczas, że część z obrazów została namalowana na drewnie pochodzącym z północnych Niemiec, jednak większości nie udało się wyjaśnić, gdyż ustalony wówczas ciąg chronologiczny kończył się na roku 1650. Nie było więc wiadomo, skąd pochodziło drewno używane przez malarzy – czy również z Niemiec, a może z innych sąsiednich terenów. Nawiązana wówczas szeroka współpraca naukowców niemieckich z prof. Tomaszem Ważnym i wybitnym historykiem czasów średnio-wieczna prof. Henrykiem Samsonowiczem, przyniosła rewelacyjne ustalenia. Opierając się na źródłach historycznych dotyczących rozległych kontaktów handlowych i szerokiej wymiany gospodarczej prowadzonej między ośrodkami północnej i zachodniej Europy – a więc miastami należącymi do Związku Miast Hanzeatyckich – poczyniono wspaniałe ustalenia. Otóż w Księgach Celnych z XVI i XVII wieku odnotowano wszystkie statki przepływające w obie strony przez cieśniny duńskie, a tym samym towaru przez nie transportowane. Podobnie



*Rembrandt van Rijn. „Podniesienie krzyża”
(namalowany w 1663 roku)*



Hieronim Bosch „Leczenie głupoty”
(malowany a latach 1475–1480)

było w komorach celnych w Gdańsku czy Włocławku. Okazało się, że z terenów Państwa Krzyżackiego, Królestwa Polskiego eksportowano ogromne ilości wysokogatunkowego drewna. Drewno dębowe było potrzebne m.in. do budowy statków, a np. do zbudowania jednego z nich potrzebowano czterech tysięcy „dorodnych” dębów. Używano ich także do elementów konstrukcyjnych umieszczanych we wznoszonych kościołach, szpitalach i innych budynkach.

Szeroka i wieloletnia współpraca dendrochronologów, historyków i historyków sztuki wykazała, że w około 80% obrazów wykorzystywano drewno pochodzenia bałtyckiego. Jednym z przykładów jest wielki tryptyk Petera Paula Rubensa „Podniesienie krzyża” – użyte do jego podłoża drewno pochodziło z północnej części Podlasia; podobnie jak np. dłubanka wydobyta z koryta rzeki Biebrzy.

Mistrzowie malarstwa woleli malować na podłożu pochodzącym z drzew rosnących w nadbałtyckim rejonie, gdyż drewno z lasów polskich miało wąskie i regularne słoje, co oznaczało, iż było wytrzymałe, lekkie, łatwe w obróbce i nie zniekształcało się. Poza tym lasy dębowe w Europie zachodniej były już mocno wytrzebione, natomiast obszar nadbałtycki obfitował jeszcze w duże ilości drzew.

Tak dokładne określenie chronologii drewna pochodzącego z zabudowy drewnianej, obiektów gospodarczych czy obrazów, było i jest możliwe tylko dzięki szerokiej współpracy interdyscyplinarnej archeologów, historyków sztuki, konserwatorów, historyków, geografów. Tego typu prace prowadzone są w szerokiej kooperacji prof. Tomasza Wąznego z wieloma instytucjami naukowymi i badaczami w Europie, Azji, Stanach Zjednoczonych. Wyniki prac często zmieniają wcześniejsze ustalenia i naszą dotychczasową wiedzę na temat chronologii wydarzeń w przeszłości. Są również pomocne w badaniach globalnych zmian klimatycznych, jak również w rekonstrukcji klimatu w przeszłości.

Bardzo trafnie wagę i znaczenie prowadzenia systematycznych badań dendrochronologicznych ujął prof. Mike Baillie z Queens University w Belfaście, dla którego dendrochronologia jest nie tylko zawodem, ale i ogromną pasją. Badaczy zajmujących się tą dziedziną nauki nie jest bowiem wielu. Jest to nieliczna grupa wybitnych naukowców i jak powiedział o nich i o sobie profesor *są oni pierwszymi ludźmi będącymi w stanie widzieć różne aspekty przeszłości z roczną precyzją.*

Radosław Kubus



WYZWISKA I GESTY OBRAŹLIWE W UŻYCIU MIESZKAŃCÓW PRUS KRÓLEWSKICH

W cieszących się ogromną popularnością w Prusach Królewskich, wielokrotnie wznawianych, rozmówkach polsko-niemieckich Nicolausa Volckmara w jednym z dialogów czytamy: „Poczekaj jeszcze trochę, pójdę pierwszej na wychód. Fuj! wyjebany smrodzie, a nie sromasz się? A kogo się mam sromać? Ciebie?” Zastosowanie w przeznaczonych dla młodzieży rozmówkach określenia „wyjebany smrodzie” (*du garstiger Unflat*), może wskazywać na to, że wulgaryzmy, inwektywy i wyzwiska były zwyczajowo dobrze znane i powszechnie wykorzystywane w wielu sferach życia, w tym również konfliktach interpersonalnych pomiędzy mieszkańcami Prus Królewskich¹. W niniejszym tekście nie mam zamiaru wnikać w meandry typologizacji owych terminów i ich różnic znaczeniowych. Pragnę raczej przedstawić najpopularniejsze tego typu zwroty pozostające w użyciu wśród ludzi zamieszkujących obszar Prus Królewskich.

Jak wskazuje Maria Wojtyła-Świerzowska, „wyzwiska mają funkcję, nie tyle charakteryzującą, co poniżającą, obrażającą; celem wyzwiska jest zniszczenie słowem drugiej osoby, splugawienie jej, zelzenie, pozbawienie czci. Używa się tu słownictwa uznawanego powszechnie za obsceniczne, odnoszące się do wszystkiego, co jest oceniane jako obrzydliwe, plugawe, nieprzyzwoite, nieobyczajne, ordynarne, wywołujące pogardę, kpinę. Wyzwiska wywoływane są zazwyczaj w sytuacjach nacechowanych ekstremalnie negatywnymi emocjami – wściekłości, nienawiści, agresji, pogardy, kpiny, chęci dokuczenia: w bójce, kłótni, nienawistnej obmowie”². Inwektywy mogą być zindywidualizowane, jak i przybierać formę zbiorową. Te ostatnie wynikają z tworzących się pomiędzy społecznościami regionalnymi uprzedzeń i stereotypów. Doskonale to widać w okresie powojennym wśród różnych grup ludności przybyłej na Ziemię Odzyskaną. Wówczas Niemców i szerzej ludność rodzimą nazywano szwabami, Niemcami, czy luterakami. Osadników z Polski centralnej określano z kolei jako bose antki, centralaki, złodzieje. O ludności wysiedlonej z terenów ZSRR mawiano, że są to ruski, parsiuki, zabugle. Przybyszów z Ukrainy natomiast nazywano kacapami oraz chachałami³.

Na ziemiach Rzeczypospolitej w okresie wczesnonowożytnym wobec kobiet najczęściej jako obraźliwego używano określenia „kurwa”. Odnosiło się ono zarówno do kobiet zajmujących się prostytutką, jak również tych, które nie parały się wykonywaniem najstarszego zawodu świata. Poza tym wobec płci niewieściej stosowano takie inwektywy jak: „murwa”,

¹ E. Kizik, *O źródłach i metodzie badań nad seksualnością w Polsce XIV–XVI wieku. Odpowiedź Adamowi Krawcowi*, [w:] *Mieszczanie, wasale, zakonnicy*, (red.) B. Śliwiński, Malbork 2004 („Studia z Dziejów Średniowiecza”, nr 10), s. 467–469.

² M. Wojtyła-Świerzowska, *Jeszcze o przezwiskach*, „Językoznawstwo”, nr 1(8), 2014, s. 110.

³ A. Paprot-Wielopolska, *Żuławy i Powiśle. Kreowanie tożsamości lokalnych i regionalnych po 1989 roku*, Warszawa 2018, s. 20.

„szwajcarska krowa”, „ożarlicha”, „przewalona kaczyca”, „małpa”, „wyleganica”, „nęta”, „przechodka”, „klepa”, „larwa”, „suka”⁴. Do najczęstszych wyzwisk stosowanych względem mężczyzn należały z kolei terminy: „szelma”, „hundsfoť”, „kurewnik”, „psiarz”, „świniarz”, „szalbierz”, „tłuk” oraz „machlerz”. Używano także określeń, które zniesławiały równocześnie mężczyznę i jego rodzicielkę, tj. „skurwysyn”, czy „kurwi macierzy syn”⁵.

Wyzwiska wywodzą się od słów związanych z fizjologią człowieka („smarkacz”, „gnój”, „gówniarz”, „smród”). Czerpią również inspiracje ze świata zwierząt. Poza wyzwiskami w rodzaju „świnia”, „warchlak”, „żmija”, „krowa”, „małpa” czy „osioł”, należy wskazać na szczególną popularność terminu „pies” i jego pochodnych. Możemy zatem znieważać kogoś, nazywając go „psem” lub „psim synem”. W przypadku kobiet odpowiednikiem będzie „suka” (w odniesieniu do mężczyzn „sukinsyn”). Natomiast w stosunku do dziecka możemy użyć określenia „szczeniak”. Poza tym występuje także termin „kundel”. Tego rodzaju inwektywy nawiązują do następujących cech: podłość, niedojrzałość, głupota, brud⁶.

Jeszcze inną grupą wyzwisk są te, które nawiązują do sfery seksualnej. Najbardziej oczywistymi przykładami tego rodzaju inwektyw są te odnoszące się do narządów płciowych. Poza tym należy wskazać na przytoczone już określenia względem kobiet, sugerujące ich rozwiązły styl życia. Spora grupa wyzwisk odnosiła się to tych obszarów życia, które były stabuizowane. Wśród określeń tego typu występują między innymi te nawiązujące do chorób i śmierci. Można tu wskazać choćby na popularny w okresie wczesnonowoczesnym termin „szelma”. Nie zapominajmy w końcu o tych wyzwiskach, które odnosiły się do konkretnych, zarzucanych bądź insynuowanych adwersarzowi, czynów. Mówimy zatem o „złodzieju”, „kłamcy”, „mordercy” czy „zbój”. Oczywiście wskazane wyzwiska najczęściej były okraszane wszelakiej maści epitetami, przenikając i łącząc się ze sobą wzajemnie. Mogła występować zatem „złodziejska kurwa”, „kłamliwa suka”, czy „jebany pies”.

Dodatkowo inwektywy wzmacniano często obraźliwymi gestami, a tych występowało wiele. Większość z nich sięgała swoją genezą jeszcze czasów starożytnych i średniowiecza. Weronika Konkol w oparciu o przekazy pisane i ikonograficzne o Męce Pańskiej wyszczególnia ponad 20 tego typu gestów, a wśród nich m.in. opluwanie, wymiotowanie, wysikanie nosa, policzkowanie, wyciąganie za włosy, szarpanie brody, wytykanie języka, wytykanie palcem, wystawienie środkowego palca, a także gest figi i wypięcie pośladków⁷. Gestu figi polegał na wystawieniu zaciśniętej pięści z kciukiem wystającym spomiędzy wskazującego i środkowego palca w celu wyszydzenia nieprzyjaciela. Geneza tego gestu sięga starożytności⁸. W środowiskach wiejskich szczególną popularnością cieszył się z kolei gest wypięcia pośladków połączony niejednokrotnie ze zniewagą słowną. W materiałach źródłowych rejestruje się go szczególnie często począwszy od XVIII wieku. Tomasz Wiślicz suponuje, że gest ten wykorzystywany był pierwotnie do obrony przed złymi mocami, a jego wartość defensywna wynikała z funkcji obelżywej i ośmieszającej. Z czasem jednak

⁴ T. Srogosz, *Życie codzienne żołnierzy armii koronnej i litewskiej w XVII wieku*, Oświęcim 2018, s. 201.

⁵ *Ibidem*.

⁶ U. Kolberová, *Wyzwiska z komponentem „pies” w języku polskim*, „Opera Slavica”, t. XXIV, 2014, nr 2, s. 29–37.

⁷ W. Konkol, *Gesty zniewagi w świetle polskich późnośredniowiecznych przekazów pisanych i ikonograficznych o Męce Pańskiej*, „Studia z Dziejów Średniowiecza”, nr 21, 2017, s. 59–92; E. Kizik, op.cit., s. 466.

⁸ W. Konkol, op.cit., s. 75.

jego znaczenie obronne zanikło, a stał się przede wszystkim obelgą⁹. Gest ten wykonywały głównie kobiety ze względu na fakt, że łatwiej było im zdrzeć spodnicę, aniżeli mężczyznom opuścić spodnie¹⁰.

Wydaje się, że używane przez mieszkańców Prus Królewskich wyzwiska i obraźliwe gesty nie różniły się zanadto od tych używanych przez mieszkańców innych regionów Rzeczypospolitej. Oczywiście w przypadku wyzwisk nawet w samych Prusach Królewskich mogły pojawiać się pewne regionalizmy, związane choćby z mnogością występujących tam dialektów. Nie mówiąc już o wielokulturowości, a co za tym idzie różnicowaniu językowym tego obszaru.

Zarówno sama agresja werbalna, jak i wzmacniające ją obraźliwe i obsceniczne gesty, stanowiły wstępny etap konfliktów interpersonalnych. Kulminacją tego typu konfliktów była często agresja fizyczna, kończąca się naruszeniem nietykalności cielesnej jednej bądź obu stron¹¹. Wytrawny badacz tej tematyki, Dariusz Kaczor, wskazuje następujący przykład takiego konfliktu. Otóż 25 października 1690 r. doszło do kłótni pomiędzy Hansem Schreiberem i jego podwładnym Baltzerem Reinertem. Zanim doszło do agresji fizycznej, właściciel warsztatu odlewniczego zwymyślał swojego czeladnika od „huncwotów” i „fotzenhundów”¹². Natomiast w innym przypadku z roku 1605, pomiędzy dwójką szyprów królewieckich rozładowujących towary w porcie gdańskim, doszło do bijatyki na noże. Bijatykę poprzedziły wzajemne wyzwiska od szelmów i złodziei¹³. Do podobnych sytuacji dochodziło również na podgdańskich Żuławach. W 1716 r. dwóch parobków w Cedrach Małych pobiło się. Wszystko zaczęło się od tego, że jeden z chłopów ubliżył drugiemu nazywając go „psem” i „rakarzem”, na co znieważony bez zastanowienia uderzył wyzywającego trzymanym w rękę cepem¹⁴. Wskazane przykłady pokazują, jak silna była wrażliwość ludzi tego czasu na zniewagi słowne. Honor, dobra sława, cześć były wartościami nadrzędnymi, które kształtowały pozycję społeczną jednostki w grupie. Hołdowanie im wymagało zatem zabiegów radykalnych, włącznie z naruszeniem cielesności, a wręcz unicestwieniem napastnika¹⁵.

Martina Thomsen badając przestępczość w XVIII-wiecznym Toruniu, wskazuje na to, że istniał pewien kanon słów, które były stale wykorzystywane w utarczkach słownych pomiędzy mieszkańcami tego miasta. Najczęściej wykorzystywanymi obelgami były zatem terminy „huncwot” i „łotr”, tudzież „łajdak” (*Canaille*). Istniała także wspomniana już kategoria inwektyw, które dotyczyły sfery seksualnej oczernianej osoby, tj. „kurwa”, „skurwysyn” itp. Kolejna grupa obejmowała obelgi, które przypisywały obrażanej osobie nieuczciwe zachowanie. Chodzi tu o takie wyzwiska jak „kłamca”, „oszust”, „łotr”, „złodziej” i „łajdak”.

⁹ T. Wiślicz, *Gest obraźliwy na wsi polskiej w XVII i XVIII wieku*, „Przegląd Historyczny”, 1997, t. 88., nr 3–4, s. 420–421.

¹⁰ *Ibidem*, s. 423.

¹¹ D. Kaczor, *Rozwiązywanie konfliktów interpersonalnych w Gdańsku we wczesnej epoce nowożytnej – zarys problematyki*, [w:] *Gdańsk w okresie nowożytnym. Kultura, religia, polityka, społeczeństwo i stosunki międzynarodowe/Danzig in der frühen Neuzeit. Kultur, Religion, Politik, Gesellschaft und internationale Beziehungen*, red. W. Długokęcki, J. Sarnowsky, Sopot 2021, s. 234–235.

¹² *Ibidem*, s. 226.

¹³ D. Kaczor, *Ludzie morza w konflikcie z Temidą. Sprawy przeciw marynarzom przed sądami gdańskimi w XVI–XVIII wieku*, [w:] *W epoce żaglowców. Morze od antyku do XVIII wieku*, (red.) B. Możejko, E. Bojaruniec-Król, Gdańsk 2016, s. 190.

¹⁴ D. Kaczor, *Przestępczość kryminalna i wymiar sprawiedliwości w Gdańsku w XVI–XVIII wieku*, Gdańsk 2005, s. 90.

¹⁵ *Ibidem*.

Również tzw. „nieczyste zawody” mogły być uważane za obelgi, przede wszystkim chodzi o profesję kata i jego pomocników. Obrażliwe było zatem zastosowanie względem adwersarza terminów „rakarz” czy „pachołek katowski”. Jeszcze inną grupę określeń poniżających stanowiły te, które degradowały społecznie osobę znieważaną. Mam tu na myśli określenia takie jak „chłop”, „sługa”, czy „giermek”. Mogły szczególnie dotyczyć tych ludzi, których awans społeczny budził kontrowersje. Bardzo często, o czym już wspomniano, używano również obelg, dla których inspiracje stanowił świat zwierząt. Wypada także wspomnieć o wyzwiskach, które odnosiły się do kondycji fizycznej tudzież psychicznej przeciwnika. M. Thomsen wskazuje tutaj określenia takie jak „żółtodziób” czy „faja”. Wreszcie autorka wskazuje na obelgi o konotacjach etnicznych bądź religijnych. Na przykład „katolicki pies”, „luteński łajdak” czy „polski rakarz”¹⁶. Co interesujące, w przypadku Torunia dość często w źródłach pojawiały się poza wyzwiskami w języku niemieckim także te w języku polskim. Użycia niemieckich ewentualnie polskich wyzwisk nie można jednoznacznie przypisać konkretnym warstwom społecznym czy etnicznym. W Toruniu bowiem zarówno garnizon miejski, jak również toruńscy mieszczanie i studenci używali polskich wyzwisk¹⁷. W jaki sposób język niemiecki przenikał się w tym mieście z językiem polskim widać doskonale na przykładzie księgi sentencji wyroków z XVI i XVII wieku. Otóż w 1618 roku względem pewnego człowieka zasądzono karę wygnania na czas nieokreślony po uprzednim odbyciu robót (*Exilium non determinato tempore nach gethaner arbeit*), za to że zaprzedał swoją duszę diabłu, wypowiadając następujące słowa: „niechaj diabli moją dułą wezmą”¹⁸. W jeszcze innym przypadku z roku 1606 pewien mężczyzna został skazany na wieczne wygnanie po uprzednim wystawieniu na widok publiczny pod pręgierzem i chłóście za słowa wypowiedziane względem niemieckich urzędników i obywateli, które brzmiały następująco: „Niemcy w krotkim czasie was będziemy ścinać ze się krew waśa po Rinstokach łać będzie” (II. 1)¹⁹.

W ostatnim czasie ukazała się drukiem rozprawa doktorska Jaśminy Korczak-Siedleckiej. Autorka w oparciu o księgi sądowe Mierzei i Szkarpawy obejmujące lata 1578–1626 dokonała wnikliwej analizy rodzajów przemocy werbalnej występującej na terenie nadmorskich wsi będących patrymonium Gdańska²⁰. Wcześniej ten temat został zasygnalizowany przez Franziskę Beck, w jednym z rozdziałów jej opublikowanej na początku lat 60. XX wieku rozprawy doktorskiej²¹. Jaśmina Korczak-Siedlecka przytacza szereg przykładów wyzwisk używanych przez chłopów na terenie Mierzei i Szkarpawy. Jak wskazuje badaczka, najpopularniejszą obelgą w odniesieniu mężczyzn było określenie „szelma”, związane etymologicznie z terminami „kat” i „rakarz”, które również pozostawały w użyciu wśród ówczesnych chłopów z tego terenu. W przypadku kobiet dominowało określenie „kurwa”, dla którego to określenia alternatywą było słowo „sakwa”. Jak wskazuje J. Korczak-Siedlecka, „nazwanie kobiety *sakwą* było, tak jak w przypadku *kurwy*, napiętnowaniem jej jako ładacznicy

¹⁶ M. Thomsen, *Zwischen Hauptwache und Stockhaus. Kriminalität und Straffustiz in Thorn im 18. Jahrhundert*, Marburg 2005, s. 132–134.

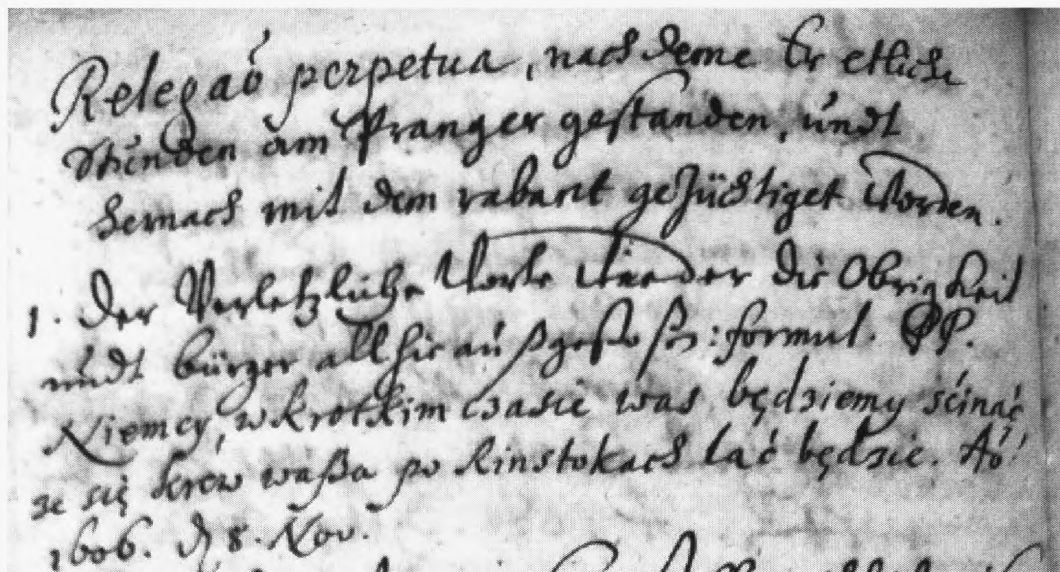
¹⁷ *Ibidem*, s. 134.

¹⁸ Archiwum Państwowe w Toruniu [dalej: APT], Akta Miasta Torunia. Kat. II/VIII-14.

¹⁹ *Ibidem*.

²⁰ J. Korczak-Siedlecka, *Przemoc i honor w życiu społecznym wsi na Mierzei Wiślanej w XVI–XVII wieku*, Toruń 2021

²¹ F. Beck, *Vom Volksleben auf der Danziger Nehrung. Nach archivalischen Quellen von 1594–1814*, Marburg 1962.



Il. 1. Fragment księgi sentencji wyroków kryminalnych. Źródło: APT, Akta Miasta Torunia. Kat. III/VIII-14 (Fot. R. Kubus)

czy osoby w inny sposób nieprzestrzegającej honorowych zasad życia społecznego²². Nie ma potrzeby przytaczać w tym miejscu wszystkich ustaleń badaczki. Zainteresowanych tematem odsyłam do jej pracy, która została wysoko oceniona przez grono specjalistów²³. Wypada mi jedynie stwierdzić, że zakres stosowanych wyzwisk na Mierzei i Szkarprawie, a z pewnością także obraźliwych gestów, nie odbiegał w istotny sposób od tego używanego w dużych miastach Prus Królewskich. To pozawala przypuszczać, że mamy do czynienia z uniwersalizmem, który znacznie wykraczał poza teren Prus Królewskich, a nawet Rzeczpospolitej. Zarówno używane wyzwiska, jak i obraźliwe gesty, miały wymiar poza państwowy, będąc doskonale rozumianymi przynajmniej w kręgu kultury zachodnioeuropejskiej. Postulatem badawczym na przyszłość pozostaje prześledzenie zmian w zakresie używanych wyzwisk i obraźliwych gestów w późniejszych stuleciach, głównie w XIX wieku.

²² J. Korczak-Siedlecka, op cit., s. 75.

²³ Zob. np. P. Guzowski. Recenzja „Jaśmina Korczak-Siedlecka. Przemoc i honor w życiu społecznym wsi na Mierzei Wiślanej w XVI–XVII wieku, Toruń 2021”, „Zapiski Historyczne”, t. 87, 2022, z. 1, s. 164–168.

Jean Rapp



GDAŃSK KAPITULUJE

Jean Rapp (1771–1821), adiutant Napoleona w latach 1800–1814, generał (od 1803). Wykazywał się wielką odwagą, wielokrotnie był ranny. Przynajmniej dwa razy ratował życie Napoleona: powstrzymując zamachowca w 1809 w pałacu Schönbrunn i zatrzymując szarżę kozaków podczas odwrotu z Moskwy w 1812. Był gubernatorem Torunia (1807) i Wolnego Miasta Gdańska (1807–1813). Pamiętniki Rappa zostały wydane po jego śmierci, w Paryżu, w 1823 roku¹.

Przedstawiony poniżej tekst to tłumaczenie 43 rozdziału. Po wyprawie na Rosję resztki Wielkiej Armii Napoleona pod koniec 1812 znalazły się między innymi w Gdańsku. Tu dowództwo nad wyczerpanymi żołnierzami objął generał Jean Rapp. W 42 rozdziale, który ukazał się w poprzednich numerach „Prowincji”², generał opisywał zacięte walki, które miały miejsce późnym latem i jesienią 1813 – pierścień oblężenia się zacieśniał i mimo męstwa żołnierzy i podejmowanych wysiłków wszystko zmierzało tylko w jedną stronę... do kapitulacji, która miała miejsce 29 listopada 1813 roku.

ROZDZIAŁ XLIII

Pora roku stawała się coraz bardziej uciążliwa. Deszcze padały bez przerwy i tworzyły cuchnącą mgłę, którą słońce, pozbawione ciepła, ledwo mogło rozproszyć. Co jednak było gorsze: coraz bardziej pogłębiał się nasz niedostatek. Zjedliśmy konie, psy i koty, wyczerpaliśmy wszystkie zapasy, brakowało nam nawet soli. Prawdą jest, że produkcją staraliśmy się uzupełniać niedobory. Niektórzy żołnierze wpadli na pomysł gotowania resztek starych desek, które wcześniej znajdowały się z magazynie; próba zakończyła się sukcesem. Eksploatowaliśmy tę kopalnię nowych zasobów i zaopatrzyliśmy szpitale. Liczba mieszkańców twierdzy została zredukowana do minimum. Ludność nie miała żadnych środków do życia oprócz słodu i otrębów, a i tego nie wystarczało do zaspokojenia potrzeb. Myślałem, że w takiej sytuacji oblegający wykażą się troską i nie odrzucą swoich rodaków – wypędziłem więc z twierdzy więźniów i żebraków, wszystkich, dla których nie było prowiantu. Jednak Prusacy byli nieubłagani i gdyby nie mieszkańcy Świętego Wojciecha, to wypędzeni marnie by zginęli. Inni wygnani udali się w stronę pozycji zajmowanych przez Rosjan i nie zostali przyjęci lepiej. Bez schronienia, bez żadnej żywności, zginęliby na oczach tych „wyzwolicieli ludzkości”, gdybym

¹ Tłumaczenie na podstawie pierwszego wydania udostępnionego na stronie www.gallica.bnf.fr: *Memoires Du General Rapp: Aide-De-Camp de Napoleon, Ecrits Par Lui-Meme, Et Pub. Par Sa Famille*, Paris 1823.

² 1 część: „Prowincja”, nr 2 (52), 2023, s. 76–79, 2 część: „Prowincja”, nr 3 (53), 2023, s. 67–71.

nie okazał im litości i nie pozwolił im wrócić. Niektórzy z nich błagali mnie o zatrudnienie ich przy budowaniu fortyfikacji, za co otrzymywali pół albo ćwierć bochenka prowiantu. W tym czasie wróg ukończył swoje prace. Od czasu do czasu wypróbowywał nowe baterie i wydawało się, że jest to wstęp do poważniejszych działań. Pod koniec dnia 10 (października) wszystkie działa rozpoczęły ostrzał. Miasto, Chełm, obóz obronny w Nowym Porcie załazy pociski, granaty i rozgrzane do czerwoności kule. Wybuch ognia, który pochłania klasztor dominikanów. Rosyjscy jeńcy, którzy byli w nim przetrzymywani, byli bliscy śmierci, gdy nasi żołnierze wkroczyli i ich uratowali. Płomienie rozprzestrzeniały się coraz gwałtowniej oplatając sąsiednie domy i grożąc ich całkowitym spalaniem. W tym samym czasie połączone siły oblegających ruszyły na nasze posterunki w Orunii i odrzuciły je aż do zabudowy Oruńskiego Przedmieścia (Stadgebieth). Przybyłem tam z hrabią Heudeletem. Nieprzyjaciel, odrzucony szarżą na bagnety, na próżno próbował zorganizować się do kolejnej szarży. Generał Husson i major Legros odprali wszystkie ich ataki. Nieprzyjaciele popełnili błąd, który jeszcze powiększył ich straty. Dwie z ich kolumn ostrzelały się wzajemnie, omyłkowo biorąc się za nieprzyjaciół. Rozpoznali swoich dopiero po krzykach rannych, ale ponad 300 ludzi leżało już na ziemi. Po naszej stronie mieliśmy 100 zabitych i rannych (*hors de combat*).

Wcześniej rano następnego dnia nieprzyjaciel pojawił się przed domami za Oruńskim Przedmieściem. Dwa razy odepchnięty, w końcu je podpalił. Kapitan Basset, chociaż dwukrotnie raniony, nie chciał oddać tych zabudowań, ale wkrótce postęp płomieni zmusił go do wycofania się; wycofywał się cały czas wiążąc nieprzyjaciela walką. Nieprzyjaciele, opanowawszy wioskę, szli dalej nie zatrzymując się do poziomu umocnień Etoile i częściowo je zajęli. Posterunki, które pozostały przy zejściu ze wzgórza, były zbyt słabe i odwołałem je. Wróg w końcu zajął tę pozycję, ale zapłacił wysoką cenę za zwykły nasyp ziemi.

Im dalej wróg posuwał się kierunku Wrzeszcza, tym jego sytuacja stawał się bardziej niebezpieczna; odsłaniał flanki i tyły, atakowały go baterie z Chełma, wkrótce nie był w stanie opuścić redut, które zajął w okolicy fortu Kabruna. Nieprzyjaciel był zdezorientowany uświadamiając sobie, że wybrał niewłaściwy punkt do ataku. Tak więc zebrał swoje siły i pomaszerował na wzgórze Orunii (Ohra). Próbował wszelkich sposobów, aby je zdobyć, ale i ja nie zaniedbałem żadnego, aby je obronić. Ulepszyłem i rozszerzyłem swoje działania. Każdy mógł się przydać na miarę swoich umiejętności, do każdego docierały właściwe informacje. Wyżsi oficerowie z każdej formacji, pod dowództwem generała Granjeana, konsultowali się w sprawie środków potrzebnych do utrzymania tego miejsca. Nasze zapasy i amunicję umieścili poza zasięgiem ognia. Podzielili zapasy, a także zorganizowali oddział inżynieryjny i przygotowali młyny, aby w przypadku zniszczenia tego, co posiadaliśmy, można było szybko uzupełnić straty. Tymczasem nieprzyjaciel kontynuował bombardowanie. Ostrzał za ostrzałem – pojawiło się niebezpieczeństwo, że wszystko zostanie obrócone w pył. Nagle baterie zamilkły, a ostrzał wstrzymano. W tym momencie niespodziewanej ciszy mieszkańcy mogli chwilę odetchnąć. Biedni ludzie! Nie było nic, co można było ocalić przed płomieniami z wyjątkiem kilku ścian; miejsce było całkowicie zrujnowane.

Nieprzyjaciel przerwał ostrzał tylko po to, by wznowić go w większą siłą. Gdy tylko się przygotował, otworzył gwałtowny ogień. Baterie Etoile, a więc góra św. Jana, fort Kabruna, Młyniska, Wrzeszcz, wystrzeliwują salwy za salwami i zasypują nas pociskami, rakietami i rozgrzanyymi do czerwoności kulami. Wybuchają pożary, budynki zamieniają się w ruiny.

Gdańsk wygląda teraz jak wulkan, którego erupcje wybuchają, znikają i znów pojawiają się we wszystkich miejscach. Zniszczone są obydwa nadbrzeża Mołtawy, Targ Maślany (Butter-Merck), Żabie Błoto (Poggenful), Wyspa Spichrzy. Na próżno żołnierze biegną, aby nieść pomoc – ciągle deszcz pocisków tryumfuje nad ich wysiłkami, a strata wielu milionów pogłębia jeszcze tragedię nieszczęsnych mieszkańców.

Nasze forty i wsie nie były w lepszym stanie. Zwłaszcza Orunia była już w zasadzie jedynie stertą popiołów. Pięć baterii ostrzeliwało ją bez przerwy; chmary strzelców, osłoniętych przez nierówności terenu, zasypywały nas pociskami i utrudniały pracę naszych dział. Pierwszy okop, prawie unicestwiony przez ogień i kule, wciąż się trzymał. Major Schneider bronił go z męstwem i roztropnością, co ciągle obiecywało jeszcze długie trwanie na pozycji; ponieważ jednak było już blisko do jego przejścia przez zbyt bliskie podejście do niego nieprzyjaciół, postanowiłem go poddać. Oddałem również Siedlce. Parę dni wcześniej wróg próbował opanować to miejsce. Trzy kompanie stawily się przed naszymi posterunkami, ale energiczny atak kapitana Leclerca i porucznika Kowalskiego rozgromily je i sprawily, że nieprzyjaciel szukał ratunku w ucieczce. Nie zapomnieli tej lekcji i powrócili z większymi siłami stojąc w gotowości. Zaraz po tym wydarzył się bardzo poważny wypadek. Pocisk wybuchł w magazynie drewna i spowodował pożar. Proch zadziałał szybko – w jednej chwili wszystko stanęło w płomieniach. Sprzyjał im silny wiatr, rozprzestrzeniały się z miejsca na miejsce tworząc kulę ognia, której żaden wysiłek nie był w stanie ugasić. Oberwując ze smutkiem to widowisko miałem nadzieję, że przynajmniej da się ocalić stojące nieco z boku budynki. Niestety, moja nadzieja okazała się złudna i mieliśmy nieszczęście zobaczyć, jak na naszych oczach płonie większość naszych zapasów. Oficerowie i żołnierze, wszyscy razem pogrążeni w żałobnej ciszy, ze zdumieniem patrzyli na tę scenę spustoszenia, gdy nagle rozległa się straszliwa salwa z muszkietów. Wróg zaatakował linię Frioul i był w trakcie jej zdobywania. Kapitan Chambose pospieszył z odsieczą. Ten dzielny oficer dowodził doborowym oddziałem zwanym „wolną kompanią” lub „*enfants perdus*”³. Natarł na redutę i ciął Rosjan na kawałki. Nikt nie był w stanie uciec: ci, którzy uniknęli bagnetu, zginęli pod ogniem prowadzonym przez dowódców batalionu, Claurona i Dybowskiego. Porucznik Conrad daje przy tej okazji dowód niesamowitej wytrwałości. Z ramieniem zmiądzonym przez kulę rzuca się w wir walki; Chambure wyciąga go mówiąc: „Jesteś ranny, to już nie jest miejsce dla ciebie; idź i powiedz generałowi, że odbiliśmy redutę”. „Kapitanie – odpowiedział nieustraszony porucznik – „mam jeszcze prawą rękę, a ty masz tylko lewą” – i kontynuował walkę.

Pokonani po lewej stronie, napastnicy rzucili się na stronę prawą i wyparli nas aż do naszych fortów. Nie uznałem za słuszne podejmowanie ataku w ciemnościach nocy i poczekałem do rana. Dwie kolumny, dowodzone przez generałów Breissau i Devilliersa, pomaszerowały w tym samym czasie na Chełm i Siedlce; Rosjanie zajęli te miejsca dużymi siłami, ale nasze oddziały walczyły z tak wielkim zapałem – major Deskur, dowódcy batalionów: Poniatowski, Crikicowski i Carré, kapitan Fahrebeck, Prin, Kalisa i Rousin, prowadzili ich z tak wielką umiejętnością i męstwem, że przeciwnicy zostali przełamani i opuścili pole bitwy usłane ciałami zabitych. Niestety, nasz sukces wiele nas kosztował: generał Breissau, tak ceniony za swój

³ Les Enfants Perdus („utracone dzieci”) – oddziały lekkiej piechoty przewodzące w operacjach militarnych o wysokim stopniu ryzyka, ponoszące zazwyczaj największe straty. Często była to na przykład pierwsza fala żołnierzy szturmujących pozycje wroga.

talent i odwagę, odniósł niebezpieczną ranę. Na próżno udzielono mu wszelkiej możliwej pomocy – zmarł po miesiącu dotkliwych cierpień.

Nasze oddziały odniosły zwycięstwo, ale cóż za spektakl czekał na nich wewnątrz fortecy: to, co zostało po naszych magazynach, to jedynie odpadki i ruiny. Tylko jeden magazyn uniknął płomieni. Zawdzięczamy to pułkownikowi Cottinowi i drugiemu dowódcy sztabu Marquessacowi – udało się to tylko dzięki ich gorliwości i wytrwałości. Dowódca szwadronu Turckheim, który dał również wiele dowodów męstwa, oraz porucznik Fleurz, również zdolali uratować 4000 kwintali kukurydzy. Cała reszta spłonęła. Nie udało się uratować zapasów, które mogłyby starczyć na dwa miesiące, a które stały się łupem płomieni i ofiarą nieustannych bombardowań.

Rosjanie posuwali się powoli, ale jednak ciągle do przodu. Zdobyli różne posterunki i całą masą maszerowali na Chełm. Nasi żołnierze byli tam zbyt słabi, aby stawić skuteczny opór – musieli się ewakuować. Generał Husson zebrał parę oddziałów i rozpoczął atak z niezwyklej impetem. Kapitan Milsent i adiutant-major Rivel ruszyli na czele naszych najdzielniejszych żołnierzy, natarli na nieprzyjaciół i pokonali ich.

Kapitan Chambure przygotował surowszą lekcję dla oblegających nas wrogów. Zaokrętował swoich żołnierzy pod osłoną nocy, zmylił czujność ich floty i wylądował naprzeciwko Sobieszewa (Bohnsack). Zaskoczył wioskę, podpalił domy i magazyny, zabił ludzi i konie, a następnie powrócił do łodzi, ale nie było już ich na brzegu. Zabrzmiały trąby, wzywano do bronii; śmierć wydawała się nieunikniona. Mimo to nie stracił odwagi, uspokoił żołnierzy, rzucił się na okopy wroga i przedostał się lądem cały i zdrowy w momencie, gdy już przypuszczano, że jest stracony. Wkrótce rozpoczął kolejny wypad i skierował się na Brzeźno (Broesen); niespodziewanie wpada na oddziały zajmujące tę miejscowość, pokonuje go i nie wycofuje się, dopóki nie spali ich obozu. Ledwo powrócił, a już podjął się jeszcze bardziej niebezpiecznego zadania – przeniknął do okopów nieprzyjaciół, pokonał ich w ich stanowiskach i wrócił, aby schronić się za naszymi bateriami. Porucznik Jaimbon, ciężko ranny na początku ataku, walczył tak, jakby nie odczuwał bólu; bał się, że jego jęki zniechęcą żołnierzy i dlatego starał się je tłumić. Zmarł pięć dni później: cześć jego pamięci!

„Wolna kompania” z każdym dniem stawała się coraz bardziej zuchwałą. Okopy, palisady były dla nich błahymi przeszkodami. Przenikali wszędzie. W środku ciemniej nocy skradali się od drzewa do drzewa, przez całą długość alei we Wrzeszczu, niezauważeni przez Rosjan. Nagle rzucili się na ich pozycje, zabili kilku, przepędzili pozostałych i ścigali ich aż do reduty Kabruna. Dzielny Surimont, nieustraszony Rozay, Payen, Dezeau, Gonipet i Francore rzucili się na redutę i zdobyli ją. Stu ludzi zostało zabitych w walce wręcz, pozostali zawdzięczali swoje ocalenie ucieczce.

Prowadziliśmy przeciwko oblegającym wojnę zaskoczenia i zuchwałości; oni zwalczali nas metodyczną strategią i propagandowymi odezwaniami. Ich baterie pracowały nieustannie, a nasze magazyny zostały zniszczone. Nasi żołnierze, wyczerpani i wykończeni pracą i brakiem snu, nie mieli nic, co mogłoby odnowić ich siły oprócz odrobiny chleba i uncji mięsa naszych koni, o ile możemy tak nazwać te nędzne szkielety zwierząt, które nie nadawały się już ani do kawalerii, ani do ciągnięcia wozów, przez jakiś czas obracały młyny, aby w końcu, gdy już i tej pracy nie mogły sprostać, zostać zaprowadzone do rzeźni. Tak zmęczonym walką i cierpieniem ludziom Rosjanie obiecywali odpoczynek i dostatek. Wykorzystywano każdą próbę

przeciągnięcia ich na swoją stronę. Złoto, srebro, groźby, gniew władców, wezwanie ojczyzny – o niczym nie zapominano i wszystko to oferowano. Książę Wirtemberski wspomagał swoich powstańców – pisał, błagał, protestował, zwabił oficerów i żołnierzy. Wśród naszych zagranicznych żołnierzy zaczęła pojawiać się dezercja lub odmawianie wypieniania obowiązków. Bawarczycy, a nawet Polacy, aż za dobrze zdający sobie sprawę z naszego nieszczęśliwego położenia, obawiali się, że ktoś może obrócić broń w drugą stronę i woleli nie przeprowadzać żadnych działań. Pozostały więc nam w zasadzie nasze oddziały narodowe, to znaczy mniej niż 6000 ludzi, a linie obronne liczyły ponad dwie ligi (około 10 kilometrów). Postanowiłem poinformować cesarza o tej bolesnej sytuacji. Nie było to łatwe zadanie. Całe Niemcy ogarnęło powstanie, morze było pełne eskadr wroga. Jednak żadne niebezpieczeństwo, żadne przeszkody, nie odstraszyły kapitana Marniera – podjął tę ryzykowną wyprawę, zdobył statek, przepłynął przy flocie angielskiej i udało mu się jej uciec.

Książę (Aleksander Fryderyk) Wirtemberski próbował uwieść każdego, a nawet zwracał się i do mnie osobiście. Chwalił się swoimi zasobami, wskazywał tragizm mojej sytuacji, mówił o Francji, groził Syberią, proponował poddanie twierdzy. Jego groźby i oferty trafiały pod niewłaściwy adres: przekonałem go o tym i już więcej nie podejmował takich prób. Zastosowano bardziej skuteczne środki: zwiększono ostrzał, intensywność bombardowania ciągle rosła, trwało już ono dzień i noc. Miasto, Biskupia Górka, reduty Frioul całkowicie zniszczono. Rosjanie, wspierani tak potężnym ogniem artylerii, spodziewali się zdobyć nas szturmem. Wyposażeni w siekiery i drabiny ruszyli na baterię Gudina. Dowodził tam kapitan Razumsky, który powitał ich gradem pocisków i odrzucił ich atak. Mimo to poderwali się i podjęli kolejną próbę, ale obezwładnieni niszczycielskim ostrzałem rozproszyli się na widok majora Deskura zostawiając broń i drabiny u stóp dzielnych kapitanów Zbierskiego i Paprockiego. Następnie próbowali, bez zpowodzenia, zdobyć baterię Fitzera w alei Wrzeszcza. Pułkownik Plessman, kapitan Renouard i adiutant Stolling stawili opór, którego wrogowie nie byli w stanie przełamać; trzykrotnie wracali do ataku i trzykrotnie zostali pokonani.

Tymczasem reduty Frioul znalazły się w opłakanym stanie: pozbawione parapetów i rozminowane, zasypane pociskami i granatami, nie stanowiły już żadnego punktu obrony: rozkazałem je opuścić. Większa część dalszych fortyfikacji pozostała naruszona, ale nasze zapasy były na wyczerpaniu.

Przyszła pora roku, w której zaczął pojawiać się lód. Potrzebowałem 20 tysięcy ludzi, aby odeprzeć ataki oblegających, strzec fortów, a także zabezpieczyć wszystko przed powodzią utrzymując swobodny bieg wody. Walka była zbyt nierówna. Kontynuowanie obrony oznaczałoby jedynie bezsensowny rozlew krwi.

Uznałem, że mój plan uczyni zadość zarówno mojemu żołnierskiemu obowiązkowi, jak i podejściu czysto ludzkiemu. Obliczyłem na ile wystarczy nam prowiantu, zaproponowałem zawieszenie działań wojennych i poddanie twierdzy pod koniec tego okresu, o ile bieg wydarzeń nie zmieni radykalnie sytuacji. Rozpoczęły się negocjacje, ostrzał ustał. Generał Houdelet i pułkownik Richement zostali wysłani do obozu nieprzyjaciela i podpisali kapitulację, w której zagwarantowano nam zwłaszcza prawo powrotu do Francji. Gdy część ustaleń już zrealizowano: zwolniliśmy rosyjskich jeńców, oddaliśmy forty, to wtedy dowiedziałem się, że car Aleksander odmówił ratyfikacji warunków kapitulacji. W tej sytuacji książę Wirtemberski zaproponował mi przywrócenie dawnego stanu rzeczy. To była kpina: cóż mogliśmy zrobić?

Nie mieliśmy już zapasów. Trzeba było zrezygnować. Zrobił wszystko po swojemu, a my wyruszyliśmy w drogę do Rosji.

Nasi sojusznicy, dotknięci naszym nieszczęściem, chcieli towarzyszyć nam w niedoli. Polacy połamali broń na kawałki, Bawarczycy przysięgli, że nigdy nie zwrócą jej przeciwko nam. Uczucia jednak muszą zamilknąć wobec obowiązku. Musieliśmy się rozdzielić. Generał ksiązę Radziwiłł i pułkownik Buttler, obaj tak wyróżniający się charakterem i osiągnięciami, poprowadzili swoich ludzi do ich krajów.

Tak, po rocznej walce, zakończyła się obrona Gdańska, w której musieliśmy stawić czoła wszelkim nieszczęściom i przeszkodom – obrona, która jest jednym z poważniejszych dowodów na to, do czego zdolna jest odwaga i patriotyzm francuskich żołnierzy.

Tłum. Piotr Napiwodzki



Reduta Kabruna, obraz Horacego Verneta z 1823 roku – kapitan Chambure na rosyjskich pozycjach przy domu Jacoba Kabruna w okolicach Wrzeszcza. Źródło: www.gdanskstrefa.com/najstarszy-w-gdansk.jpg

Piotr Zawada



FORSTEROWIE Z MOKREGO DWORU NA ŻUŁAWACH WIŚLANYCH W NIEZWYKŁEJ PODRÓŻY DOKOŁA ŚWIATA Z KAPITANEM JAMESEM COOKIEM W LATACH 1772–1775

Mało kto wie, że osiemnastowieczni podróżnicy, Jan Reinhold Forster i jego syn Jerzy Adam, byli pierwszymi obywatelami Rzeczypospolitej, którzy wzięli udział w naukowej wyprawie dookoła świata i przekroczyli południowe koło podbiegunowe. Losy pochodzącej ze Szkocji rodziny Fersterów, a następnie Forsterów, związane były z Polską. Z powodów prześladowań religijnych w 1643 r. Jerzy Ferster wraz z rodziną opuścił Szkocję i wyemigrował do Królestwa Polskiego osiedlając się w Nowem nad Wisłą. Jego syn, Adam Simon Ferster, w 1667 r. przeniósł się z rodziną do Tczewa, gdzie kupił kamienicę zaliczając się tym samym do grona tczewskich mieszczan, a w 1670 r. został wybrany na burmistrza tego miasta. Jego syn, Jerzy Ferster, urodzony w 1663 r., również był burmistrzem Tczewa, a jego wnuk urodzony w 1693 r., już jako Forster Jerzy Reinhold, pełnił urząd notariusza sądowego i sekretarza rady miejskiej, a w 1733 r. też został burmistrzem Tczewa. Wcześniej, w 1727 r., Jerzy Reinhold ożenił się z Marią Plath, z którą zamieszkał w kamienicy nr 4 na tczewskim rynku, gdzie 22 października 1729 r. na świat przyszedł ich syn Jan Reinhold Forster, przyszedł wielki podróżnik. Jan Reinhold uczył się w szkole miejskiej w Tczewie, a po jej ukończeniu jako nastolatek pobierał nauki w tzw. szkole łacińskiej w Kwidzynie.

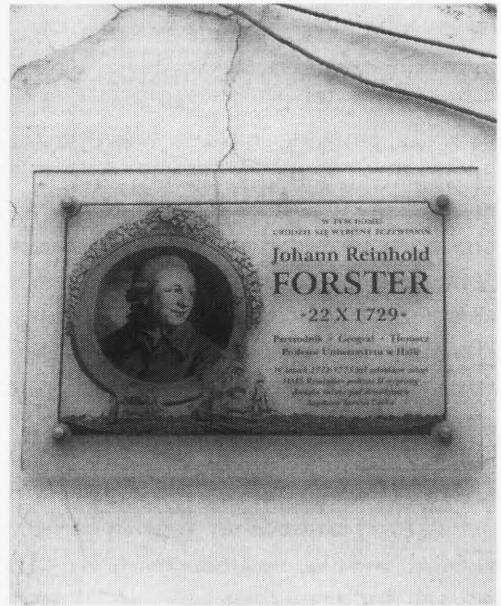


Widok kamienicy na rynku w Tczewie przy ul. Rynek 4, na ścianie której umieszczono tablicę poświęconą Janowi Reinholdowi Forsterowi. Z archiwum autora.

W wieku 16 lat wyjechał do Torunia, gdzie kontynuował naukę w gimnazjum akademickim, a następnie udał się do Berlina do Gimnazjum Joachimowskiego, po ukończeniu którego w 1748 r. wyjechał do Halle, aby studiować filozofię i teologię. Już od najmłodszych lat Jan Reinhold interesował się przyrodą i jako samouk znał się dobrze na botanice, geografii, etnografii, a także władał 17 językami, w tym i polskim. Niestety, zagraniczne studia przerwała mu śmierć jego ojca Jerzego Reinholda w 1753 r. Po powrocie do Tczewa Jan Reinhold sprzedał kamienicę swoich rodziców i osiedlił się w Mokrym Dworze (Nassenhuben), we wsi pod Gdańskiem na Żuławach Wiślanych, gdzie objął posadę pastora, a pozostała część jego rodziny została w Tczewie. W międzyczasie Jan Reinhold ożenił się z Justyną Elżbietą Nikolai,

córką burmistrza Kwidzyna. W jego wielodzietnej rodzinie najstarszym synem był Jerzy Adam Forster, urodzony 26 listopada 1754 r. w Mokrym Dworze, który kształcił się pod okiem ojca wykazując jak i on zdolności do języków obcych; stosunkowo wcześniej zaczął pomagać ojcu w jego pracy. W 1765 r. Iwan von Rehbinder, przedstawiciel Rosji w Gdańsku, zaproponował Janowi Reinholdowi pracę, która wiązała się z dłuższym wyjazdem do Rosji, a której zadaniem było zbadanie położenia kolonistów niemieckich w okolicach Saratowa nad Wołgą. Forster przyjął rosyjską ofertę i na wyprawę w charakterze swojego pomocnika zabrał 11 letniego syna Jerzego Adama, z którym w 1765 r. udał się do Petersburga na spotkanie z carycą Katarzyną II. Po ustaleniu warunków i szczegółów wyprawy Forsterowie wyjechali na obszary nadwożańskie, gdzie pracowali przez rok przeprowadzając na dużą skalę badania dotyczące

populacji tamtejszej ludności i jej zwyczajów, opisali miejscową faunę i florę oraz wykonali dokładne mapy kartograficzne. Po powrocie Forsterów do Petersburga caryca Katarzyna II była zachwycona rezultatami ich badań, lecz po ukazaniu się ostatecznej wersji raportu, w której Forster skrytykował liczne nadużycia urzędników rosyjskich, zmieniła zdanie i nie wypłaciła Forsterowi należnego mu wynagrodzenia, co postawiło go w bardzo trudnej sytuacji materialnej, a na dodatek jego posada pastora w Mokrym Dworze była już zajęta. W tej sytuacji postanowił z całą rodziną powrócić do Anglii, gdzie na Uniwersytecie w Warrington otrzymał posadę lektora języków obcych i nauczyciela historii naturalnej. Niestety, sytuacja Forsterów szybko ulegała pogorszeniu, ponieważ Jan Reinhold popadł w konflikt z kadrą naukową uniwersytetu, w związku z czym musiał zaprzestać prowadzenia wykładów, co spowodowało problemy finansowe rodziny. W 1770 r. Forsterowie przenieśli się do Londynu, gdzie Jan Reinhold wydał drukiem swoje prace naukowe. Z największym zainteresowaniem spotkała się jego publikacja, która ukazała się na łamach „Philosophical Transactions” pt.: „Specimen historiae naturalis Volgensis” zawierająca szczegółowe opisy fauny i flory południowo-wschodniej Rosji. Praca ta przyniosła Forsterowi duży rozgłos, co umożliwiło mu przyjęcie do grona członków The Royal Society, co dokonało się w 1772 r. W Towarzystwie Królewskim Forster zajmował się porządkowaniem zbiorów ornitologicznych zebranych przez Dainesa Barringtona w Zatoce Hudson zgodnie z wytycznymi systematyki Linneusza oraz tłumaczeniem na język angielski wielu naukowych publikacji. Mimo tego Jan Reinhold z trudem zdobywał środki finansowe na utrzymanie rodziny, a jego syn Jerzy Adam pomagał ojcu jak tylko umiał, praktykując u londyńskiego kupca i jednocześnie dorabiając na udzielaniu korepetycji z języków obcych i tłumaczeniu tekstów. W 1772 r., dzięki poparciu pierwszego lorda admiralicji Johna Sandwicha, z którym



Zbliżenie widoku tablicy na kamienicy na rynku w Tczewie. Z archiwum autora.

Jan Reinhold utrzymywał przyjazne stosunki, otrzymał posadę na stanowisku głównego przyrodnika ekspedycji morskiej podczas drugiej wyprawy kapitana Jamesa Cooka dookoła świata. Swój udział w wyprawie uzależnił on jednak od pozwolenia na zabranie ze sobą syna Jerzego Adama, na co ostatecznie otrzymał pozwolenie. Forster niejako szczęśliwym trafem otrzymał tą posadę, ponieważ początkowo kapitan James Cook był niezbyt przychylnie nastawiony do jego osoby z powodu jego ekscentrycznego charakteru. Zmienił jednak zdanie, kiedy uczestniczący w jego pierwszej wyprawie angielski botanik Joseph Banks i Szwed Solender pokłócili się z Cookiem z powodu zbyt wygórowanych wymagań co do warunków podróży i w związku z tym Cook zrezygnował z ich usług. Zadaniem Forsterów podczas ekspedycji było zbieranie i opisanie oraz przedstawienie na rysunkach okazów przyrody, z którymi spotkają się podczas całej podróży, za co Jan Reinhold miał otrzymać wynagrodzenie w wysokości 4 tysięcy funtów. Głównym celem wyprawy było odnalezienie tzw. południowego kontynentu, o istnieniu którego przekonani byli geografowie już od końca XV wieku, na co jednak nie było przekonujących dowodów pomimo intensywnych poszukiwań prowadzonych przez wielu podróżników. Po pierwszej wyprawie Cooka w latach 1771–1772 wyjaśniło się, że Nowa Zelandia jest wyspą, a nazwa Terra Australis Incognita, która miała oznaczać południowy kontynent przylegający do bieguna, została nadana Australii nazywanej dotąd Nową Holandią. Po pierwszej wyprawie Admiralicja Angielska zdecydowała się kontynuować badania i poszukiwania w rejonie Południowego Oceanu. I tak 13 lipca 1772 r. dwa duże żaglowce Jego Królewskiej Mości H.M.S. „Resolution” pod dowództwem kapitana Jamesa Cooka, na którym płynęli Forsterowie, i H.M.S. „Adventure” pod kapitanem Tobiaszem Furneaux, wypłynęły z Plymouth w długi rejs dookoła świata pod ogólnym dowództwem kapitana Jamesa Cooka obierając kurs ku wybrzeżom Afryki. Wśród uczestników wyprawy dało się wyczuć wyraźne podniecenie i radość z możliwości przeżycia niezwyklej przygody, a być może z odnalezienia jako pierwsi południowego kontynentu. Pierwszym postojem okrętów była portugalska Madera, której dokładne opisy w swoim pamiętniku pozostawił Jerzy Adam Forster podając wiele szczegółowych informacji dotyczących różnych aspektów działalności człowieka, takich jak: gospodarka, handel, administracja czy też życie codzienne jej mieszkańców. W swym pamiętniku często komentował to, co zobaczył, jednak nie zawsze jego spostrzeżenia były celne i sprawiedliwe, zwłaszcza wtedy, kiedy opisywał niezrozumiałe dla siebie zjawiska, zwyczaje, obrzędy ludów. Po ponad trzech miesiącach od wypłynięcia z Anglii, w październiku 1772 r., statki dopłynęły do portu w Capetown na Przylądku Dobrej Nadziei, skąd po odpoczynku i uzupełnieniu zaopatrzenia, 22 listopada 1772 r., wypłynęły z portu kierując się na południowy wschód. Jednak już od początku wyprawy towarzyszyły trudne warunki atmosferyczne. Wiały silne wiatry, a w statki uderzały wysokie fale powodując utratę wielu zwierząt będących na wyposażeniu statków; w grudniu pokazały się pierwsze góry lodowe. Pomimo doskwierającego zimna i przejmującej wilgoci można było dostrzec liczne ptaki, takie jak mewy, albatrosy czy pingwiny, ale i inne zwierzęta, na przykład walenie i foki. Forsterowie energicznie zabrali się do swojej pracy dokumentując napotkane okazy. 17 stycznia 1773 r. po raz pierwszy w historii żeglugi morskiej w rejonie Oceanu Indyjskiego Europejczyk przekroczył południowy krąg polarny. Niestety, po wielu próbach, z powodu przemęczenia załogi, braków w zaopatrzeniu, a przede wszystkim zagradzającym dalszą drogę na

południe górom lodowym, pod koniec marca 1773 r. kapitan Cook obrał kurs na Nową Zelandię. Po spędzeniu stu dwudziestu trzech dni na morzu „Resolution” wpłynął 26 marca 1773 r. do Zatoki Dusky Bay na Wyspie Południowej w Nowej Zelandii, gdzie spotkał się z drugim okrętem wyprawy „Adventure”, z którym już wcześniej zgubił się gdzieś na rozległych przestrzeniach Oceanu Indyjskiego. Po zakotwiczeniu zaczęto uzupełnianie zapasów, nawiązano kontakty z tubylcami, Maorysami, a Forsterowie zabrali się za kolekcjonowanie okazów miejscowej fauny i flory. Niewątpliwie po surowych krajobrazach koła podbiegunowego wszyscy byli szczęśliwi będąc pod wielkim wrażeniem uroków tej „rajskiej wyspy”. 11 maja „Resolution” odpłynął na Wyspę Północną, gdzie kontynuowano poprzednie działania z tym, że oprócz tradycyjnej wymiany handlowej Maorysi zaproponowali marynarzom usługi swoich kobiet za kolejne błyskotki, z czego wielu z nich skorzystało. Na Nowej Zelandii James Cook przebywał do sierpnia 1773 r., po czym 15 sierpnia „Resolution” przybił do brzegu w zatoce Matavai na Tahiti, gdzie przybysze ponownie zostali bardzo życzliwie przyjęci przez miejscowych. W ramach swoich obowiązków Forsterowie handlowali z Maorysami pozyskując do swych badań nieznanne gatunki ptaków, ryb i roślin, na szkicowaniu i malowaniu których spędzili wiele godzin. Okazy zdobywali zapuszczając się w głąb wyspy, a kiedy Maorysi zorientowali się w ich zainteresowaniach, to sami przynosili im najróżniejsze egzemplarze roślin i martwych zwierząt. Oprócz opisywania okazów fauny i flory Jerzy Forster spędził wiele czasu na obserwowaniu życia Maorysów. Od września do listopada załogi obu statków spędziły czas u brzegów Nowej Zelandii lecząc skorbut wśród załóg, uzupełniając nadszarpnięte zapasy i naprawiając uszkodzenia statków. Na początku grudnia 1773 r. „Resolution” ponownie popłynął na południowy wschód, ale w rejonie Kręgu Polarnego znowu napotkał pola lodowe, co uniemożliwiło mu dalsze przebijanie się w kierunku bieguna południowego. Boże Narodzenie 1773 r. podróżnicy spędzili świętując na pokładzie statku. Jednak kapitan James Cook nie dawał za wygraną i w styczniu 1774 r. raz jeszcze popłynął na południe. Tym razem lody tak go nie powstrzymały i 30 stycznia statek osiągnął rekordową szerokość geograficzną: 71°10'S na długości 106°54'E. Jednak południowego kontynentu nie odnaleziono i „Resolution” zawrócił na północ biorąc kurs na Wyspę Wielkanocną, do brzegów której dopłynął 11 marca 1774 r. Jednak tutaj napotkani tubylcy byli obojętni wobec przybyszów, co było zaskoczeniem dla podróżników i stanowiło kontrast do tego, jak przyjmowano ich na poprzednich wyspach Pacyfiku. Okazało się, że wyspa jest uboga w roślinność i słodką wodę i nie będzie dobrą bazą zaopatrzeniową, wobec czego Cook podjął decyzję o jej opuszczeniu. Tymczasem Forsterowie wyruszyli w głąb wyspy na zwiady, gdzie zobaczyli olbrzymie kamienne posągi zwane „moai” ustawione na kamiennych postumentach zwanych „ahu”, a przedstawiających najprawdopodobniej jakieś bóstwa lub przodków. Jerzy Forster wykonał szkice tych monumentalnych posągów będąc zapewne pierwszym Europejczykiem, który tego dokonał. Następnie Cook udał się w kierunku Wysp Towarzystwa, lecz po drodze w kwietniu 1774 r. „Resolution” zakotwiczył u brzegów Markizów. Tym razem handel wymienny z tubylcami nie przyniósł zbyt wielkich korzyści, ponieważ miejscowi mieszkańcy byli bardziej zainteresowani przedmiotami przywiezionymi przez marynarzy z innych wysp Pacyfiku niż angielskimi wyrobami i świecidełkami. Po krótkim pobycie na Markizach kapitan Cook wyruszył na Tahiti, dokąd przybył 22 kwietnia 1774 r. i gdzie



Pamiątkowy głaz z tablicą w Mokrym Dworze pod Gdańskiem poświęcony Jerzemu, Adamowi Forsterowi. Z archiwum autora.

postanowił pozostać do połowy maja uzupełniając zaopatrzenie i dokonując napraw statku i takielunku, po czym skierował się ku Wyspom Przyjaznym. W czerwcu wylądowali u brzegów nieznanej sobie wyspy (współcześnie Niue), gdzie spotkali wrogo do siebie nastawionych tubylców, którzy oprócz wrogiej postawy również swoim groźnym wyglądem (ich ciała pokryte były barwami wojennymi) odstraszyli członków załogi, którzy szybko wrócili na statek. James Cook nazwał tę krainę Wyspą Dzikich. 27 czerwca 1774 r. „Resolution” dołynął do archipelagu Wysp Przyjaznych, gdzie najdłużej przebywał u wybrzeży Nowych Hebrydów. W następnych dniach podróżnicy odwiedzili jeszcze inne wyspy, Erromango i Tannę, gdzie marynarze mogli zobaczyć erupcję wulkanu Yasur. Po początkowej niechęci miejscowej ludności wobec przybyszów stosunki uległy ociepleniu i załoga mogła się zaopatrzyć w świeże owoce. 4 września 1774 r. załoga „Resolution”

dostrzegła nowy nieznaną ląd, gdzie początkowy cypel nazwano Przylądkiem Colnetta na cześć podchorążego, który jako pierwszy dojrzał ów cypel, a cały rozległy ląd otrzymał nazwę Nowa Kaledonia. Podczas pobytu na wyspie Forsterowie zbierali i opisywali nowe gatunki roślin, a Jerzy sporządził dokładne notatki opisujące życie miejscowej ludności. Podczas pobytu na Nowej Kaledonii doszło do zdarzenia, które mogło zakończyć się śmiercią dla wielu członków załogi, w tym dla obu Forsterów i kapitana Jamesa Cooka. Całe zdarzenie opisał w swoich wspomnieniach Jerzy Adam. Otóż jeden z tubylców odsprzedał jednemu z członków załogi świeżo złowioną, zabita przez siebie rybę, którą tenże podarował kapitanowi, a że był to nieznaną okaz, więc Jerzy Adam sporządził jej rysunek i opis. Nie było pewności, czy ryba aby nie jest trująca, które to wątpliwości rozwiązał sam kapitan Cook oświadczając, że podczas poprzedniej podróży jadł taką samą rybę bez żadnych przykrych konsekwencji. Następnego dnia kapitan Cook i obaj Forsterowie ze smakiem zjedli na kolację po jednym lub dwa kawałki wątroby tej ryby. Po udaniu się na spoczynek, w nocy, wszyscy się obudzili mając objawy zatrucia. Czuli silne zawroty głowy i całkowite zdrętwienie rąk i stóp. Nie mogli chodzić, a obezwładniające ich ciała znużenie pogarszało jeszcze ich stan. Podano im środki wymiotne i po pewnym czasie stan Jamesa Cooka i Forsterów zaczął się poprawiać, aż w końcu powrócili do pełni sił. Okazało się, że ryba była trująca i gdyby zjedli więcej kawałków jej mięsa, to przyplącaliby to życiem. Po siedmiu dniach pobytu na Nowej Kaledonii „Resolution” wypłynął w dalszą podróż. Przez parę dni krążyli wokół Nowej Kaledonii poszukując kolejnych wysp i sporządzając mapy. Kilka dni później zakotwiczyli u wybrzeża Wyspy Sosen (Botany Island), na której Jerzy Forster odkrył około 30 gatunków nieznaną roślin. Na początku października „Resolution” przekroczył

Zwrotnik Koziorożca i ruszył na Nową Zelandię odwiedzając po drodze nowoodkrytą Wyspę Norfolk. Na Nowej Zelandii załoga przebywała od 17 października do końca listopada, po czym wyruszyła dalej w kierunku Przylądka Horn. W połowie grudnia 1774 r. kapitan Cook dopłynął do Cieśniny Magellana, którą postanowił ominąć, ponieważ nie znał tych wód, opływając ją dookoła poprzez Ziemię Ognistą. Boże Narodzenie załoga spędziła w Zatoce Diabelskiej, a świętowanie zakończyło się dwudniowym pijaństwem marynarzy, których w celu wytrzeźwienia Cook wysadził na lądzie, gdzie mogli zapoznać się z miejscową ludnością, która swym odpychającym wyglądem i zapachem nie wzbudziła wśród nich sympatii. Po opłynięciu Ziemi Ognistej Cook popłynął na wody Zatoki Świętego Sebastiana, a 16 stycznia 1775 r. zawinął do Południowej Georgii i Południowych Sandwichey. W Georgii Cook oficjalnie ogłosił objęcie wyspy protektoratem przez Wielką Brytanię, na dowód czego zostawił na niej flagę brytyjską. Trzy następne miesiące załoga spędziła na morzu płynąc w kierunku Przylądka Dobrej Nadziei, a przedłużający się rejs u większości członków załogi, w tym i u Forsterów, zaczął budzić niezadowolenie i znużenie. W przeciwieństwie do nich kapitan Cook tryskał optymizmem i był bardzo zadowolony z rezultatów wyprawy. 16 marca 1775 r. załoga „Resolution” spotkała się po raz pierwszy od listopada 1772 z Europejczykami, marynarzami z holenderskiego statku, od których dowiedziała się, że statek „Adventure”, z którym wcześniej stracili kontakt, już rok wcześniej powrócił do Cape Town, a część członków jego załogi została zjedzona przez kanibali w Zatoce Traw na Nowej Zelandii. W marcu 1775 r. „Resolution” zatoczył pełen krąg dookoła świata zamykając go ponownym wpłynięciem do portu Cape Town 21 marca 1775 r. Po pięciodniowym pobycie w porcie wyruszyli w drogę do domu zatrzymując się na krótko na Wyspie Świętej Heleny (na której 46 lat później, jako więzień Brytyjczyków, zakończy życie Cesarz Francuzów Napoleon Bonaparte), a następnie na Wyspie Wniebowstąpienia i na Azorach, aby 30 lipca 1775 r., po trwającej ponad trzy lata podróży, uroczyście wpłynąć do portu Spithead w Anglii. Druga wyprawa kapitana Jamesa Cooka dobiegła końca, lecz nie przyniosła do końca oczekiwanych rezultatów, ponieważ nie dotarła do południowego kontynentu. Pomimo tego James Cook i Forsterowie na podstawie zaobserwowanych zjawisk przyrodniczych wierzyli, że Antarktyda istnieje. Ostatecznie do odkrycia Antarktydy doszło w 1820 r. i kilka nacji przypisuje sobie ten sukces. Podczas trzyletniej podróży Forsterowie prowadzili szczegółowy dziennik obserwacji przyrodniczych i geograficznych. Zebraли okazałe kolekcje fauny i flory, minerałów oraz okazów kultury materialnej odwiedzonych krain. Po powrocie przywiezione okazy zaczęli szczegółowo opracowywać i już w 1776 Jan Reinhold i Jerzy Adam wydali w Londynie pracę poświęconą florze Polinezji zawierającą opis 256 nowych dla nauki gatunków roślin. Co prawda praca ta przyniosła im rozgłos, ale nie przyniosła spodziewanych korzyści finansowych, tak potrzebnych ich rodzinie. Jediną szansą na zarobienie większych pieniędzy było wydanie dziennika podróży, co nie było takie łatwe, ponieważ angielska admiraliczka często blokowała wydanie takich dzienników przed ukazaniem się ich oficjalnej publikacji. W tamtych czasach książki podróżnicze cieszyły się dużą popularnością i osiągały stosunkowo wysokie ceny. Czytelnicy woleli relacje z podróży opisane przez naocznych świadków, niż fantastyczne opowieści w stylu „Robinsona Cruzoa”. Łądy południowego Pacyfiku zamieszkałe przez egzotyczne ludy z ich ozdobami, drewnianymi figurkami, strojami, bronią i zwyczajami były wtedy bardzo modne i ludzie chętnie

płacili za taką wiedzę. Ostatecznie, pomimo trudności, Jerzy Adam Forster na podstawie notatek ojca i własnych „napisał słynną „Podróż naokoło świata na jednomasztowcu Jego Brytyjskiej Królewskiej Mości Resolution, dowodzonym przez kapitana Jamesa Cooka w latach 1772, 3, 4, i 5”. Książka została wydana w Londynie w 1777 r. na sześć tygodni przed oficjalnym wydaniem dzienników kapitana Jamesa Cooka. Praca Forstera napisana jest żywym i ciekawym językiem i zawiera mnóstwo cennych i ciekawych wiadomości i spostrzeżeń dotyczących takich zagadnień jak botanika, zoologia, geologia, rolnictwo, handel, zwyczaje i stosunki społeczne. W wielu miejscach dziennik przypomina typowy reportaż, w którym osobiste obserwacje autora mieszają się z informacjami uzyskanymi od mieszkańców. Wpływając do nieznanego sobie świata, oglądając nowe zjawiska, przyrodę, ludzi autor skazany był na własną wiedzę i obserwacje. Nowe fakty i zjawiska często interpretował prawidłowo, ale czasami się mylił, co w tych niezwykłych okolicznościach było nieuniknione. Dzieło Forstera szybko stało się bestsellerem w ówczesnej Europie. Opis podróży dookoła świata sprawił, że 23 letni Jerzy Adam Forster stał się sławny. W rok po publikacji książki przetłumaczono ją na język niemiecki i francuski, a nieco później na inne europejskie języki. Pomimo sławy i zaszczytów, a został powołany na członka Akademii w Berlinie, Londynie, Neapolu, Madrycie i Gdańsku, cierpiał na brak finansów. Po krótkim pobycie w Paryżu, a następnie w Hamburgu i w Hadze, w 1779 r. otrzymał posadę wykładowcy w Collegium Carolinum w Kassel, gdzie spędził pięć lat. Jednak nie była to posada łącząca się z dużymi dochodami, a na dodatek musiał on wspierać swojego wiecznie borykającego się z kłopotami finansowymi ojca, który za niespłacone w terminie długi wyładował nawet w więzieniu. Z więzienia wyszedł dzięki wstawiennictwu niemieckiej masonerii, która spłaciła jego wszystkie długi. Po wyjeździe z Londynu Jan Reinhold wraz z rodziną zamieszkał na stałe w Halle obejmując na miejscowym uniwersytecie posadę profesora historii naturalnej. Na szczęście w 1783 r. Jerzy Adam Forster otrzymał od przewodniczącego Komisji Edukacji Narodowej w Polsce, Michała Jerzego Poniatowskiego, propozycję objęcia katedry historii naturalnej w Szkole Głównej Wielkiego Księstwa Litewskiego w Wilnie. Umowa zaproponowana Jerzemu Adamowi była wyjątkowo korzystna finansowo i została zawarta na dziewięć lat. Zapewniała mu pokrycie wysokich kosztów podróży i transportu jego biblioteki, a w dłuższej perspektywie rozwiązywała jego ciągłe problemy finansowe oraz pozwalała zrealizować plany zawarcia małżeństwa z Teresą Heyne. 16 lutego 1784 r. Jerzy Adam wyjechał z Kassel udając się w długą podróż do Wilna po drodze odwiedzając rodzinę w Halle. W Getyndze zaręczył się z Teresą Heyne, córką znanego niemieckiego filologa, a w Weimarze spotkał się z Johannem Wolfgangiem Goethe. Przejeżdżając przez Wiedeń złożył wizytę cesarzowi Austrii – Józefowi II. Jadąc dalej przez Kraków, Warszawę i Grodno Forster zapisywał swoje przeżycia i spostrzeżenia dotyczące stanu gospodarczego i społecznego ówczesnej Polski tworząc bardzo ciekawy „Dziennik podróży po Polsce” krytycznie odnosząc się do stosunków feudalnych panujących w Polsce, jak i do samego stanu gospodarczego Polski, negatywnie oceniając jej mieszkańców, a szczególnie Żydów. Wszędzie był zyczliwie przyjmowany przez polskie elity, a 6 listopada 1784 r. Jerzy Adam Forster został osobiście przedstawiony królowi Stanisławowi Augustowi Poniatowskiemu. Mimo to nie podobało mu się w Polsce, ciągle był niezadowolony i sfrustrowany. Do Wilna przybył 18 grudnia 1784 r., gdzie 1 grudnia rozpoczął swoje pierwsze

wykłady. Będąc bardzo popularnym wśród studentów jednocześnie wzbudzał kontrowersje swoimi nowoczesnymi poglądami w wileńskich kręgach naukowych. W następnym roku Jerzy Adam wyjechał na krótko do Niemiec, aby poślubić Teresę Heyne, po czym wrócił do Wilna po drodze odwiedzając bibliotekę Załuskich. Niedługo potem sprowadził do siebie swoją małżonkę, która w Wilnie urodziła mu córkę Teresę. Jego pobyt w Wilnie potrwał tylko trzy lata zamiast dziewięciu, a jego wyjazd z Wilna spowodowany był prawdopodobnie zniechęceniem Forstera do Polski, ograniczoną ze względów finansowych rozbudową zbiorów przyrodniczych, na którą bardzo liczył, a być może nie najlepszymi stosunkami z eks-jezuickim środowiskiem uczelni, które nie popierało głoszonych przez niego postępowych poglądów. Być może, a może przede wszystkim, powodem przedwczesnego opuszczenia Wilna przez Jerzego Adama

była korzystna finansowo propozycja wzięcia udziału w rosyjskiej ekspedycji w rejon Pacyfiku, którą w imieniu Katarzyny II złożył mu kontradmirał Mułowski. W 1787 r. Jerzy Adam Forster zerwał umowę z wileńską uczelnią, czym mocno naraził się Jędrzejowi Śniadeckiemu i wraz z rodziną udał się do Petersburga. Jednak z powodu wybuchu wojny rosyjsko-tureckiej i rosyjsko-szwedzkiej do planowanej wyprawy nie doszło i Forster zostaje z niczym. Już po raz drugi zostaje „wykiwany” przez carycę Katarzynę II. W poszukiwaniu nowej pracy wyjeżdża z rodziną do Niemiec i w Moguncji otrzymuje posadę pierwszego kustosa naukowego w bibliotece na tamtejszym uniwersytecie, gdzie zaprzyjaźnia się z młodym Aleksandrem Humboldtem, w przyszłości słynnym geografem i podróżnikiem. W 1790 r. razem podróżują przez Kolonię, Düsseldorf, Akwizgran, Belgię i Holandię aż do Anglii bacznie obserwując zmiany polityczne, kulturalne i obyczajowe zachodzące wtedy w Europie. Wynikiem tej wspólnej wyprawy jest arcydzieło literatury podróżniczej pt. „Ansichten vom Niederrhein, von Brabant, Flandern, Holland, England und Frankreich”, które przynosi sławę Jerzemu Adamowi. Rok 1790 jest bardzo nieszczęśliwym w życiu Jerzego Adama. Najpierw dowiedział się o kompromitującym go romansie jego żony z Ludwikiem Ferdynandem Huberem, a niedługo potem w tragicznym wypadku traci życie dwójka jego dzieci. Pozostaje mu tylko córka Teresa. Lata dziewięćdziesiąte osiemnastego wieku to czas aktywnej działalności Forstera na polu społeczno-politycznym. W 1792 r., podczas Rewolucji Francuskiej, gdy wojska francuskie wkroczyły do Moguncji, razem ze swoim przyjacielem Andreasem Hofmannem założył Towarzystwo Wolności i Równości. Jest też jednym z twórców ustawy, na mocy której powstała Republika Reńsko-Niemiecka. Niestety, polityczne zaangażowanie Jerzego Adama po stronie rewolucji spowodowało, że większość jego znajomych odwróciło się od niego, a nawet jego żona w obawie o bezpieczeństwo swoje



Zbliżenie pamiątkowej tablicy w Mokrym Dworze.
Z archiwum autora.

i córki wyjechała z Moguncji. Za aktywny udział w Rewolucji Francuskiej Jerzy Adam został uznany przez władze pruskie za zdrajcę i w związku z tym skonfiskowano jego majątek oraz pozbawiono go praw obywatelskich. Po wkroczeniu wojsk niemieckich do Moguncji w 1793 r., po upadku Republiki Reńskiej, Forster wyjechał do Paryża, gdzie związał się z jakobinami, którzy potraktowali go niezbyt przyjaźnie. Żyjąc w nędzy i samotności, zaczął podupadać na zdrowiu i 10 stycznia 1784 r., w Paryżu, w wieku zaledwie czterdziestu lat, umiera na zapalenie płuc na rękach swojego polskiego przyjaciela z Wilna. Jerzy Adam Forster, jak sam stwierdził w swoim dzienniku, urodził się w Polsce, w polskich Prusach koło Gdańska, i pomimo tego, że jego babka była Polką, to nie czuł się Polakiem, ale nie czuł się również Niemcem, od czego wyraźnie się odżegnywał pomimo tego, że spora część jego dorobku naukowego została napisana po niemiecku. Sławę badacza i naturalisty zdobył w młodym wieku, a zawdzięczał ją dziennikowi z podróży dookoła świata z kapitanem Jamesem Cookiem. Natomiast Jan Reinhold Forster przeżył swojego syna o kilka lat pracując jako profesor na uniwersytecie w Halle. Zmarł 9 grudnia 1798 r. Ciekawostką jest to, że w trzeciej wyprawie Jamesa Cooka dookoła świata w latach 1776–1780 wziął udział inny Tczewianin spokrewniony z Forsterami, Tomasz Koss. Podczas tej wyprawy zginął sam kapitan James Cook zjedzony przez kanibali, ale Koss na pokładzie korwety „Discovery” szczęśliwie powrócił do domu.

Ryszard Rząd



HISTORIE NIE TYLKO MALBORSKIE (13)

O TCZEWSKIM „KAISER WILHELM PARKU”

Park Miejski w Tczewie stanowi cenne świadectwo przestrzennego i kulturalnego rozwoju miasta. Jest także niezwykle istotnym elementem jego układu urbanistycznego. Jako największe skupisko zieleni przeznaczonej do powszechnego użytku tworzy jeden z podstawowych obszarów rekreacji dla mieszkańców miasta od końca XIX w. aż do chwili obecnej. Podkreślić należy także jego wyjątkową malowniczość wynikającą z ukształtowania terenu i bogatej szaty roślinnej. Uznawany jest za jeden z największych miejskich zespołów parkowych północnej Polski.

Jak większość miast pruskich także Tczew na przełomie XIX i XX w. przechodził okres dynamicznych przemian w wielu dziedzinach. Intensywnie rozwijało się budownictwo, powstał szereg miejskich urządzeń komunalnych, poszerzano i brukowano ulice. Brakowało w nim jednak zieleni. Jedną z pierwszych osób, które zwróciły na to uwagę, był Willi Muscate (1846–1915), właściciel miejscowej fabryki maszyn rolniczych, założyciel i prezes powstałego w 1889 r. Towarzystwa Upiększania Miasta (*Verschönerungsverein Dirschau*). Śledząc spuściznę archiwalną tego stowarzyszenia dowiadujemy się, że Muscate zgłosił ten temat na obradach Zarządu Towarzystwa w dn. 10 marca 1893 r. Temat „chwycił” i zdecydowano, z myślą o potrzebach rekreacyjnych obecnych i przyszłych tczewian, założyć park w odległości około jednej mili od miasta. Rozpoczęto poszukiwania odpowiedniej lokalizacji i zwrócono uwagę na parów długości ok. 850 m ciągnący się od Wisły aż do ówczesnej Szosy Bałdowskiej.

Wąwóz, ze względu na specyficzne ukształtowanie terenu, wykorzystywany był w kolejnych wiekach w różny sposób. Przypuszcza się, że w okresie istnienia portu rzecznego nad Wisłą (XIII–XVII w.) część jaru wypełniały wody basenu, w którym bezpiecznie cumować mogły promy i inne jednostki. Osuszono go podczas wojen szwedzkich w związku z budową umocnień ziemnych okalających miasto. Na północ i wschód od niego usytuowano cztery szańce. Parów jako rozległa, sucha fosa pełnił wówczas funkcję przedforteczną esplanady. Zdaniem niektórych badaczy teren ten już od średniowiecza należał do tczewskiego klasztoru dominikanów. Potwierdza to plan z 1817 r., na którym jako ziemia klasztorna wyznacza południową granicę miasta i sąsiaduje z polami należącymi do wsi Czyżykowo. Po kasacie zakonu obszar ten stał się własnością gminy miejskiej, która wydzierżawiła go mieszkańcom i okolicznym gospodarzom.



Willy Muscate

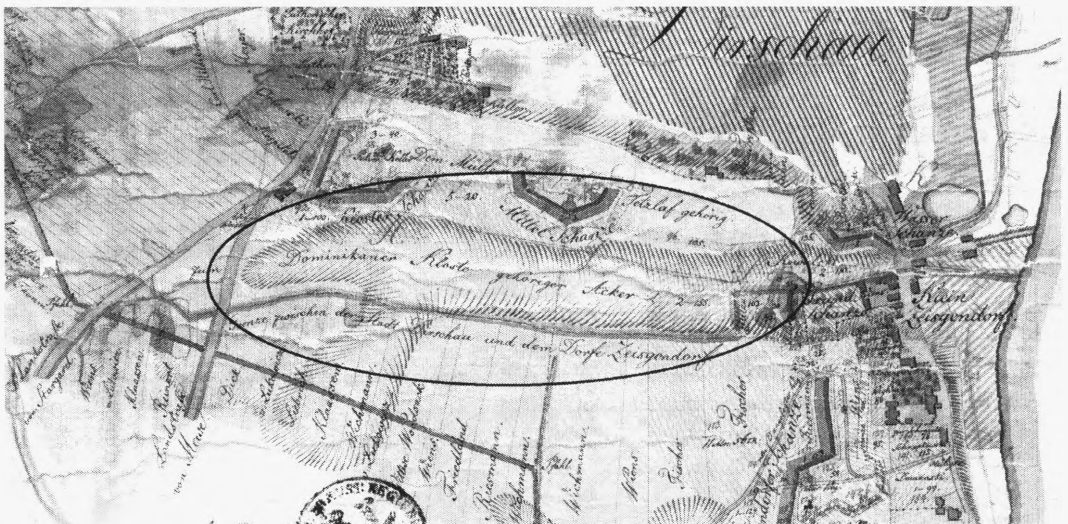
Do zakupienia i zagospodarowania takiego areálu potrzebna była jednak suma 5–6 tys. marek. Jako że Towarzystwo samo nie mogło jej zdobyć, zwróciło się o pomoc do magistratu. Ten odmówił, tłumacząc się tym, że musiałby w tym celu zwiększyć podatki. Poza tym, co ważniejsze, nie chciał stracić dochodów z tytułu dzierżaw. Zwrócono się zatem do władz państwowych, czyli nadprezydenta prowincji Prusy Zachodnie Gustava von Gosslera o pozwolenie na przeprowadzenie loterii, dzięki której można by zgromadzić odpowiednie środki finansowe. Niestety archiwalia nie dają odpowiedzi i nie wiemy, czy zgodę taką uzyskano.

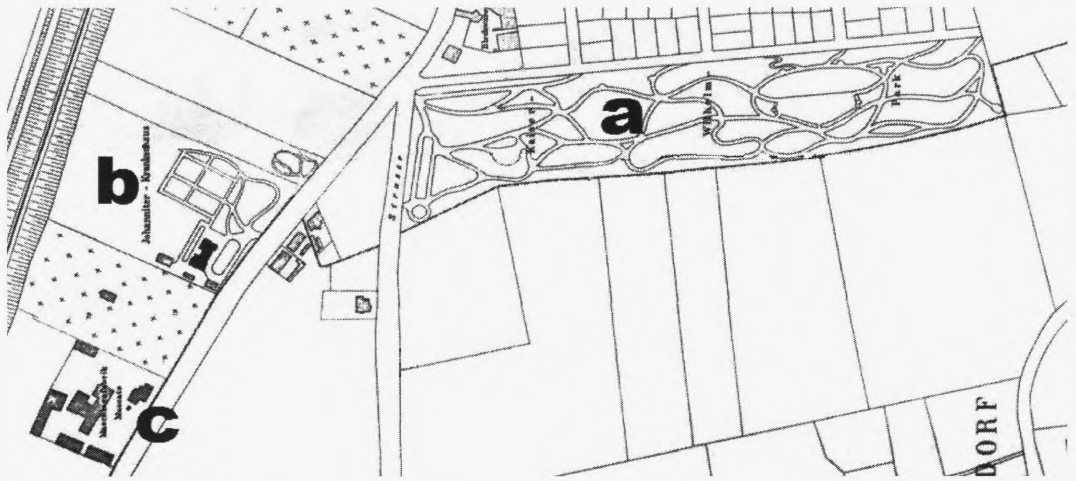
Nie czekając na decyzje urzędników, Muscate jeszcze w 1893 r. wydzierżawił 1-morgową działkę w ogrodzie Szpitala Joannitów przy Szosie Starogardzkiej i utworzył szkółkę drzew i krzewów. Posadzono tam ponad 2 tys. młodych sadzonek dębów, jodeł, brzoź, białych olch, jesionów, lip, drzew iglastych różnych gatunków i kolorowych cierni. Jednocześnie Towarzystwu udało się kupić od jednego z dzierżawców pierwszą działkę w wąwozie. Przymuszony tym magistrat w marcu roku następnego dyplomatycznie stwierdził, że „odnosi się z sympatią do planów obsadzenia drzewami przekazanej Towarzystwu parceli z działki Petersa” (chyba na zachodnim krańcu parowu).

W roku 1898 drzewka w szkółce na tyle podrosły, że musiały już być przesadzone. Potrzebowano do tego ok. 8 mórg terenu i jesienią tegoż roku, wbrew wyraźnemu zakazowi magistratu, Zarządowi Towarzystwa udało się przejąć odpowiedniej wielkości działkę w podnajem od kolejnego dzierżawcy. „Tak, wielkim wysiłkiem, pracą i zabiegami, z małych początków narodził się park miejski”.

Wiosną 1899 r. miasto ustąpiło i wydało długo oczekiwaną oficjalną zgodę na zagospodarowanie parowu pod przyszły park. Natychmiast przystąpiono do przeprowadzenia prac.

Fragment planu Tczewa i okolic z 1817 r. z zaznaczeniem terenu przyszłego parku





Fragment planu Tczewa i okolic z 1817 r. z zaznaczeniem terenu przyszłego parku

Dostosowując się do niezwykle urozmaiconej rzeźby terenu, zaczęto urządzać założenie w popularnym wówczas stylu angielskich ogrodów krajobrazowych. Najpierw pracownicy należącej do Muscatego fabryki maszyn rolniczych „A.P. Muscate GmbH” przeorali cały obszar pługiem parowym na głębokość blisko 1 m. Wywołało to niemałą sensację wśród okolicznych mieszkańców. Urządzenia te stanowiły bowiem w tym okresie nowinkę techniczną – wykonywana przy ich pomocy orka polegała na wahadłowym przeciąganiu ciężkich, przestawnych lemieszki za pomocą stalowych lin wprawianych w ruch przez maszyny parowe ustawione na przeciwległych skrajach pola. Okazało się poza tym, że przy okazji w zbczu parowu odkryto wejście do podziemnego chodnika wykonanego zapewne w trakcie jakiegoś obłężenia. Być może prowadzącego pod jeden z wymienionych wyżej szańców. Nasadzenia rozpoczęto od wspomnianej 8-morgowej działki w części zachodniej, gdzie usytuowano główne wejście do przyszłego parku. Posadzono tu około 1800 sadzonek z przyszpitalnej szkółki Muscatego.

1 czerwca 1900 r. Towarzystwo Upiększania Miasta uzyskało osobowość prawną i wreszcie stało się równorzędnym partnerem w rozmowach z magistratem. Dzięki poparciu burmistrza Ludwika Eichharta (Dembskiego), mimo pojedynczych sprzeciwów, otrzymało zgodę na czasową dzierżawę terenów, na których już założono pierwsze fragmenty parku. W kolejnych latach zezwalano na dalsze dzierżawy.

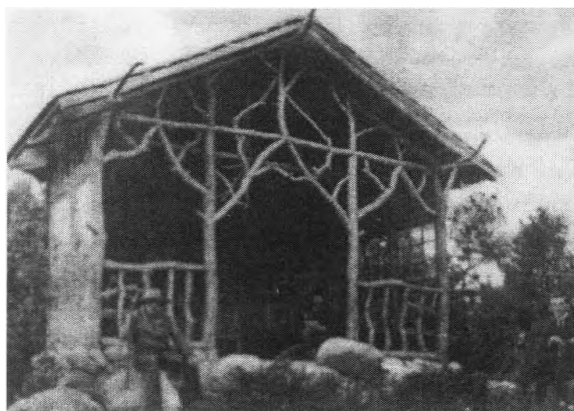
W 1901 r. prace musiały być już na tyle zaawansowane, że Towarzystwo wykorzystując obecność cesarza Wilhelma II w Tczewie, zwróciło się z prośbą o pozwolenie na nadanie parkowi jego imienia, a także o wsparcie finansowe. Zgodę uzyskano jedynie na to pierwsze. Nie zrezygnowano jednak z dalszych działań. W kolejnych latach, zgodnie z planem inż. Georga Wilhelma Schnibbe, współzałożyciela i długoletniego przewodniczącego Towarzystwa Budowy Ogrodów w Gdańsku, w północnej części parku i na dnie jaru posadzono kolejne drzewka pozyskane ze znanego berlińskiego arboretum Franza Spätha i od właściciela ziemskiego Kriesa z Waćmierka. Wykonano ścieżki, plac zabaw, zamierzano też

postawić pomnik Bismarcka. Koszt prac szacowano na 6–10 tys. marek, które pochodzić miały z budżetu miasta i sprzedaży cegiełek o wartości 10 marek za sztukę.

Analiza archiwalnych przekazów kartograficznych pozwala stwierdzić, że do 1904 r. „Kaiser Wilhelm Park” zajmował już niemal cały parów. Z głównego wejścia w narożniku północno-zachodnim wybiegały dwie ścieżki. Jedna na wschód, druga, szersza i określana mianem alei głównej, na południe, równoległe do ob. ul. Bałdowskiej. Jako bardziej reprezentacyjna prowadziła ona do wydłużonej, wąskiej rabaty i kolistej alejki, przy której znajdowało się drugie wejście do parku. Kilka innych, bocznych, usytuowano od północy, przy wytyczonej, ale jeszcze niezabudowanej ulicy (ob. ul. Kofłątaja), jedno w narożu

południowo-wschodnim założenia. Przy tworzeniu układu przestrzennego zastosowano model tzw. ogrodu precelkowego z owalnym rysunkiem dróg i ścieżek o gruntowej nawierzchni. Materiały ikonograficzne oraz zachowany drzewostan pozwalają przypuszczać, że najpierw wprowadzono nasadzenia alejowe i szpalery, a następnie wypełniano wnętrza na skarpach krzewami i pojedynczymi, ozdobnymi gatunkami drzew.

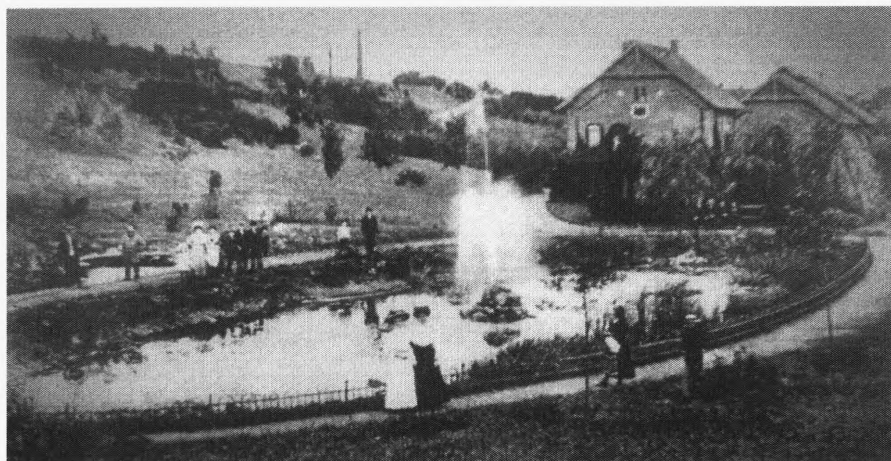
W 1905 r. park wzbogacono o niezwykle malowniczy element kompozycyjny – „**Goldfischteich**” – staw z fontanną ufundowaną przez pragnącego



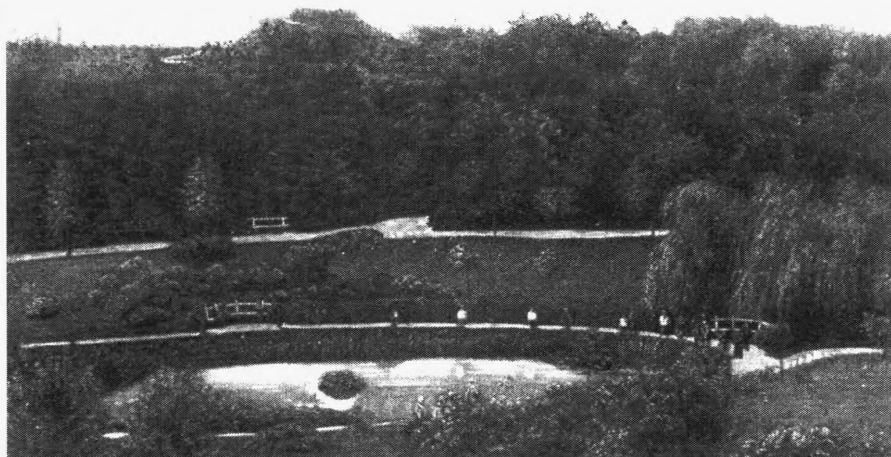
Altana „Schutzhütte”, ok. 1910 r.

zachować anonimowość członka Towarzystwa Upiększania Miasta. Usytuowany w centralnej części parowu miał owalny kształt, z wierzbami płaczącymi na skrajach. Obsadzono go wodolubnymi bylinami i trzcinami, ogrodzono niskim, metalowym płotkiem. Hodowano w nim złote rybki, a w jego centrum znajdował się wodotrysk wyrzucający wodę na wysokość 8 m., z czasem obudowany sprowadzonymi z Brohl nad Renem kamieniami z tufu wulkanicznego. Wokół zbiornika, podobnie jak w całym parku, ustawiono drewniane ławki.

Uruchomienie fontanny wiązało się ze wzniesieniem w 1906 r. nieopodal stawu stacji pomp wodociągów miejskich. Teren wokół niej zadrzewiono, doprowadzono brukowaną, zachowaną do dziś drogę. Pierwsza dekada XX w. przyniosła również inne ważne zmiany. W 1905 r. park przekroczył granice pierwotnego parowu – jego obszar powiększono o nabytą od dziedzica Eduarda Enssa z Górek pod Tczewem malowniczą kotlinkę o powierzchni ok. 1,6 ha w narożu południowo-zachodnim. Obsadzono ją później m.in. dwoma gatunkami sosen oraz pojedynczymi brzożami. Kontynuowano także prace nad kompozycją przestrzenną całego założenia. W 1908 r. urozmaicono ją o niemal 600 róż oraz 490 mb grabowych żywopłotów o zróżnicowanej wysokości (od 60 do 120 cm), które sprowadzono ze wspomnianego arboretum Spätha z Berlina. Dwa lata później na wzniesieniu ponad kotlinką pojawiła się „Schutzhütte” – prosta, malownicza, drewniana altana o ażurowej konstrukcji przypominającej szałas dzięki wykorzystaniu przeplecionych



„Goldfischeich” i budynki Wodociągów Miejskich, ok. 1906 r.



Fragment parku z kopcem widokowym, ok. 1910 r.



Kiosk z napojami, 1927 r



Wejście główne od strony ul. Baldowskiej, lata 30-te XX w.



Fragment planu miasta z parkiem, 1940 r.



Kamień ku czci czeskich harcerzy poległych w czasie II wojny światowej, 2020 r.

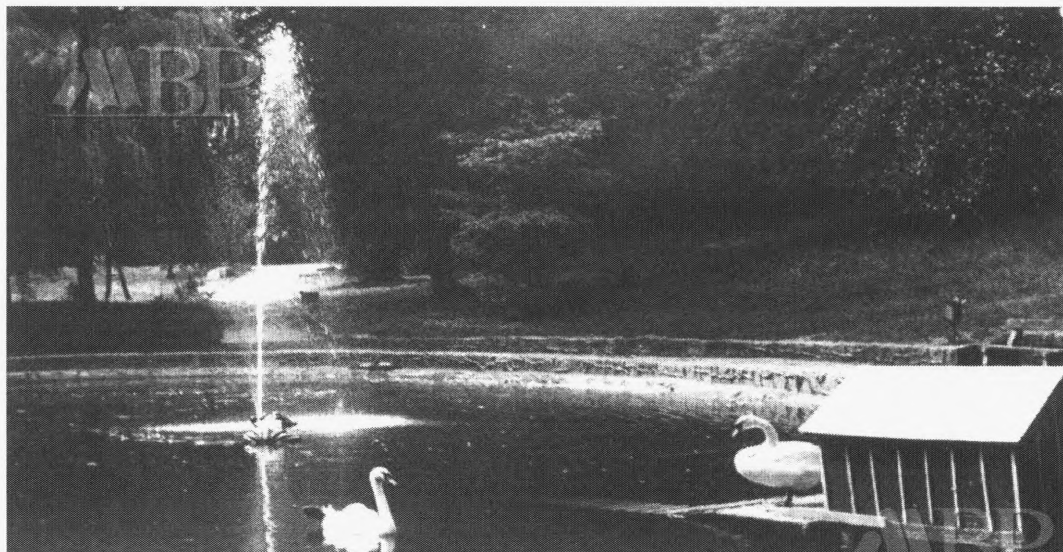
konarów i gałęzi. Przed nią rozłożono kilkanaście głązów służących jako miejsce odpoczynku dla spacerujących. Naturalny charakter parku starano się podkreślić m.in. brzozywymi poręczami schodów.

Rok 1910 przyniósł także inne, niezwykle istotne zmiany. Doktor Hermann Scheffler (1842–1906), bardzo zasłużony dla Tczewa radca sanitarny, fundator Łazienek Miejskich i aktywny członek Towarzystwa Upiększania, w testamencie zapisał okazałe środki finansowe na rzecz miasta, z których utworzono fundację jego imienia. Dzięki niej zakupiono od wspomnianego wyżej Eduarda Enssa dalszych 5 ha ziemi położonej powyżej parowu, po jego południowej stronie. Ta część parku otrzymała odtąd nazwę Lasku Schefflera. Zlokalizowana na płaskim terenie, z siecią dróg i ścieżek o długości 1700 m, stanowiła znaczące urozmaicenie całego założenia. Do zadrzewienia przeznaczono ok. 30 tys. sadzonek, z których część pochodziła z pozostałych terenów parku. Najbardziej charakterystycznym elementem była tu jednak imponujących rozmiarów budowla ziemna w kształcie ściętego stożka, opleciona spiralną drogą prowadzącą na szczyt. Dzięki 6 metrowej wysokości mogła pełnić funkcję punktu widokowego na park, miasto, Wisłę, a nawet położone za nią Żuławy. Na stokach parowu zaś część alejek zastąpiono schodami wykonanymi z kostek granitowych i bazaltowych, czego pamiątką jest ułożona z bruku data „1910”.

Dwa lata później, z inicjatywy kolejnego działacza Towarzystwa, dyrektora gimnazjum żeńskiego, dr Maxa Günthera (1851-), w Lasku Schefflera urządzono szkolny ogród botaniczny, w którym posadzono ok. 100 rzadkich odmian drzew i krzewów, m. in. cisy japońskie i irlandzkie, złote cyprysiki kalifornijskie, daglezie, jodły kaukaskie i kanadyjskie, wszystkie zaopatrzone w porcelanowe tabliczki z nazwami. Jego dokładna lokalizacja nie jest dziś znana, nasadzenia nie zachowały się, być może ze względu na nieodpowiedni klimat lub glebę. Jedyнным świadkiem tego założenia jest dziś unikalny w skali kraju dąb wielkoowocowy (*Quercus macrocarpa*). Naturalnie występuje on w Kanadzie i Stanach Zjednoczonych, gdzie jest drzewem stanowym stanu Iowa. Jego pozbawione taniny żołądździe w charakterystycznych miseczkach z frędzlami podobno można spożywać na surowo.

Około 1912 r. w pobliżu głównego wejścia pojawił się niewielki szalet o ryglowej konstrukcji wzniesiony wedle projektu firmy Rudolfa Sußmanna z Jeleniej Góry, zachowany do dziś.

Ciekawym, aczkolwiek niewyjaśnionym do końca, epizodem w dziejach parku była inicjatywa miejscowego Okręgowego Towarzystwa przeciw Nadużywaniu Napojów Alkoholowych (*Bezirkverein Dirschau gegen den Missbrauch geistiger Getränke*). W czerwcu 1914 r. zwróciło się ono do władz miejskich o zgodę na budowę w parku „Domku Mlecznego” z napojami bezalkoholowymi, wodą selterską, lemoniadą i mlekiem. Punkt ów w ich imieniu prowadziłoby Towarzystwo Błękitnego Krzyża (*Blaukreuzverein*), chrześcijańska organizacja zwalczająca alkoholizm. Jak wnioskowano, mógłby on znajdować się w okolicy stacji pomp lub przy Szosie Bałdowskiej w pobliżu szaletu, czyli tam, gdzie dziś znajduje się ... sezonowa piwiarnia (sic!). Nie wiadomo, czy to wybuch I wojny światowej przeszkodził z realizacji tego pomysłu. Wśród innych ciekawostek uwiecznionych w archiwaliach znaleźć można i taką z lipca 1918 r.: „Zarząd Towarzystwa powiadamia proboszcza Engelbrechta, że uchyla wcześniejsze zgody na zrywanie kwiatów w parku przez siostry zakonne”.

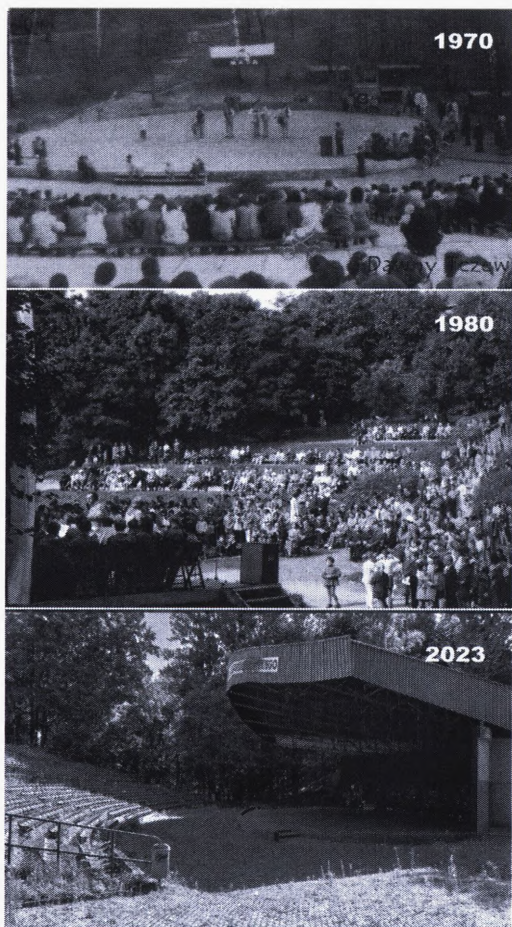


Staw, ok. 1973 r.

Gdy w 1915 r. zmarł Willi Muscate, Towarzystwo zamierzało uczcić jego pamięć stawiając obelisk z *tablicą z brązu*. Plany te zniweczyła jednak wojna. W Lasku Schefflera zdołano umieścić jedynie głaz narzutowy, na którym dopiero w 2015 r. z inicjatywy tczewskich społeczników umieszczono stosowną tablicę z napisem: „*Pamięci radcy Wilhelma Muscatego twórcy i krzewiciela tczewskiego parku*”.

Po odzyskaniu niepodległości przez Polskę park przeszedł pod zarząd miasta, które zatrudniało dozorcę i stałego ogrodnika. Nadzór nad ich pracą sprawował budowniczy miejski Walerian Radziejowski (1877–1940). Zachowane do dziś dokumenty świadczą o tym, że systematycznie uzupełniano ubytki drzewostanu, zadarnienie i rośliny na kwietnikach: pierwiosnki wielokwiatowe, werbeny, cyklameny, szparagi Szprengera, kochie, mietelniki, lobelie przyławkowe i astry sprowadzane m.in. z Torunia i Grudziądza. Dbano o modernizację sprzętu potrzebnego do pielęgnowania zieleni: kupowano kosiarki do trawy (np. marki „Brills-Reform” i „Ideal”), grabie, konewki etc. Dzięki przekazom ikonograficznym odtworzyć można kompozycję reprezentacyjnej, zachodniej części założenia, przy wejściu głównym. Niewysoką skarpcę od ul. Bałdowskiej zamykał żywopłot i szpaler drzew. Wydłużony, owalny teren poniżej obsadzony był geometryczną, regularną kompozycją z kwiatów i krzewów. Zdobiły go ponadto okazałe donice w formie kielichów z misami wypełnionymi kwiatami. Część z nich posadowiono na czworobocznych postumentach z dekoracyjnymi płycinami. W pobliżu usytuowana była drewniana altana z rozstawionymi obok krzesłami i stolikami pełniąca funkcję kiosku spożywczego z napojami (m.in. piwem chełmińskim), widoczna na zdjęciu z 1927 r.

W roku 1931, na południowo-wschodnim skraju parku, usytuowano korty Tczewskiego Klubu Tenisowego. Rok później zrealizowano obok nich szklarnię, projektowaną już 5 lat wcześniej przez budowniczego Radziejowskiego na wzór podobnej w Ostrowie Wlkp. Jej nakryte przeszklonym dachem wnętrze podzielono na dwie części z osobnymi



Amfiteatr Miejski w latach 1970, 1980 i 2012



Kamień ku czci W. Muscatego, 2020 r.

kotłowniami, piecami i kanałami grzewczymi. Doniczki do uprawy roślin dostarczyła „Cegielnia Wola” z okolic Pelplina. W 1937 r. mocno nadwerżoną szklarnię zamknięto. Korty pozostały do dziś.

W 1932 r. niektóre z gruntowych alejek biegnących stokami parowu zamierzano zaopatrzyć w schody z używanych podkładów kolejowych. Niestety, Dyrekcja Kolei Państwowych odmówiła ich sprzedaży. W tym samym roku z inicjatywy burmistrza Stefana Wojczyńskiego zdecydowano o założeniu przez „ogrodowego miejskiego” szkółki drzew na terenie parku. Hodowane tam klony, lipy, akacje, świerki, buki i dęby służyć miały przede wszystkim do obsadzania nowych ulic.

W dobie kryzysu gospodarczego w latach 1929–35 park narażony był na akty wandalizmu ze strony osób poszukujących taniego opału. Mnożyły się uszkodzenia ławek, śmietników czy nielegalna wycinka drzew. W 1932 r. burmistrz poprosił policję o wzmożoną opiekę nad parkiem, zwłaszcza w godzinach wieczornych i porannych („a nawet wyrzyna się piłami całe ławki”). Zagrożeniem dla świeżych nasadzeń było też rozjeżdżanie parku

sankami i nartami w okresie zimowym. W styczniu 1933 r. Wydział Budowlany wniósł o „wydanie przez Magistrat zakazu saneczkowania się w Parku Miejskim, oraz jeżdżenia na nartach i zwiększenie dozoru policyjnego”, motywując to niszczeniem młodych drzewek. „Zwracanie uwagi przez stróżów, oraz robotników w Parku Miejskim pracujących nie odnosi skutku, gdyż takowych i tak nie słuchają, a nawet zabierają się czasami do bicia”. Zgodzono się natomiast na to, by w maju 1934 r. dwaj mieszkańcy Tczewa zawiesili sobie na drzewach hamaki, a w lutym 1937 r., mimo wcześniejszych zakazów, jedna z nauczycielek Gimnazjum Żeńskiego mogła uczyć się jazdy na nartach na terenie całego parku.

W latach 1936–39 kuratelę nad całym założeniem sprawowało założone przez burmistrza Wiktora Jagalskiego Towarzystwo Miłośników Miasta Tczewa. Niestety, dawało się już zauważyć przerost drzewostanu, a co za tym idzie jego karłowatość i zamieranie słabszych drzew. Inspekcja przeprowadzona w lutym 1938 r. przez specjalistów ze Związku Miast Polskich w Warszawie zalecała m.in. założenie nowego parku „na terenach wojskowych, znajdujących się na peryferiach Tczewa w pobliżu placów na których projektowana jest nowa dzielnica mieszkaniowa”.

Pod koniec II wojny światowej, w związku z budową zasieków na drogach wylotowych z miasta, wycięto prawdopodobnie część parkowych drzew od strony ulicy Bałdowskiej.

Zaniedbany w pierwszych latach powojennych park zarastał samosiewami, które zacieślały jego kompozycję przestrzenną. W zasadzie dbano tylko o główny ciąg komunikacyjny ze stawkiem i część zachodnią, przyległą do ruchliwej ulicy Bałdowskiej. Tu też, 22 lipca 1960 r., uroczyście odstonięto wielki kamień z tablicą upamiętniającą tczewskich harcerzy poległych w czasie II wojny światowej. Pamiątkami tego konfliktu są też kamienne bloki z wysadzonych w 1939 r. mostów tczewskich ustawione przy wejściu głównym i wschodnim od strony ul. Kołtątaja oraz granitowe słupki z dawnej granicy między Polską a Wolnym Miastem Gdańskiem służące dziś jako stopnie schodków przy obmurowaniu dawnego placu zabaw. Zmiany, i to poważne, nadeszły w latach 70-tych. Większość alejek pokryto wówczas asfaltem. W Łasku Schefflera znacząco zniwelowano wysokość kopca widokowego, przez tczewian określanego mianem „szneki”. W basenie sadzawki, przy wodotrysku, pojawiły się dwie betonowe żabki. Atrakcją dla spacerowiczów stała się wówczas także para łabędzi, która upodobała sobie stawek. Zbudowano nawet dla nich drewniany domek na zimę. Mieszkały w nim do 1974 r. kiedy to jeden z nich padł ofiarą pijanego wyrostka. Inwestycją, która najbardziej naruszyła pierwotny układ przestrzenny parku, była budowa w roku 1975 amfiteatru, od czerwca 2012 r. noszącego imię Grzegorza Ciechowskiego, pochodzącego z Tczewa muzyka i kompozytora, lidera grupy „Republika”.

W latach 80-tych park znajdował się w opłakanym stanie: zarośnięty samosiejkami, dziką, przypadkową zielenią, ze zdewastowanymi urządzeniami technicznymi (amfiteatrem, placem zabaw, oświetleniem, ławkami etc). Dobitnie wykazały to jego inwentaryzacje wykonane w latach 1982 i 1998. Autor drugiej z nich wnioskował, by z 2610 opisanych przez niego drzew, usunąć aż 544 będących w złym stanie lub rosnących zbyt gęsto. Z początkiem XXI wieku prace ruszyły. Park oczyszczono z podrostów, co znacząco uczyniło jego wnętrze i prześwieciło drzewostan. W 2001 r. powiększono też zespół kortów tenisowych.

W roku 2007 Ruch Inicjatyw Obywatelskich Tczewa opracował pierwszy społeczny projekt rewitalizacji całego założenia. Zakładał on m.in. utworzenie na jego terenie ogrodu

typu francuskiego, nowej ścieżki zdrowia i siłowni na wolnym powietrzu, modernizację amfiteatru, odtworzenie kopca widokowego i historycznego ciągu alejek w Lasku Schefflera, stworzenie kawiarni w budynku wodociągów, wyznaczenie ścieżki dydaktycznej, renowacje schodów etc. Odpowiedzią władz miejskich na tę inicjatywę stała się kontrowersyjna budowa w 2009 r. zegara słonecznego, wedle projektu studentów Akademii Sztuk Pięknych w Gdańsku. Jako, że znajduje się on w zacienionej kotlinie (sic!), natychmiast stał się przedmiotem drwin mieszkańców i nie tylko. „W jednej miejscowości w Polsce wydali duże pieniądze na zegar słoneczny – wmurowali go w miejscu, gdzie słońce nie dochodzi” – tak w swojej książce „Głową o stół” napisał reżyser Jerzy Gruza, taktownie nie wspominając o tym, w którym mieście ów zegar się znajduje. Rok później część alejek parkowych otrzymała nową, betonową i żwirową nawierzchnię oraz oświetlenie elektryczne. W 2016 r. powstały dwie bardzo ciekawe, społeczne inwentaryzacje parkowej fauny, które stwierdziły występowanie na tym terenie aż 39 gatunków ptaków i chronionych gatunków nietoperzy i owadów. Kolejnym niezrozumiałym posunięciem władz miejskich był opracowany w tym samym roku pomysł wygrodzenia i przekształcenia części założenia w tzw. park linowy z ... ruchomymi dinozaurami. Tym razem wywołał on ostrą krytykę mieszkańców i środowiska społeczników skupionych w Ruchu Inicjatyw Obywatelskich. Dzięki ich apelom 31 marca 2017 r., mocą decyzji Pomorskiego Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków, park został wpisany do rejestru zabytków.

Jej wydanie poprzedziła w 2016 r. szczegółowa inwentaryzacja, w której ujęto 2512 drzew i krzewów. Wykazała ona, że drzewostan parkowy jest niezwykle bogaty i zróżnicowany. Tworzy go 51 gatunków, głównie rodzimych: jesiony wyniosłe (20%), klony zwyczajne (18%), lipy drobnolistne (16%) i dęby szypułkowe (12%). Ponadto: graby zwyczajne, klony polne, robinie akacjowe, buki zwyczajne i klony jawory. Znikomy procent stanowią drzewa iglaste. Na szczególną uwagę zasługują gatunki egzotyczne w starszej części parku: lipa amerykańska, lipa krymska, klon srebrzysty, lipa srebrzysta, sosna czarna, choina kanadyjska, dąb wielkoowocowy, leszczyna turecka, daglezja zielona, żywotnik zachodni, jodła jednobarwna, buki i klony odmiany purpurowej. Blisko połowa drzew posadzona została przed 1939 r., a część z nich liczy ponad 120 lat. Jedna z lip amerykańskich i dwa buki zwyczajne odmiany purpurowej uznane zostały za pomniki przyrody, a kolejnych pięć drzew kwalifikuje się do objęcia tą formą ochrony.

W marcu 2023 r. władze miasta zleciły opracowanie nowej koncepcji rewitalizacji Parku Miejskiego. Zakładać ma ona m.in. przeniesienie zegara słonecznego, zastąpienie amfiteatru niewielką kameralną sceną i coś, co ponownie bulwersuje część mieszkańców – wprowadzenie ruchu rowerowego poza granice parku. Poczekamy, zobaczymy ...

Piotr Napiwodzki



PATRONKA DZIERZGONIA W PAŁACU DOŻÓW W WENECJI

W centrum Dzierzgonia znajduje się pomnik patronki miasta – świętej Katarzyny Aleksandryjskiej autorstwa Zbigniewa Chrostka. Katarzyna stoi wyniosłe na podwyższeniu, samotna i dumna. Wzrok utkwiony w dal, być może skierowany w przyszłość. Lewa ręka wspiera się na dużym kole, prawa spoczywa na mieczu, lekkie szaty podkreślają jej kobiece kształty, wzrok przyciągają swobodnie ułożone, piękne dłonie. Postać wygląda lekko, ale i poważnie – jest w końcu patronką, a więc protektorką i wspomóżycielką.

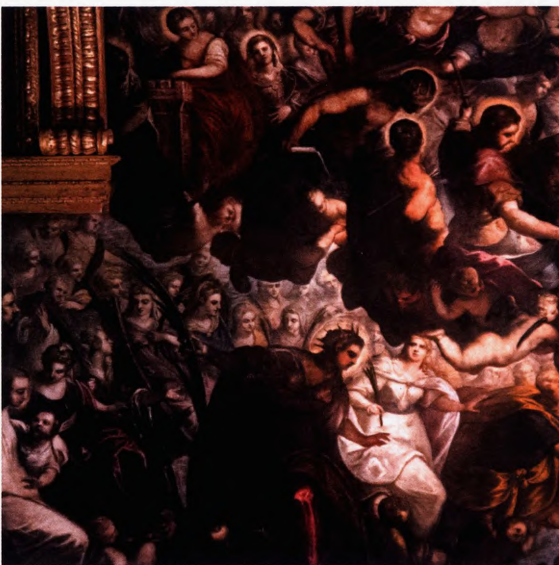
Oczywiście, samotnie wyrzeźbiona czy namalowana święta (ta czy inna) nie jest niczym zaskakującym w historii sztuki. W epoce nowożytnej Katarzyna Aleksandryjska jest być może najbardziej znana z obrazu Caravaggia (ok. 1598), albo z Autoportretu Artemisii Gentileschi (1615–1617), która samą siebie przedstawiła jako Katarzynę Aleksandryjską właśnie.

Kwestia wstawiennictwa świętych bezpośrednio łączy się jednak z tematem świętych obcowania, a więc istnienia wspólnoty już zbawionych: Kościół uznał, że ich życie czy śmierć spełnia wszelkie kryteria, aby traktować ich jako przyjaciół Boga na tyle Mu bliskich, że są w stanie wypraszać u Niego łaski dla tych, którzy ciągle jeszcze pielgrzymują w tym świecie.



Święty nie jest więc samotnym herosem, ale tym, który został włączony do wspólnoty świętych. Wszelkie indywidualne pomniki czy obrazy mają sens jedynie przy uwzględnieniu tego szerszego kontekstu wspólnoty. Spróbujmy więc odnaleźć wizerunek Katarzyny Aleksandryjskiej w przedstawieniu dużej grupy świętych i męczenników. To zadanie udało się w poprzednim numerze „Prowincji”, gdy patronkę Dzierzgonia dostrzegliśmy wśród wielu postaci na fresku Sądu Ostatecznego Michała Anioła¹. Tym razem wyzwanie jest jeszcze trudniejsze – chodzi bowiem o obraz z wprost nieprzeliczoną ilością postaci – to Raj [*Paradiso*], który w pałacu Dożów w Wenecji w latach 1588–1594 namalował Jacopo Tintoretto (1518–1594).

To ogromny obraz, największy z namalowanych przez Tintoretta, 7 metrów wysoki, 22 szeroki. Trudno objąć go jako całość. Wśród ogromnej ilości postaci, w centrum kompozycji, znajduje się Chrystus i Maryja. Wokół tych nieruchomych postaci krążą wszystkie inne tworząc potężne kręgi. Oprócz najwyższego kręgu, który jest zamknięty, wszystkie inne są otwarte i wydają się zamykać daleko za tym, który obraz ogląda, przez



¹ *Prowincja* 3 (53) 2023, s. 112–118.



co powstaje wrażenie bycia wciągniętym w wyobrażoną w ten sposób wspólnotę świętych [communio sanctorum]. Ruch ten zdaje się nie mieć ani początku, ani końca, sam w sobie jest ilustracją wieczności. Ruch jest zasadą kompozycyjną dzieła, w czym widać nawiązania do wcześniejszego o kilkadziesiąt lat dzieła Michała Anioła z Kaplicy Sykstyńskiej². Każda postać jest częścią tego ruchu, który symbolizuje stan trwający wiecznie, ostateczne i trwałe bycie w obecności Boga. Drugim elementem charakterystycznym zresztą dla całego malarstwa Tintoretta jest światło. Tak jak od słońca wychodzi wszelka siła i jest ono równocześnie dawcą światła oświetlającym wszystko, tak też z aureoli Chrystusa, szczytu całej kompozycji, wychodzą promienie, które wszystko rozświetlają i obejmują. Docierają aż do najdalszych krawędzi obrazu oplatając złotą, świetlistą sieć. Powstaje cały system promieniście rozchodzących się linii łączących centrum ze wszystkimi częściami obrazu. Postaci na pierwszym planie rzucają się w oczy dzięki głębokim, ciemnym kolorom, a za to postaci w tle, w jasnym barwach, wydają się jakby przeniknięte światłem. W ten sposób powstaje wielka głębia przestrzeni, którą tutaj tworzą same postaci, bez żadnych dodatkowych elementów.

Pomiędzy grupami na pierwszym planie widzimy przez zasłonę promieni światła kolejne tłumy, bardziej odległe. Nigdzie nie ma widoku na otwartą przestrzeń albo na chmury – chmury to coś, co już nie istnieje w wieczności; wspieranie się na nich byłoby pozostałością naturalnej przyczynowości. Nie ma już przecież prawa ciężenia, święci unoszą się swobodnie w nieskończonej przestrzeni, ale dzięki światłu bijącemu centrum kompozycji pozostają powiązani i zjednoczeni. Żadna z postaci nie jest niestabilna czy chwiejna, lecz wszystkie niejako podlegają wyższemu porządkowi. Nie podpadają już pod prawo zmienności, są wyniesieni ponad walkę i cierpienie, uczestniczą z Bożym trwaniem. Można nawet stwierdzić, że ta pełna ruchu i światła kontemplacja Boga jest jedyną i wszystko wypełniająca treścią tych postaci.

Postaci historyczne są oznaczone atrybutami, co daje nam pewną nadzieję dostrzeżenia także naszej bohaterki. I rzeczywiście, trzeba przyrzeć się lewej części obrazu (lewej od strony obserwatora), gdzie występuje większa ilość postaci kobiecych – to chór męczennic prowadzony przez wielką i majestatyczną postać, która w ręce trzyma palmę, a jej pierś przeszywa miecz. Uważa się, że to św. Justyna z Padwy, która była jedną z patronek Weneccji – stąd jej wyraźnie uprzywilejowana pozycja. Spogląda poza obraz, prawa ręka jest uniesiona, błogosławi nią bądź ochrania zgromadzonych w sali, a więc pośrednio całe miasto w jego reprezentantach. Jasnyniebską postać pomiędzy Justyną a Abrahamem badacze obrazu nazywają św. Agnieszką. Nie dostrzegamy u niej żadnego atrybutu, jedynie młodość tej postaci przemawia za tą tezą. Podkreśla się zamierzone skonstrastowanie potężnej, ciemnej Justyny z zanurzoną w niebieskie światło Agnieszką. I oto na lewo od Justyny widzimy Katarzynę – nie ma wątpliwości, że chodzi właśnie o nią: w ręku trzyma palmę męczeńską, a obok widzimy fragment pękniętego koła (przypomnijmy, że według legendy była łamana kołem, które zniszczył anioł – ostatecznie Katarzyna została ścięta) . Koło jest

² Zwraca na to uwagę i temat pogłębia Karolina Lanckorońska w swojej pracy doktorskiej obronionej w Wiedniu w 1926, a noszącej tytuł: *Michelangelo's Jüngsten Gericht und seiner künstlerischen Deszendenz* [Sąd Ostateczny Michała Anioła i jego artystyczne oddziaływanie]. Praca przy tłumaczeniu tego tekstu jest bezpośrednią inspiracją do napisania niniejszego artykułu, niektóre wątki są wprost z niego zaczerpnięte.

potężne, to rzeczywiście narzędzie tortur, a nie jedynie symbol w postaci małego koła do drabiniastego wozu. Jest też wyjątkowo poważnie uszkodzone – narzędzia męki są tylko zasygnalizowane, abyśmy mogli rozpoznać poszczególne postaci – w raju nie mają już takiego znaczenia jak przy sądzie, gdzie są dowodem wierności i powodem chluby. Katarzyna wydaje się rozmawiać z postacią nieco niżej, która oprócz palmy nie ma żadnego atrybutu. Nad nimi, całkowicie w świetle, widać jeszcze szereg męczennic, który jest już jednak częściowo przesłonięty przez tłum osób znajdujących się jeszcze wyżej. On także tworzy szereg rozpoczynający się od postaci naróżnej, którą jest święta Barbara z wieżą (według legendy została uwięziona w wieży, a następnie ścięta mieczem ok. 304 roku). Również ona miała specjalne znaczenie dla Wenecji: w dniu jej wspomnienia wybierano członków Wielkiej Rady. Ma żółtą suknię odcinającą się od tła, opiera się na wieży i spogląda w dół: tam właśnie zasiadała Wielka Rada Wenecji. Obecność i spojrzenie świętych miała wzbudzać w członkach Rady właściwe nastawienie i uzmysłowiać im, że odpowiedzialność, która na nich ciąży, sięga dalej niż ten doczesny świat – ewentualne rozliczenia ich działalności dokonają się w sferze nadprzyrodzonej.

Dla uzupełnienia opisu tego fragmentu obrazu dodajmy, że ponad Justyną król (być może święty Ludwik) pochyla się do św. Sebastiana, którego potężne ramiona przedstawione są tyłem. Obok niego mamy św. Rocha dzierżącego laskę pielgrzyma – widać jego guz, który jest objawem dżumy. Po prawej od niego widać kobietę z koroną na głowie i wielkim krzyżem w prawej ręce – świętą Helenę.

Podziwiając dzieło Tintoretta warto zobaczyć kontekst jego powstania. Koniec XVI wieku to w Kościele katolickim czas uspokojenia nastrojów. Sobór Trydencki (obradował w latach 1545–1563) uporządkował to, co początek XVI wieku pogrążył w chaosie – przede wszystkim w wymiarze intelektualnym, duchowym, organizacyjnym. Kontrreformacja zatryumfowała. Widać to dobrze na obrazie, który jest właśnie ilustracją tego tryumfu. Maryja jest tam, gdzie być powinna – w samym centrum, tuż przy Synu (inna sprawa, że obraz Tintorettego powstał po pożarze, w którym zniszczony został czternastowieczny obraz wcześniej znajdujący się w tym miejscu a przedstawiający Koronację Maryi – być może mamy więc tutaj nawiązanie to tego poprzedniego dzieła) . Święci – ich wstawienictwo jest szczególnie podkreślane w kontraście do ujęcia protestantów – stanowią fundament katolickiego porządku – doczesnego i nadprzyrodzonego. Im bardziej w krajach protestanckich sychano na bok imieniny podkreślając jedynie dzień urodzin, tym bardziej wśród katolików akcentowano imieniny, dzień świętego patrona – stąd do dzisiaj w Polsce tak ważne są obchody „Barbórek”, „Andrzejek”, czy choćby „Sylwestra” . Księgi liturgiczne uporządkowały daty wspomnień świętych, nowo powstały zakon jezuitów przyczynił się do solidnych badań nad postaciami świętych. W pobożności ludowej zaszczepiano kult świętych czyniąc ich patronami poszczególnych grup zawodowych czy społecznych. „Raj” Tintoretta jest miejscem rozkoszowania się harmonią i porządkiem. Każdy może w nim liczyć na swoje miejsce – oto na obrazie w określonym punkcie widać patrona lub patronkę – nawet jako przybysz z najdalszej prowincji mam nadzieję, że skoro patronka mojego miasta jest wyobrażona w tak znamienitym miejscu i w tak wielkiej bliskości Boga, to coś z tej bliskości może stać się także moim udziałem. Nie ma już niepokojącej atmosfery końca świata (choć obraz o tej tematyce Tintoretto malował również) – nie ma potrzeby

nagością postaci wzmacniać element konfrontujący z egzystencjalną prawdą o sobie i o innych: szaty są rozdane i stanowią ważny motyw organizujący tę niebiańską hierarchię. Tak też jawił się pewnie cały potrydencki Kościół – wzmocniony, ale ubrany niemalże w zbroję, potrafiący stawić czoła niebezpieczeństwu epoki nowożytnej, ale niekoniecznie pozostający w kontakcie ze światem na zewnątrz, onieśmielający w swojej chwale, ale często wprost paraliżujący przy próbach dialogu ze światem. Trochę może ciasno, ale przynajmniej nikt nie mógł czuć się samotny.

Wracając jednak na koniec do postaci Katarzyny: trudno oprzeć się wrażeniu, że jest w tej scenie nieco rozproszona. Nie skupia się na kontemplacji Chrystusa, ale zwraca się do postaci poniżej. Być może dobro Wenecji nie leży jej aż tak na sercu, jak św. Justynie. Chociaż tkwi w ciasnym szeregu świętych męczennic, to zachowuje sporo przestrzeni – fragment jej koła nieco odgradza ją od innych. Katarzyna Aleksandryjska pozostaje postacią tajemniczą i kontrowersyjną – wyraźnie u Michała Anioła w Kaplicy Sykstyńskiej, a u Tintorettego w Pałacu Dożów – dyskretnie i nieśmiało.

Andrzej Lubiński



ZAPOMNIANI BOHATEROWIE Z SZADOWA

Nie spodziewałem się, że na przyjęciu urodzinowym kuzyna w Kwidzynie przyjdzie mi poznać rodzinne losy jednego z czołowych działaczy plebiscytowych na Powiślu.

Pani Monika zajmowała miejsce przy stole obok mnie i małżonki. Wywiązała się rozmowa i w pewnej chwili powiedziała, że zaplanowała zatrzymać się na krótko w Szadowie, które przed rokiem 1939 Polacy nazywali Szadłowem. – Czyżby Haertlé? – wtrąciłem. Spojrzała mnie zdziwiona. – Skąd pan wie? Odpowiedziałem, że postać Stanisława Haertlégo jest mi dobrze znana z literatury. Był czołowym działaczem polskim w czasie plebiscytowym. – To był mój pradziadek – wyjaśniła.

Haertlowie byli rolnikami – ogrodnikami i leśnikami. Wywodzili się z miejscowości Oettingen w Austrii, a potem przeprowadzili się do Bawarii. Opowieść rozpoczniemy od Franza Josepa Haertle, który urodził się 28 marca 1804 roku. Mając dokument potwierdzający zdobyte umiejętności w zakładaniu i prowadzeniu parków i ogrodów, udał się na tzw. wędrówkę czeladniczą. Dotarł do Poczdamu, gdzie zatrudnił się w słynnych już na ówczesne czasy ogrodach w Schlossgarten Glinicke, króla pruskiego Fryderyka Wilhelma III. Zdobywając tam doświadczenia pod kierunkiem dworskiego ogrodnika Petera Josepa Lenne. Idąc za modą francuską oraz swoim mistrzem, dodał do swojego nazwiska akcent na ostatnią literę „é”. Tu też poznał swoją przyszłą żonę Charoltte Luizę Liebisch urodzoną 5 kwietnia 1812 roku i poślubił ją 11 października w 1836 roku. Krótko po ślubie udał się na ziemię chełmińską do ówczesnych Prus Zachodnich, mając propozycję zaprojektowania oraz założenia parków i ogrodów przy budowanych tam pałacach ziemiańskich w Dębowej Łące braci Karl i Fryderyk Hennig i w Niedźwiedziu Wacława Kucharskiego.

Około 1850 roku zakupił w pobliżu Wąbrzeźna gospodarstwo ogrodnicze. Wykorzystując dogodnie położenie nieopodal jezior postanowił stworzyć tam miejsce wypoczynku dla mieszkańców Wąbrzeźna. Założył w tym celu rozległy park, w którym pobudował restaurację ze strzelnicą. Założył również sad owocowy, składający się z najlepszych ówczesnych odmian jabłek, grusz, czereśni, śliw, wiśni. Zmarł 21 stycznia 1874 w wieku 70 lat, małżonka zmarła 29 lipca 1885, licząc sobie 73 lata. Pochowani zostali na cmentarzu w Wąbrzeźnie.

Ich syn, Karl Hugon, urodził się w Dębowej Łące w roku 1839. To on dał początek polskiej linii tej rodziny. Będąc administratorem majątku w Niedźwiedziu w pobliżu granicy zaborów pruskiego i rosyjskiego współdziałał w niesieniu pomocy powstańcom styczniowym, dostarczając broń i amunicję. Ukrywał w majątku powstańców, którzy przedarli się przez kordon przed ścigającymi ich Rosjanami, oraz dopomagał w wyjazdach na emigrację.



Stanisław Haertlé (1887–1961)

Rolniczego i Banku Ludowego. Potem był dzierżawcą dóbr hr. Żółtowskich – majątku w Drzewcach. Należał do Banku Ludowego w Poniecu. Aktywnie działał w sejmikach Związku Spółek Zarobkowych i Gospodarczych. Był założycielem i prezesem Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół” w Poniecu. Zmarł 19 lutego 1920 w wieku 81 lat w Drzewcach i został pochowany na cmentarzu w Poniecu.

Jego syn Stanisław Jan urodził się 1 grudnia 1887 roku w majątku Przemęt. Ukończył gimnazjum we Wschowie, a studia rolnicze w Berlinie. Ożenił się z Teresą Robińską, urodzoną w Krotoszynie 2 października 1894 r. Jej rodzicami byli Czesław Antoni Robiński i Maria Walentyna Józefina Wierusz Kowalska. Jako ciekawostkę dodam, że z rodziną Wierusz Kowalskich w XVIII wieku związany był poprzez małżeństwo z Esterą, twórcą polskiego hymnu narodowego Józef Wybicki. [Fot. 2]



Teresa Haertlé (1894–1962)

Administrując kolejnym majątkiem w Kijewie, poznał przebywającą tam Elżbietę Rudloff, urodzoną 25 października 1856 roku. Poślubił ją 3 lutego 1876 roku. Na ślub przyjechał jej ojciec z Lubeki, uchodźca polityczny z zaboru rosyjskiego. Na studiach w Kazaniu należał do tajnego stowarzyszenia polskich studentów. Ojciec chciał, aby córka przebywająca w środowisku niemieckim poznała również język polski. Ta za namową przyjaciół ojca znalazła się w Kijewie w majątku Kobyliańskich w powiecie chełmińskim. Przed ślubem Elżbieta z wyznania kalwińskiego przeszła na katolickie. Zmarła niespodziewanie 6 sierpnia 1911 w Drzewcach.

Karl Hugon był osobą wymagającą w stosunku do swoich podwładnych, ale też sprawiedliwą. Uchodził za dobrego znawcę koni. Po przeniesieniu się do Wielkopolski zamieszkał najpierw w Przemęcie, powiat wolsztyński. Został członkiem tamtejszego Kółka Rolniczego i Banku Ludowego. Potem był dzierżawcą dóbr hr. Żółtowskich – majątku w Drzewcach. Należał do Banku Ludowego w Poniecu. Aktywnie działał w sejmikach Związku Spółek Zarobkowych i Gospodarczych. Był założycielem i prezesem Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół” w Poniecu. Zmarł 19 lutego 1920 w wieku 81 lat w Drzewcach i został pochowany na cmentarzu w Poniecu.

Stanisław Jan Haertlé nabył niewielki majątek Gryszyna w powiecie wołowskim. W 1917 roku przeniósł się do Szadowa (Szadłowa) w powiecie kwidzyńskim, a kupił mu to gospodarstwo ojciec. Zaangażował się Stanisław Jan w polski ruch narodowy, gdy kończyła się I wojna światowa. O przynależności państwowej Powiśla podjęto decyzję podczas konferencji w Wersalu obradującej od 18 stycznia do 28 czerwca w 1919 roku. Miał zdecydować o tym plebiscyt ludności. Stanisław Jan Haertlé działał w kwidzyńskiej Radzie Ludowej i razem z Tadeuszem Odrowskim, był też przeciwny, gdy Brunon Gabrylewicz został mianowany przez Radę Ministrów w Warszawie kierownikiem agitacji i szefem Komitetu Plebiscytowego 3 sierpnia 1919 roku. Po aresztowaniu w listopadzie tego roku B. Gabrylewicza

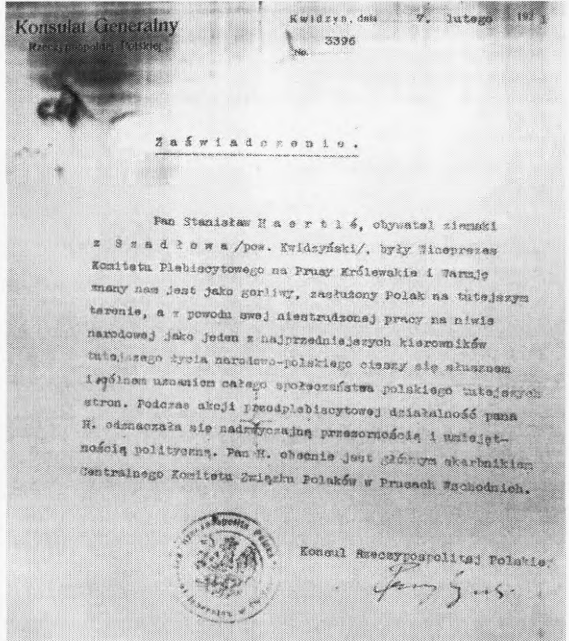
Komitet przestał istnieć. Powołano nowy – na żądanie Rad Ludowych Powiśla – Warmiński Komitet Plebiscytowy, którego wiceprezesem został Haertlé.

Komitet podjął decyzję, że do Warszawy na rozmowy z przedstawicielami rządu uda się jego delegacja. Dotarcie całej czwórki delegatów do stolicy nie było proste. Helena Sierakowska z Waplewa dojechała bez problemów do stolicy wagonem Komisji Plebiscytowej. Kazimierz Donimirski z Małych Ramz zatrzymał się na krótko w przygranicznej Mławie pod pretekstem, że szuka ludzi do pracy w swoim majątku. „(...) najgorsze chwile przeszli Haertlé i Odrowski – wspominała Maria Donimirska, żona Kazimierza. – Nie mając papierów, musieli przejść granicę pieszo, w odludnym miejscu i niestrzeżonym. Śnieg leżał po kolana, owe więc 12 kilometrów przebyć było dosyć uciążliwie. Delikatny Haertlé przyplącił wycieczkę do Warszawy zapaleniem płuc”.

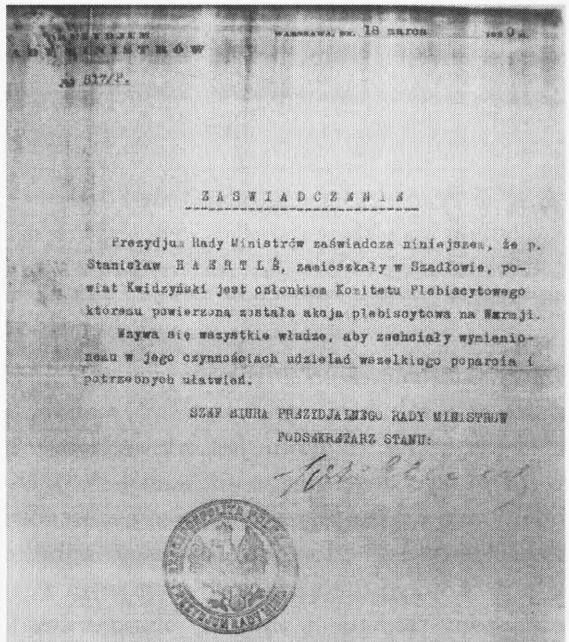
W Warszawie H. Sierakowska, T. Odrowski, S. Haertlé mocno zabiegali, aby Komitet Plebiscytowy został zaakceptowany przez polskie władze państwowe, proponowali jako odpowiedniego kandydata na prezesa K. Donimirskiego.

Właściwa polska agitacja plebiscytowa rozpoczęła się dopiero po przybyciu Międzysojuszniczej Komisji Plebiscytowej 18 marca 1920 roku do Kwidzyna. W różnych wsiach, gdzie przeważała ludność polska organizowane były: wiece, prelekcje, recytacje, występy artystyczne.

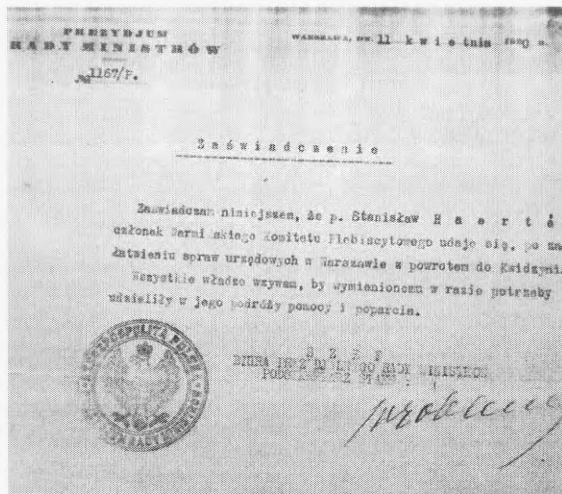
Z wykładami występowali agitatorzy z Polski oraz miejscowi działacze plebiscytowi, wśród nich znajdował się Haertlé. Wygłosił on w Pierzchowicach na zebraniu założycielskim Towarzystwa Ludowego wykład pt. „Twórczość Marii Konopnickiej”. Po jego przemówieniu wstąpiło do Towarzystwa 200 osób. Jego



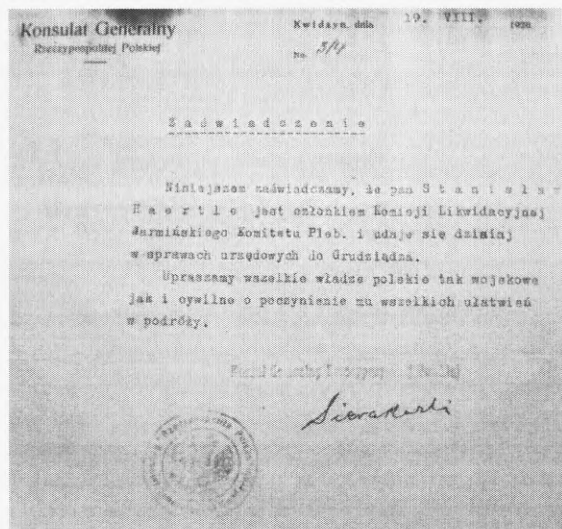
Zaświadczenie Prezydium Rady Ministrów podpisane przez Władysława Wróblewskiego, Warszawa 18 III 1920 r.



Zaświadczenie Prezydium Rady ministrów podpisane przez Władysława Wróblewskiego, Warszawa 11 IV 1920 r.



Zaświadczenie Konsulatu Generalnego RP Kwidzyn 19 VIII 1920 r. podpisane przez Stanisława Sierakowskiego



Zaświadczenie Konsulatu Generalnego RP Kwidzyn 7 II 1921 r.

małżonka Teresa była również zaangażowana w działalność polską, należała do Towarzystwa Ziemianek i Towarzystwa Kobiet pod wezwaniem św. Kingi. I tak np. 23 grudnia 1920 roku w Trzcianie zorganizowano gwiazdkę dla najmłodszych dzieci z ochronki, którą prowadziła Maria Sufraga. Dzieci śpiewały kolędy, deklamowały wiersze i wykonały kilka tańców. Po odmówieniu pacierza najmłodszy został obdarowany piernikami, ciepłą odzieżą, lalkami. Do ochronki uczęszczało 53 dzieci. W „Korespondencji” do „Gazety Olsztyńskiej” (nr 3, 1921) czytamy: „szczególne podziękowania należą się opiekunce ochronki pani Haertle z Szadłowa, Sadowskiej, Klarkowskiej, Szramowskiej, Patzerowej i Kwelowej z Trzciana, dzięki którym napełniono słodyczami torebki dla najmłodszych”. Stanisław Haertle brał udział w zebraniu założycielskim Związku Polaków w Prusach Wschodnich w listopadzie 1920 roku, gdzie wygłosił referat o kółkach rolniczych na Warmii i Mazurach i został wybrany członkiem i skarbnikiem Związku Polaków w Prusach Wschodnich. W roku 1921 przeprowadził się Stanisław Jan z żoną i synkiem Tadeuszem (ur. 1918 r.) do Polski i objął w powiecie chełmińskim domenę państwową Lipienek. Swoje gospodarstwo w Szadłowie sprzedał Niemcowi z Lipienka.

Starosta powiatu chełmińskiego Paweł Ossowski 1 marca 1929 roku wystawił S. J. Haertlemu bardzo dobrą opinię. „Jest z zamiłowania rolnikiem, prowadzi swój warsztat pracy wzorowo, że służyć może jako przykład wszystkim rolnikom. Jest człowiekiem o charakterze nieskazitelnym i Polak, patriota w całym tego słowa znaczeniu, oddaje się p. H. pracy społecznej w powiecie z niesłychaną ofiarnością i z istotnym zrozumieniem stanowiska i posłannictwa obywatela ziemianina. Pan Haertle jest członkiem tutejszego sejmiku powiatowego, członkiem zarządu szpitala powiatowego i referentem budżetowym z ramienia Wydziału Powiatowego. Prócz tego obdarzony zaufaniem sejmiku, piastuje urząd deputowanego powiatowego t. j. zastępcy starosty w dziedzinie samorządowej. Na polu społecznym okazuje się p. H. również w wysokiej mierze swoją ofiarnością stojąc na czele licznych kółek rolniczych, towarzystw

przysposobienia wojskowego i wielu innych, udzielając wszędzie swej pomocy bezinteresownie tam gdzie tego potrzeba. Z całą gotowością wystawiam panu Haertle niniejsze poświadczenie, gdyż w wysokiej mierze w zupełności na to zasługuje i życzyłbym sobie tylko samych takich obywateli i o takich zaletach jak pan Haertle”.

Haertle był znany na całym Pomorzu jako twórca szlachetnej rasy trzody chlewnej, organizator hodowli bydła, koni, owiec. Aktywnie działał w życiu społecznym na ziemi pomorskiej. Rodzina przeżyła II wojnę. Od 1945 do 1948 roku administrował kluczem Państwowych Nieruchomości Ziemskich w Jankowicach, powiat suski. Następnie przeniósł się do Poznania, gdzie zmarł 21 stycznia 1961 roku, a małżonka Teresa 14 maja 1962.

Dzięki materiałom uzyskanym od Moniki Kobylińskiej można pełniej naświetlić działalność małżonków Haertle na Powiślu w gorącym okresie plebiscytowym. Szczególnie cenne są unikatowe dokumenty, pod którymi widnieją podpisy konsula w Kwidzynie Stanisława Sierakowskiego i podsekretarza stanu w Urzędzie Rady Ministrów Władysława Wróblewskiego. Ta rodzina zasługuje na naszą wdzięczną pamięć, zwłaszcza obecnych mieszkańców powiatu kwidzyńskiego i sztumskiego.

Warto dodać, że obecnie w majątku należącym niegdyś do rodziny Haertle mieści się fundacja Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy Jerzego Owsiaaka.

LITERATURA

- T. Oracki, hasło *Haertle Stanisław*, w: *Słownik biograficzny Warmii Mazur i Powiśla XIX i XX wieku do 1945 roku*. Warszawa 1983.
- M. Donimirska, *Bóg dał nam czas próby. Wspomnienia z lat 1918–1935*, wstępem i przypisami opatrzył Andrzej Lubiński, Sztum 2012.
- Z. Lietz, *Plebiscyt na Powiślu Warmii i Mazurach w 1920 roku*, Warszawa 1958.
- A. Lubiński, *Towarzystwo św. Kingi na Powiślu w latach 1918–1939 w świetle Gazety Gdańskiej i Gazety Olsztyńskiej*, w: *Vivat Pomesania*, Olsztyn 2015.

Katarzyna Rozmarynowska



WIELKI PARK W MAŁYCH POLASZKACH

Polaszki są położone na uboczu, przy mało uczęszczanej drodze łączącej Watkowiec Małe z Postolinem. Może z tego powodu tutejszy park jest mało znany, a szkoda, bo jest on rzadkim i cennym przykładem przemian myśli ogrodniczej, jakie miały miejsce na Pomorzu w XIX wieku.

HISTORIA PARKU

W 1778 roku osiadł w Polaszkach major Bernhard Heinrich von Klinggräff (ur. 1751 – zm. 1820), który w 1789 roku wszedł w posiadanie Watkowic Wielkich, a osiem lat później także Watkowic Małych. Na początku XIX wieku rozdzielił on swoje dobra pomiędzy synów. W 1804 roku Watkowiec Małe przejął kapitan Karl Heinrich Meyer von Klinggräff, a rok później Polaszki trafiły w ręce drugiego syna, Adolfa Ludwiga Meyera von Klinggräffa, który założył polaszkowski park. W pierwotnym zamysle miał to być typowy dla epoki baroku ogród geometryczny. Widoczny do dzisiaj regularny zarys ogrodu świadczy o tym, że prace przy jego budowie zostały rozpoczęte, ale nie zostały ukończone. Prawdopodobnie wybuch wojen napoleońskich sprawił, że trzeba je było przerwać. Nie wiadomo, czy po ustaniu zawieruchy wojennej prace były kontynuowane, ale z całą pewnością zostały one wznowione w 1835 roku przez Adolfa Meyera von Klinggräffa, syna Adolfa Ludwiga. Założony przez ojca ogród geometryczny musiał mu się wydawać w tym czasie już nieco przestarzały, ponieważ moda na ogrody regularne właśnie przeminęła. Zastąpiła ją moda na swobodnie kształtowane ogrody krajobrazowe. Stąd zapewne pojawił się pomysł zmiany stylistyki ogrodu.

Adolf Meyer von Klinggräff umarł w 1842 roku. Majątek pozostawił w spadku siostrze, Johannie Meyer von Klinggräff, żonie botanika Karla Juliusa Meyera von Klinggräffa (ur. 1809 w Watkowicach Małych – zm. 1879 w Polaszkach). Małżeństwo zamieszkało w Polaszkach. Karl Julius porzucił praktykę lekarską, którą dotąd prowadził w Kwidzynie, a zajął się gospodarką, pracą naukową i parkiem, który stopniowo zamieniał w kolekcję dendrologiczną. W sprowadzaniu do parku nowych, zwykle rzadko spotykanych roślin, pomagał mu młodszy brat, botanik i briolog Hugo Erich von Klinggräff (ur. 1820 w Watkowicach Małych – zm. 1902 w Polaszkach). To dzięki nim park polaszkowski przybrał swoją ostateczną formę.



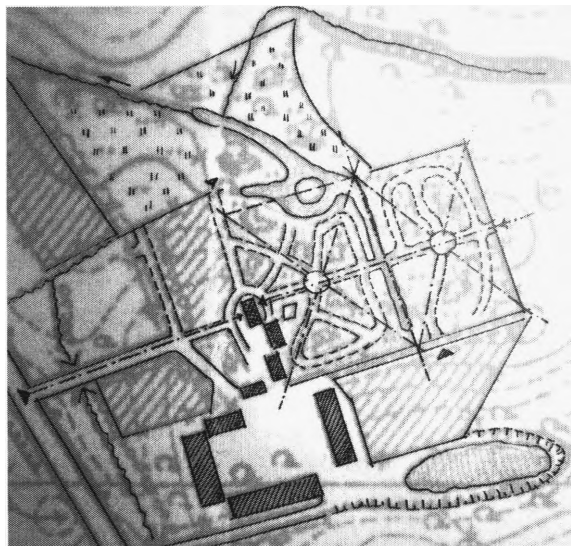
Polaszki na mapie stolikowej (Messischblatt), 1938. Ark. Postolin

TWÓRCY PARKU – VON KLINGGRÄFFOWIE

Obaj bracia von Klinggräffowie byli znanymi botanikami i dużo podróżowali. Karl Julius przez całe życie prowadził badania florystyczne, których wyniki w 1848 roku zawarł w książce „Flora prowincji pruskiej” („Flora der Provinz Preußen“). Utrzymywał on liczne kontakty naukowe z botanikami w kraju i za granicą. Był członkiem wielu towarzystw naukowych w Królewcu, Elblągu, Gdańsku i Berlinie. Z jego inspiracji w 1862 roku powstało w Elblągu Towarzystwo Botaniczne Prowincji Pruskiej (Botanischer Verein der Provinz Preußen), którego został pierwszym sekretarzem. Jego młodszy brat, Hugo Erich również udzielał się naukowo. Prowadził badania, publikował ich wyniki a w latach 1878–1902 pełnił funkcję prezesa Zachodniopruskiego Towarzystwa Botaniczno-Zoologicznego (Westpreußischer Botanisch-Zoologischer Verein) w Gdańsku. Po jego śmierci majątek przeszedł w ręce Ericha i Anny Dyck, którzy aż do 1945 roku troskliwie opiekowali się parkiem.

UKŁAD PRZESTRZENNY PARKU

Wjazd na teren zespołu prowadzi aleją wysadzaną lipami drobnolistnymi, dębami szypułkowymi i jesionami wyniosłymi. Na jej zakończeniu stał dwór, a za nim znajdował się park o dwóch prostopadłych do siebie osiach kompozycyjnych, które dzieliły go na cztery, mniej więcej równe kwartały. Dwa z nich, położone bliżej dworu, miały charakter ozdobny, a te



Park w Polaszkach. Siatka kompozycyjna ogrodu geometrycznego.
Oprac. K. Rozmarynowska

za kanałem wyznaczającym poprzeczną oś kompozycyjną – leśny. W pierwotnym zamyśle obie części miała cechować charakterystyczna dla baroku regularna kompozycja. Ale do tego nie doszło, ponieważ w latach 30. XIX wieku ogród przekomponowano. Drzewa zaczęły być sadzone w malowniczych grupach pozwalających na podziwianie rzadkich, czasem egzotycznych gatunków drzew. Podmokłe pastwisko również zostało w tym czasie ozdobione komponowanymi grupami drzew – „klombami”. Jeszcze dziś rosną tam dwa platany, żywotnik olbrzymi i inne.

Przy północno-wschodniej granicy parku znajdował się niewielki cmentarzyk. Dzisiaj wśród płatów barwinka wa-

lają się tam duże kamienie ze śladami obróbki i stoi dziwny kamienny pomniczek (nagrobek?). Być może to właśnie pod nim zostali pochowani ostatni właściciele majątku, Anna i Erich Dyck, zastrzeleni przez żołnierzy radzieckich w 1945 roku.

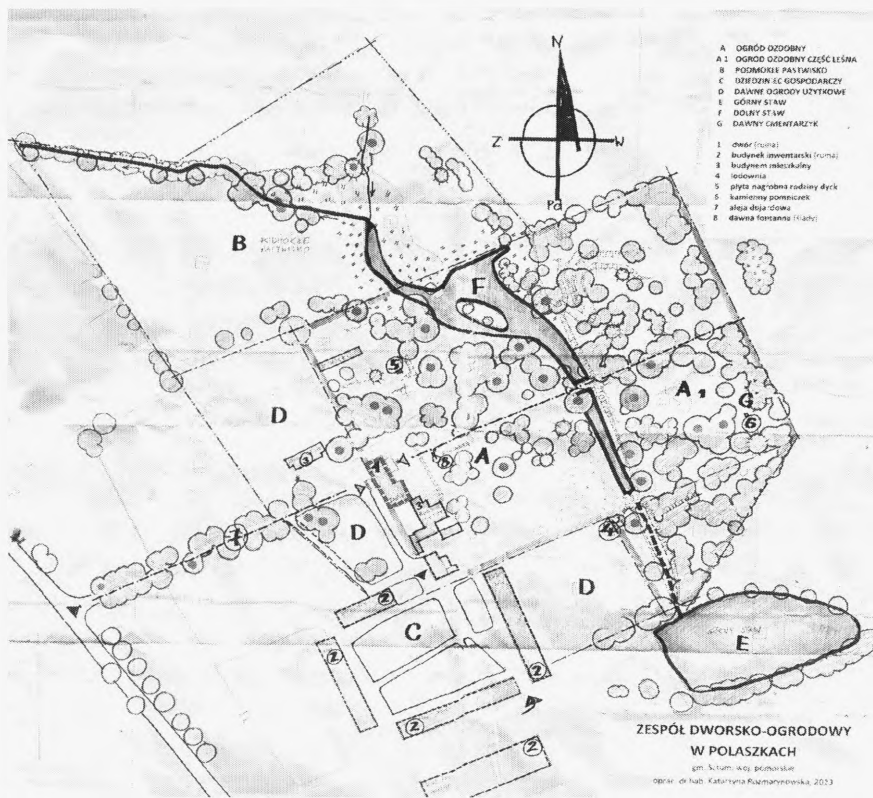
KOLEKCJA DENDROLOGICZNA

Na początku XX wieku tutejszy park był dobrze znany w środowisku niemieckich przyrodników. Dowodzi tego zainteresowanie, jakim obdarzyli go niemieccy dendrolodzy, którzy w 1911 roku przyjechali do Gdańska, aby wziąć udział w dorocznym zjeździe Niemieckiego Towarzystwa Dendrologicznego (ok. 100 osób z całych Niemiec). Jedną z wycieczek studialnych odbyli oni do Polaszek. Z relacji zamieszczonej w trzech kolejnych numerach czasopisma „Die Gartenwelt” można się dowiedzieć, że w parku rosnęło wtedy wiele drzew egzotycznych – w większości osiemdziesięcioletnich. Kronikarz wycieczki zanotował, że zwrócono uwagę na: cyprysiki (Lawsona i groszkowy), żywotniki *zachodnie* (*Ellwangeriana* i *nana*), jałowce wirginijskie, daglezie i sosny górskie. A z drzew liściastych, poza licznymi odmianami dębów, gości zainteresowały: tulipanowiec, leszczyna odmiany strzępolistnej, buk czerwony, jarząb brekinia, lipa appalaska, brzoza karłowata i pięciopienna leszczyna turecka. Uwagę gości przykuł także posadzony w 1854 roku z nasienia miłorząb japoński i rosnące na pastwisku dwie lipy holenderskie, dwie dziewięćdziesięcioletnie wierzby białe z przepięknymi koronami oraz osiemdziesięcioletnia brzoza brodawkowata.

Siedemnaście lat później Artur Semrau w książce pod tytułem „Die Orte Und Fluren im ehemaligen Gebiet Sthum...” wydanej w Toruniu w 1928 roku, charakteryzując Polaszki napisał, że drzewostan tutejszego parku zasługuje na uwagę, ponieważ rosną tu rzadkie odmiany drzew i krzewów: żywotnikowiec japoński, cyprysik Lawsona, sosna: wejmutka,

czarna i limba; jodły: kaukaska, grecka i balsamiczna; jałowce: sabiński i wirginijski, miłorząb japoński, orzech czarny, kasztan jadalny, tulipanowiec, jarząb brekinia i brzoza karłowata. Oprócz tego wymienił: dęby, wiązy i klony wielu odmian. A na koniec zachęcił czytelników do odwiedzenia parku.

Wielu drzew opisanych w obu relacjach dziś już nie ma, ale nadal sporo ich pozostało. Mają już ok. 190 lat. Nadal rosną tu olbrzymie dęby szypułkowe i czerwone, platany kłonołistne, klony pospolite i jawory (zwykłe i w odmianie czerwonołistnej), jesiony wyniosłe, kasztanowce białe, lipy drobnolistne, buki pospolite i czerwonołistne, graby pospolite, modrzewie, sosny wejmutki, świerki pospolite, żywotnik olbrzymi, brzozy pospolite, wiązy i inne. Pierśnice (obwody pnia na wysokości 150 cm) wielu drzew przekraczają 300 cm obwodu, a dębów szypułkowych dochodzą nawet 450 cm. Ze względu na bardzo dobre warunki glebowe i wodne, wysokość niektórych drzew dochodzi do maksymalnej dla danego gatunku, np. dębów do ok. 40 m., lip do ok. 30 m., a buków nawet do 50 m. W 1988 roku



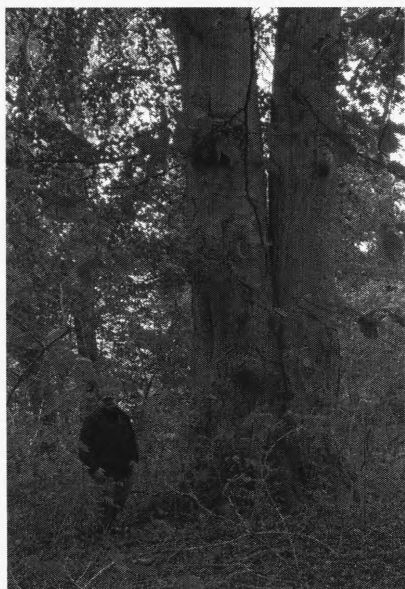
Polaszki. Układ przestrzenny parku. Objasnienia:

A – ogród ozdobny, A1 – ogród ozdobny – część leśna, B – podmokłe „upiększone” pastwisko, C – dziedziniec gospodarczy,

D – ogrody użytkowe, E – górny staw, F – dolny staw z wyspą, G – dawny cmentarz. Rys. K. Rozmarynowska

1- dwór (ruina), 2 – Budynki inwentarskie (ruina), 3 – budynek mieszkalny, 4 – lodownia, 5 – płyta nagrobna rodziny Dyck,

6 – Kamienny pomnik, 7 – aleja dojazdowa, 8 – ślady dawnej fontanny. Stan w 2023 roku. Oprac. K. Rozmarynowska



*Polaszki. Dąb szypułkowy.
Fot. K. Rozmarynowska*

rosło tu jeszcze 28 drzew o charakterze pomnikowym. Pomimo zaniedbania w parkowym runie nadal można spotkać rzadkie rośliny, między innymi: lilie złotogłów, szafrany, zawilce w siedmiu odmianach (kwitnące na biało, różowo-fioletowo, żółto i niebiesko); śnieżyce, szachownice kostkowe, żółte tulipany wąskolistne i inne. Płatowo występuje bluszcz pospolity i barwinek – w dwóch odmianach: typowy, kwitnący na niebiesko i w odmianie o pełnych, ciemno czerwonych kwiatach.

Ważnym elementem kompozycji parku – choć wykraczającym poza jego fizyczne granice – są malownicze obsadzenia śródpolne, które zajmują okoliczne podmokłe dolinki i rowy odwadniające. Nie wszystkie się zachowały. Te nieliczne, które ocalały, wzbogacają krajobraz i, wraz z okalającymi majątek drogami alejowymi, są cennym przykładem dziewiętnastowiecznej idei upiększania krajobrazu.



*Polaszki. Platan klonolistny rosnący
na pastwisku. Fot. K. Rozmarynowska*

CZY PARK W POLASZKACH UDA SIĘ URATOWAĆ?

Od nacjonalizacji majątku w 1945 roku park był pozostawiony sam sobie i powoli zarastał samosiewem. Drzew – z różnych przyczyn, naturalnych i z winy człowieka – ubywało. Pamięć o wartości parku powoli się zacierała. W końcu, już jako własność prywatna, został wpisany do ewidencji Lasów Państwowych. Stwarza to poważne zagrożenie dla jego przetrwania, ponieważ wiekowym drzewom grozi wycinka. Gdyby do tego doszło, Powiśle straciłoby bezpowrotnie jeden ze swoich najcenniejszych zabytkowych parków – unikatowe świadectwo kultury materialnej regionu.

Alicja Łukawska



ŻUŁAWSKIE OPOWIEŚCI

Z ŻYCIA WIEJSKIEJ NAUCZYCIELKI

CZEŚĆ 1. LUBELSZCZYŻNA, WROCŁAW, POWIŚLE

Emerytowana nauczycielka Anna Muzyczuk (rocznik 1937), pedagog z zamiłowania, geograf z wykształcenia, przepracowała 41 lat w tej samej wiejskiej szkole. Pochodzi z Lubelszczyzny. W 1948 roku wraz z rodziną przeprowadziła się na Powiśle. W 1958 roku jako absolwentka liceum pedagogicznego w Kwidzynie zatrudniła się w Zwierznie na Żuławach i została tam już na zawsze. Oto opowieść o jej długim, pracowitym życiu.

Anna Muzyczuk ma obecnie 85 lat. Przeszła na emeryturę po 30 latach pracy. Potem jeszcze 11 lat pracowała w szkole na pół etatu. Obecnie działa w Gminnej Komisji Rozwiązywania Problemów Alkoholowych. Jest też szefową lokalnego Klubu Seniora. Ma za sobą traumatyczne przeżycia wojenne, a także trudne, powojenne dzieciństwo i młodość na Ziemiach Odzyskanych.

Opowiedziała mi o tym wszystkim w lipcu 2023 roku przy wielkim stole w budynku Gminnej Biblioteki w Markusach z siedzibą w Zwierznie. Pani Anna mówiła i pokazywała zdjęcia, a ja nagrywałam. Siedziałyśmy na piętrze w ładnym pokoju z białym, ozdobnym piecem w stylu secesji. Piłyśmy gorącą herbatę. Do stycznia 1945 roku był tutaj dom niemieckiego weterynarza i przychodnia dla zwierząt. W pierwszych latach po wojnie mieściła się tu Gromadzka Rada Narodowa i dwie klasy szkolne, a teraz jest biblioteka.

Pani Anna w ścisły sposób jest związana z tym budynkiem. Tu pracowała w młodości jako nauczycielka, tu poznała swojego męża, tutaj też brała ślub cywilny. Obecnie na dole w bibliotece pracuje jej najstarsza córka Barbara Turzyńska. Natomiast pomieszczenia na górze zajmuje Klub Seniora i Gminna Komisja Rozwiązywania Problemów Alkoholowych. Tam właśnie rezyduje pani Anna.



*Biblioteka Publiczna Gminy Markusy, filia w Zwierznie.
Fot. A. Łukawska*

W czasie rozmowy z panią Anną okazało się, że miałyśmy jednego wspólnego nauczyciela. W latach 50. w liceum pedagogicznym w Kwidzynie, gdzie się uczyła, pracował młody polonista Józef Bachórz, który później został profesorem na Uniwersytecie Gdańskim. Uczył panią Annę polskiego w szkole średniej, a mnie – w latach 80. XX wieku – literatury politywizmu w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Bydgoszczy. Pod jego kierunkiem pisałam swoją pracę magisterską i doktorską (której, niestety, nie obroniłam). Jaki świat jest mały!

CÓRKA MŁYNARZA

Pochodzę z Lubelskiego. Urodziłam się w Adamowie, powiat Łuków. Moi rodzice to Karol i Feliksa (z domu Wanecka) Wójcicy. Tata urodził się w 1888 roku, a mama w 1902. On był starszy od niej o czternaście lat. Mama była drugą żoną ojca. Wyszła za wdowca z dwójką dzieci, bo jego pierwsza żona umarła przy porodzie bliźniaków. Potem urodził się mój brat Stanisław i ja. Razem była nas w domu czwórka rodzeństwa. Ojciec był młynarzem. Mieliśmy wiatrak i drewniany dom kryty strzechą.

Latem 1939 roku byłam jeszcze dzieckiem. Nie miałam jeszcze dwóch lat, ale to zapamiętałam. W ogrodzie w pobliżu wiatraka tata wykopał szpadlem wielką dziurę. Starsze rodzeństwo zaprowadziło mnie tam, bym też to obejrzała. – Dzieci, to jest okop – wyjaśnił nam ojciec. Tak przygotowywał się do wojny.

Którejś nocy we wrześniu 1939 roku był nalot na Łuków. Jeszcze je widzę, te niemieckie samoloty na niebie. – O Boże, znów bomby rzucają! O Jezu! – wzdychała mama.

Przez okno widziałam ogień. To palił się Łuków oddalony od nas o 20 kilometrów. Całe miasteczko zostało zbombardowane przez Niemców. Tamtej nocy poszliśmy spać do okopu koło wiatraka. Zasnęłam tam, ale obudziłam się już w swoim łóżku. Był dzień, nalot się już skończył. Potem rodzice rozdzielili się. Ojciec został w Adamowie przy swoim wiatraku i naszym domu.



Karol i Feliksa Wójcicy z dziećmi Anną i Stanisławem pod swoim wiatrakiem w Adamowie na Lubelszczyźnie, okres II wojny światowej. Archiwum A. Muzyczuk

– Zostaję tutaj! Nie boję się! W I wojnie światowej walczyłem na pierwszej linii frontu i przeżyłem. Zostaję, bo muszę pilnować tego wszystkiego – stwierdził mój tata. Jak Niemcy zaczęli nacierać na Adamów, to ojciec chował się w mieszkaniu. Kładł się na podłogę, by uniknąć ostrzału przez okno. – Przez tę jedną noc tutaj przeżyłem więcej strachu niż przez całą I wojnę światową na froncie – powiedział nam później.

Natomiast mama z nami schroniła się w Oszczepalinie u Waneckich, w swoim domu rodzinnym, odległym o dwanaście kilometrów. To była dobra kryjówka, bo wieś była położona wśród lasów. Mama wysłała

tam już wcześniej moje starsze rodzeństwo. Potem przyszła stamtąd siostra mamy Aurelia, by pomóc zabrać się jej ze wszystkim. Byłam wówczas zbyt mała, by iść pieszo taki kawał drogi, więc mama niosła mnie na plecach. Nie miała żadnego wózka dziecięcego. Mój starszy o trzy lata brat Stasio szedł już sam piechotą. Uciekaliśmy od wojny, bo tuż obok toczyła się wielka bitwa wojsk polskich z Niemcami pod Kockiem. Było bardzo niebezpiecznie. W drodze do Oszczepalina mama z cocią ujrzały pierwszych niemieckich żołnierzy. Te naloty i bombardowania zabiły bardzo wielu ludzi. W naszej okolicy pojawiło się potem mnóstwo nowych grobów. Kampania wrześniowa 1939 roku zakończyła się niedaleko nas, w Kocku, zaledwie 10 kilometrów od Adamowa. W Oszczepalinie byliśmy z mamą tylko trzy dni. Jak przeszedł front, to wróciliśmy z powrotem do Adamowa.

A potem zaczęła się okupacja niemiecka. Zaczęło się piekło. Zaczęły się represje. Najbardziej utkwiło mi w pamięci to, że Niemcy zabijali ludzi. Zabijali kogo się dało. Najpierw wzięli się za Żydów. A było ich w Adamowie dużo. Dobrze ich pamiętam, takich z brodami, w krymkach na głowach i w czarnych chałatach. Bałam się ich. Ale oni nikomu nie przeszkadzali. To byli biedni ludzie, głównie rzemieślnicy i handlarze. Mieli swoje sklepiki i knajpki. Polacy przyjaźnili się z nimi. Chodzili do nich w interesach. Moja mama też się z nimi przyjaźniła. Pewna żydowska krawcowa nauczyła ją, jak prawidłowo podcinać rękawy, kiedy szyje się płaszcz. Do dzisiaj mam ten wykrój... Jak Niemcy zaczęli ich wywozić, to mama dostała na pamiątkę od jednej Żydówki dwie oprawione fotografie jej dzieci i dwa piękne wazony na kwiaty. Mama przyniosła to wszystko do domu, postawiła na stole i rozplakała się. Ale bała się trzymać w domu pamiątki po Żydach. To było niebezpieczne, więc zniszczyła te prezenty, by Niemcy ich nie znaleźli, bo stale robili nam rewizje w domu.

A nasi Żydzi już wtedy wiedzieli, że ich wywożą na śmierć. Wywożono ich furmankami do Łukowa, gdzie było getto. – Do widzenia! Do widzenia! – wołali potem jak przejeżdżali koło naszego domu. Bo my mieszkaliśmy tuż drodze. Nigdy więcej ich nie zobaczyliśmy. Niemcy zrobili z nimi to, co zaplanowali¹.

Potem zaczęły się represje Niemców wobec Polaków. Bardzo nas gnębili. Najpierw zamknęli nam wiatrak. Tata musiał zdemontować skrzydła wiatraka. Zostały tylko kikuty tych skrzydeł, a wiatraka już nie było. W ten sposób okupanci pozbawili nas jedyne źródła utrzymania. Z czego mieliśmy teraz żyć? Nie mieliśmy przecież żadnego gospodarstwa rolnego. Mieliśmy tylko ogród i trochę drobiu. Na szczęście mój tata był zdolny i wszechstronnie utalentowany. Znał się na technice. Pomyślał trochę i zrobił niewielki ręczny młynek do mielenia kaszy. Można go było używać w domu. To było takie sprytne urządzenie, że jak się go ustawiło, to leciało tylko tak trochę, po parę ziarenek kaszy. Ojciec pracował wtedy nielegalnie. Ludzie po cichu do niego przyjeżdżali, bo go przecież znali od lat. Zdarzały się też kontrole niemieckie, ale nigdy niczego nie wykryli. Takie wizyty okupantów mieliśmy bardzo często. Kontrolowali nas bez przerwy. Przyjeżdżali z psami. Szukali czegoś. Mama miała kiedyś kawałek słoniny zawinięty w gazetę. Niemiecki pies ją znalazł, powąchał, ale nie zjadł, widać polska słonina mu nie pasowała. Nawet jajka Polakom odbierali. Mieszkaliśmy

¹ Przed II wojną światową w Adamowie mieszkało ponad 1000 Żydów. Po wybuchu wojny utworzono tam getto. W 1940 roku na cmentarzu żydowskim w tej miejscowości Niemcy rozstrzelali 40 Żydów. Likwidacja getta w Adamowie i wywózki do Łukowa zaczęły się w październiku 1942 roku. Były to działania w ramach Akcji „Reinhardt”, którą w całej Generalnej Guberni kierował Odilo Globocnik. Później jeszcze Niemcy rozstrzelali na łące koło kościoła 300 Żydów, głównie starszych i niedołączonych. Reszta mieszkańców getta z Adamowa trafiła do getta w Łukowie, a stamtąd do obozu zagłady w Treblince.

w Adamowie przy samej szosie. Tuż przy naszym domu niemieccy żandarmi sprawdzali ludzi jadących lub idących na jarmark. Przeważnie były to kobiety, które niosły masło czy jajka na sprzedaż. Niemcy szukali u nich towaru nawet w majtkach. Kiedyś jedna kobieta szła z jajkami na rynek i zauważyła, że na drodze jest kontrola. Skręciła wtedy do naszego domu. A ten Niemiec pobiegł za nią. – Jajki, jajki! – krzyczał. Wtedy mama wzięła swoje jajka i mu oddała, żeby tylko sobie poszedł.

Dwa razy w ciągu wojny przeżyłam wraz z rodzicami i bratem prawdziwe chwile grozy. Czekaliśmy wtedy na rozstrzelanie. Na egzekucję! Nie zapomnę tego do końca życia! Pierwszy raz miał to być odwet okupantów na Polakach. Tamtego dnia w Adamowie zabito dwóch Niemców. Za to Niemcy chcieli rozstrzelać wielu Polaków. Była już przygotowana lista osób do stracenia. Wszystkim groziła śmierć. Byliśmy przekonani, że po nas też przyjdą i zginiemy. W domu byli wtedy tylko rodzice, Stasio i ja. Starsze rodzeństwo akurat tamtego dnia było w Oszczepalinie.

Dokładnie pamiętam ten dzień. Pamiętam nawet jak byłam ubrana. To była zima. Mama ubrała mnie ciepło. Okutała w jakiś biały szal czy chustkę. Siedzimy z rodzicami w domu. Czekamy w napięciu, aż przyjdą Niemcy i zaprowadzą nas na egzekucję. Byliśmy już gotowi na śmierć. To było straszne. Czekamy, czekamy... Ale oni jednak nie przyszli po nas. Uratował nas wtedy sołtys Adamowa. Niemiec wyjął listę mieszkańców i zaczął wyczytywać kolejne nazwiska do rozstrzelania. Męczył się przy tym straszliwie. Nie szło mu, bo wiadomo, polskie nazwiska dla Niemca są trudne do wymówienia. On czyta, ale nikt się nie zgłasza. Tego nie ma, tego nie ma, i tego nie ma...

– To za długó będzie trwało – mówi wtedy nasz sołtys.

– Tego znom, tego znom, a tego nie znom, tego nie znom – zaczyna wyliczać lokalną gwarą.

W końcu z całej grupy Polaków umieszczonych na tej liście Niemcy zabili tylko dwóch zupełnie obcych ludzi, którzy nie pochodzili z naszej wsi. Na pewno byli niewinni. Mieli pecha, bo akurat się tam natopoczyli. Ale nasi się uratowali. Reszta ludzi przeżyła.

Drugi raz kara śmierci groziła nam raz w związku ze świnią. W czasie okupacji był problem z hodowlą zwierząt na własny użytek. Niemcy wszystko kontrolowali. Kazali Polakom kolczykować wszystkie zwierzęta hodowlane, żeby mieć nad nimi kontrolę. Mieliśmy wtedy kury, gęsi i prosiaka w chlewiku. Oczywiście zakolczykowanego. Bez pozwolenia Niemców nie wolno było go nam zabić. A głód był wtedy straszny. Nie mieliśmy co jeść. Mama karmiła nas głównie ziemniakami. Jedliśmy pyzy z ziemniaków, ziemniaczane placki pieczone na fajerkach i pierogi z ziemniaków nadziewane marchwią. Wciąż tylko ziemniaki i ziemniaki, bo nie było nic innego.

Tuż przed Wielkanocą 1943 roku rodzice zaryzykowali. Pozastaniali okna w domu, żeby nikt nie podejrzwał, i wtedy tata go zarżnął. Do pomocy w świniobiciu przyszła ciocia Aurelia z Oszczepalina. Zabili tego prosiaka po cichu, bez pytania Niemców o zgodę. Wtedy nie było lodówek, więc mięso konserwowano w ten sposób, że je układano w dużych ceramicznych garnkach i solono grubą, szarą solą.

– Jak Niemcy dowiedzą się o tej świni, to będzie kara śmierci. Wszystkich nas zabiją – martwiliśmy się.

Groziło nam rozstrzelanie, bo Niemcy mieli przecież wszystko w urzędzie zapisane w papierach. Mieliśmy wtedy szczęście w nieszczęściu. Zaraz po tym świniobiciu, w Palmową

Niedzielę, wybuchł wielki pożar. Panny w Adamowie szykowały się wówczas na zabawę do Niemców. Chciały sobie wyprasować suknie. A żelazka nie były wtedy jeszcze elektryczne, tylko na węgiel. Do środka wkładało się żarzące węgielki z pieca, które rozgrzewały żelazko. Jednej z dziewcząt iskra z żelazka przeskoczyła na słomę, która natychmiast zajęła się ogniem. Wybuchł pożar w jednym domu. A że akurat był huragan, więc ogień rozszalał się, przeskoczył dalej i drewniane budynki zaczęły się palić jeden za drugim. Cały Adamów poszedł wtedy z dymem. Wszystko się spaliło. Spłonęły drewniane domy mieszkalne, a także niemiecki urząd i wszystkie niemieckie dokumenty. Wszystkie kolczyki świńskie, które były przechowywane u Niemców, zgorzały w płomieniach. I dzięki temu nasze życie się uratowało.

W mieście został wówczas tylko sąd, apteka, kościół i plebania, bo to były budynki murowane z cegły. Reszta była z drewna i się spaliła. Ogień nie dosięgnął naszego domu i wiatraka, bo my mieszkaliśmy nieco dalej, za cmentarzem. Po tym wielkim pożarze mieliśmy w domu lokatorów, bo ludzie nie mieli gdzie mieszkać. Ale była już wiosna, robiło się ciepło, więc porobili sobie jakieś lepianki z gliny i tak mieszkali.

Oprócz Niemców przychodzili do nas partyzanci. W lasach na Lubelszczyźnie działały różne partyzantki: rosyjska, żydowska i polska. Polskich było kilka: Armia Krajowa, Armia Ludowa, Bataliony Chłopskie i Gwardia Ludowa. I wszyscy ci chłopcy z lasu przychodzili do nas po jedzenie. Każdy chciał chleba. No, weź daj im chleba! A jak poznasz, czy to nie jest jakaś niemiecka prowokacja? Skąd mieliśmy wiedzieć, czy w okno puka Niemiec przebrany za partyzanta czy głodny Polak? W takich wypadkach mama zawsze dostawała drgawek ze strachu. Siadała zaraz na wiadro, bo miała biegunkę z nerwów. Jednak nieraz dawała im ten chleb. Sami dla siebie nie mieliśmy, ale trzeba było się z nimi podzielić.

Partyzanci z AK zwerbowali mojego wujka Seweryna Waneckiego, brata mojej mamy. On przed wojną służył w armii w stopniu starszego strzelca. W 1938 roku ukończył Szkołę Podoficerską w 84. Pułku Piechoty w Pińsku na Polesiu. Do dzisiaj przechowałam jego świadectwo, które podpisał podpułkownik Stanisław Sztarejko, kawaler Virtuti Militari. Werbunek Seweryna do partyzantki odbył się w szokujący sposób. Pewnej nocy jacyś nieznajomi mężczyźni wtargnęli do jego domu w Oszczepalinie, wyciągnęli go z łóżka, nakrzyczeli na niego i pobili. A potem kazali mu przysięgać. Używali przy tym bardzo brzydkich wyrazów.

– Nigdy wcześniej nie słyszałam takich bluźnierstw! – opowiadała potem moja mama, która była świadkiem tej sceny. Była wtedy akurat z wizytą w Oszczepalinie. Przeżyła szok. Przeraziła się. Wcześniej nie podejrzewała, że ktoś może tak kłąć. Nigdy jednak nie powtórzyła nam tych słów.

Latem 1944 roku, kiedy na Lubelszczyznę weszła już Armia Czerwona, w domu Waneckich w Oszczepalinie stacjonowali radzieccy żołnierze. Dwudziestu żołdatów spało w jedynym pokoju, jaki tam był. Wujek Seweryn i ciocia Aurelia musieli wtedy koczować w kuchni.



Starszy strzelec Seweryn Wanecki z 84. Pułku Piechoty w Pińsku na Polesiu. Archiwum A. Muzyczuk



Świadectwo Seweryna Waneckiego ukończenia Szkoły Podoficerskiej w Pińsku w 1938 roku, podpisał podpułkownik Stanisław Sztarejko. Archiwum A. Muzyczuk

kuzyn. Później ludzie gadali, że to była zapowiedź jeszcze jednego nieszczęścia w naszej rodzinie. W 1953 roku w tym samym miejscu został zastrzelony mój wujek Józef Ponikowski z Adamowa, który prowadził skup świń i jechał tamtędy wypłacać ludziom pieniądze. Zostało po nim jedenaścioro dzieci! Najmłodsze z nich miało zaledwie parę miesięcy.

Po śmierci Seweryna moja mama kazała napisać na jego tablicy nagrobnej: „Zginął z ręki Kaina, krew jego niewinnie przelana woła o pomstę do Boga”. Trzy dni po pogrzebie mama poszła na cmentarz. Tablica na grobie jej brata była złamana. Słowa „woła o pomstę do Boga” zostały wytarte. Zamiast tego ktoś napisał „zginął za zdradę”. No, bo oddał broń władzy! A tego AK zabraniało. Wiadomo było, że zlikwidowali go „swoi”. Uznali go za zdrajcę. Było wtedy takie hasło: „trzymać broń na Ruskiego”. Ale jak tu trzymać tę broń, skoro to było zabronione? Gdzie ją schować? Ruscy twierdzili, że nie mają nic wspólnego z tą śmiercią.

W czerwcu 1946 roku nagle umarł mój ojciec. Jeszcze zdążył po wojnie kupić nowy kamień młyński i uruchomić wiatrak. Zaczął znowu pracować jako młynarz. Ale już był chory, więc pomagał mu mój 19-letni brat przyrodni. Pracowali razem we młynie. Nie wiem, co było przyczyną jego śmierci. W tamtych czasach ludzie nie chodzili po lekarzach tak jak dzisiaj. Mama została sama z czwórką dzieci, ale moje przyrodnie rodzeństwo było już dorosłe. Siostra chciała koniecznie wyjść za mąż, bo miała już chłopaka.

– Co ja tu będę szukać? Mam po rodzicach jedną trzecią domu w Oszczepalinie. Tam się przeprowadzę – powiedziała wtedy moja mama i tak zrobiła. Latem 1946 roku zamieszkaliśmy w jej domu rodzinnym.

Ogłoszono wówczas, że każdy, kto ma w domu broń palną, ma ją zdać nowym polskim władzom. Mężczyźni mieli też stawiać się na komisję poborową do wojska. Seweryn miał broń, którą dostał od partyzantów z AK. Ruszył więc siedem kilometrów przez las do gminy do Wojcieszkowa, by ją oddać w urządzie. Chciał też od razu stanąć na komisję wojskową. Rano 6 sierpnia 1944 roku, w Przemienienie Pańskie, wyszedł z domu, ale już nigdy nie powrócił. Po jakimś czasie narzeczona znalazła jego trupa w lesie. Po śmierci Seweryna cała wieś płakała, bo to był naprawdę dobry człowiek. Rodzina była w rozpacz. Kiedy kuzyn wioził jego trumnę furmanką przez las do Wojcieszkowa na cmentarz, zdarzyło się coś dziwnego. Trumna ze zwłokami nagle spadła z wozu. Tak jakby ktoś ją wyrzucił! Jakby jakaś niewidzialna ręka to zrobiła!

– Tyle razy woziłem tędy nieboszczyków i jeszcze nigdy żadna trumna sama w lesie nie spadła z wozu – mówił potem

NA ZIEMIACH ODZYSKANYCH

Byliśmy tam jednak tylko parę tygodni. Wkrótce potem wyjechaliśmy na Ziemię Odzyskane. Wybierał się tam bowiem kierownik szkoły w Adamowie, który miał objąć to samo stanowisko w szkole w dzielnicy Wrocław-Żerniki. I to właśnie on zaproponował mojej mamie, by pojechała razem z nim i została tam woźną. Mama zdecydowała się ruszyć z nami w daleką drogę. Przed wyjazdem sprzedała morgę czy dwie roli uprawnej wraz z lasem, którą miała po rodzicach. Za uzyskane w ten sposób pieniądze kupiła sobie maszynę do szycia. Umiała dobrze szyć i chciała mieć swój warsztat pracy. Zabrała cały dobytek. Spakowała nas, nasze rzeczy, parę kur i tę maszynę do szycia. Wyruszyliśmy furmanką do Łukowa, a z Łukowa pociągiem do Wrocławia.

Był lipiec albo początek sierpnia 1946 roku. Miałam wtedy 9 lat. Razem z kierownikiem szkoły zajęliśmy jeden wagon towarowy w pociągu jadącym na zachód. Z żywego inwentarza mieliśmy ze sobą tylko kury, a wszyscy inni jechali z krowami, tak jak Kargule i Pawlaki w filmie „Sami swoi”. Nieraz pociąg zatrzymywał się i trzeba było długo stać na bocznicach. Czasem gotowało się po drodze w dużym garnku na ognisku zupę szczawiową ze szczawiu rosnącego na nasypach kolejowych. Jechaliśmy tak dziesięć dni albo i dłużej.

We Wrocławiu-Żernikach był piękny poniemiecki pałac i park. Tam jeszcze zostały po Niemcach meble i całe wyposażenie. Nawet pianino tam było. W tym pałacu zamieszkał kierownik szkoły, a dla nas przeznaczyl dom stojący obok. Jak mama zobaczyła ten budynek, to aż się wystraszyła. Zajęliśmy w pałacu jeden pokój. Dobrze, że mieliśmy ze sobą kury, bo było przynajmniej co jeść. Mama po kolei je zabijała i gotowała na obiad. Gdzieś tam jeszcze mleko mama nam kupowała. Zaszła do jakiegoś gospodarstwa, zobaczyła, że biało-czerwona chorągiew wisi. Zaczy, że Polacy mieszkają... Ci ludzie mieli krowę i sprzedawali jej mleko.

Zrujnowany Wrocław nie spodobał się mojej mamie. Nie widziała tam dla nas żadnej przyszłości. Tam wokół były tylko same gruzy. Nie było środków do życia. W ogóle nic nie było. Postanowiła wrócić z nami w Lubelskie. – Proszę o kwit na rzeczy, które przywiozłam ze sobą – poprosiła kierownika szkoły. Taki dokument potrzebny był do przewozu koleją. Ale on nie chciał dać jej takiego kwitu. – Może pani jechać tak jak stoi. Wszystko tutaj pochodzi z szabru – powiedział mamie.

Zabrał nam wszystko, co mieliśmy! Wtedy mama owinęła się w chustę i ruszyła do urzędu miasta we Wrocławiu-Leśnicy. Weszła do gabinetu jakiegoś urzędnika.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! – powiedziała i rozplakała się.

Opowiedziała temu urzędnikowi, jaką krzywdę zrobił jej kierownik szkoły. Pan Stachowiak wysłuchał jej cierpliwie. Od ręki wypisał kwit przewozowy na nasze rzeczy. Ten dokument do tej pory zachował się w naszej rodzinie. Tam wyliczono to, co faktycznie przywiozła ze sobą i co może wywieźć z Wrocławia: jedna pościel (pierzyna, trzy poduszki, cztery jaśki), jedna beczka dębowa, bielizna pościelowa, osobista i dziecięca, trzy pary bucików damskich, dwie pary dziecinnych i różne drobiazgi niezbędne do codziennego życia. Niczego z szabru nie mieliśmy. Wróciliśmy pociągiem do Oszczepalina. Mieszkaliśmy tam do 1948 roku.

Później po raz drugi wyjechaliśmy na Ziemię Odzyskane, tym razem na Powiśle.

Mama miała kuzynkę Anielę, która w 1945 roku zamieszkała z mężem Aleksandrem pod Kwidzynie w wsi Podlesie (dawniej Unterwalde, zaraz po wojnie Jałowiec). Aleksander w czasie wojny był na robotach przymusowych u Niemca w tej wsi. Jak wojna się skończyła,

to zajął tam gospodarstwo. Był jednak kawalerem. A osadnik na Ziemiach Odzyskanych musiał mieć żonę. Przyjechał więc do Oszczepalina, do swojego szwagra Geńka Waneckiego. Poprosił go o pomoc.

– Słuchaj szwagier, muszę się szybko żenić. Chciałbym jakąś dziewczynę z waszej wsi – tak przedstawił mu swój problem.

Wyszli z domu. Geniek prowadzi go po wsi i prezentuje kolejne miejscowe panny.

– Ta mi się nie podoba. Ta nie, ta nie, ta też nie – wybrzydza Olek.

– O, ta to mi się podoba! – wykrzykuje nagle na widok Anieli, kuzynki Geńka.

Anielcia była trochę młodsza od Olka. Nauczycielka. Miała tylko siedem klas skończonych i jakieś kursy pedagogiczne, ale pracowała już w szkole. Ich romans rozwinął się błyskawicznie. Olek wiedział, jak zdobyć serce kobiety. Umiał pocałować, umiał przytulić... Spodobał się jej od razu.

– Wychodzę za męża! Wyjeżdżamy razem na Ziemię Odzyskaną – zdecydowała Aniela. Ich ślub odbył się wkrótce w kościele w Wojcieszkwie.

Anielcia wyjechała z mężem pod Kwidzyn. Ale nie podobało się jej tam. Czuła się samotna. Brakowało jej rodziny i znajomych. W sąsiedztwie mieszkał pewien wdowiec. Wpadła na pomysł, by wyswatać go z naszą mamą i w ten sposób ściągnąć ją tam. Miałyby wtedy jakieś towarzystwo. Pogadła z mężem, a ten z sąsiadem. Okazało się, że wdowiec był gotowy na nowy związek. Brakowało mu bowiem kobiety w domu. Na początku lutego 1948 roku pan Roman przyjechał do nas do Oszczepalina. Był bardzo zainteresowany ożenkiem. Ze wszystkich sił starał się zachęcić do ślubu nie tylko moją mamę, ale też mojego brata i mnie. Boże, co on nam obiecywał! Złote góry!

– Mam staw z rybami w ogrodzie. A choinka u mnie jest taaaka wysoka. Ze mną będzie wam się powodzić. Będziecie mieli u mnie dobrze – zapewniał. W ogóle gadał jak najęty. Twierdził, że wszystko ma! A ja, dziecko, mu uwierzyłam. Poczułam się zachęcona jego opowieściami.

– Mamo, jedziemy tam! – powiedziałam do mamy.

Mama opierała się. Z początku wcale go nie chciała, ale w końcu, pod moim naporem, zdecydowała się pojechać na Powiśle. On nas wszystkich od razu zabrał do siebie. Mama znowu spakowała swoją maszynę do szycia i cały nasz dobytek. Pojechaliliśmy pociągiem. Wysiedliśmy na stacji w Brachlewie, skąd do jego domu były trzy kilometry przez las. Było bardzo ciemno, ale mama miała ze sobą świeczkę. Zapaliła ją i tak oświetlała nam drogę. Był śnieg i mróz. Szliśmy pieszo przez las, bez naszego bagażu, który pojechał pociągiem do Ryjewa. Późną nocą dotarliśmy do domu tego wdowca. Było to 10 lutego 1948 roku.

Na miejscu okazało się, że wszystko wygląda nie tak różowo, jak się zapowiadało. W tym samym domu mieszkała córka Romana z mężem i dzieckiem, a on miał dla siebie tylko jeden pokój. Kuchnia była wspólna. Nie było tam miejsca dla kobiety z dwojgiem dzieci. A jemu żona była potrzebna tylko do roboty! On miał gospodarstwo rolne. Na miejscu okazało się, że wszystko, o czym nam opowiadał, wygląda całkiem inaczej. Staw rybny, o którym mówił, to był zwykły rów z wodą, w którym pływały ryby. Wokół rósł las, więc choinki, o których wspominał, to jest świerki, tam rosły. I faktycznie były bardzo wysokie. Ale przecież nie należały do niego. To był las państwowy.

No, ale trzeba było jakoś żyć. Za kilka dni Roman pojechał furmanką do Ryjewa na stację po nasz bagaż. Potem ruszyli razem z mamą do miasta sprzedać krowę. Za otrzymane pieniądze mężczyzna kupił litr wódki w dużej butelce. Wziął tę butelkę między nogi, odbił korek, przechylił i napił się „z gwinta”.

– Jak Stasio nie będzie pasł moich krów na pastwisku, to ja go upalikuję na łańcuchu jak krowę. Musi mi pomagać w gospodarstwie! – oświadczył mojej mamie, jaki los przewiduje dla mojego brata. Mamie to się nie spodobało, bo Stasio był bardzo chorowitym dzieckiem. Chciała go chronić. A on widział go tylko jako swego parobka. Potem poszli do księdza dać na zapowiedzi. Wtedy okazało się, jaki naprawdę jest ten narzeczony. Miejscowy proboszcz zdążył go już dobrze poznać, więc wyzwał go od pijaków.

– Ślubu nie będzie – powiedziała mama. – Trzeba stąd uciekać! – pomyślała.

W domu wdowca mieszkaliśmy dwa lub trzy miesiące. W tym czasie mama wynajęła dla nas pokój w Podlesiu. Zamieszkaliśmy tam jako sublokatorzy. Nie mieliśmy jednak dobrych stosunków z właścicielami, więc wkrótce potem przeprowadziliśmy się do innego domu, gdzie było nam bardzo dobrze. W tamtych czasach nie można było kupić gotowej odzieży, a mama miała maszynę do szycia. Nie miała pieniędzy, więc szyciem odrabiała na nasze mieszkanie i zarabiała na życie. Ta maszyna bardzo się jej przydała. Kiedyś nie było zapomóg socjalnych, zasiłku rodzinnego, nic z urzędu nie dawali. Nikt nie pomagał rodzinom w potrzebie. Biedne kobiety obciążone rodziną musiały same sobie radzić.

Oboje z bratem poszliśmy do szkoły: Stasio do piątej klasy w Ryjewie, a ja do czwartej klasy w Podlesiu. W tej szkole było okropnie. Jakie ja tam lanie dostawałam! Nasz nauczyciel miał na imię Alojzy. Był przystojny, ale strasznie nas bił. Szkoła była czteroklasowa. Klasy były łączone. Uczyły się tam dzieci w różnym wieku. Alojzy wprowadził taki terror, że wystarczyło coś nie tak powiedzieć, nie tak spojrzeć i od razu było lanie. Raz nie powiedziałam mu „dzień dobry” i dostałam sześć razy po łapach. W domu wcale się nie przyznałam, że on mnie zbił. Inna kara dla nas była taka, że kazał nam biegać na górkę koło szkoły czterdzieści razy w tą i z powrotem, żeby nas zmęczyć. Pewnego razu dowiedział się, że mała Halinka Wróblewska coś powiedziała na jego temat w domu. A on stołował się u jej rodziców i się o tym dowiedział.

– A to mała plotkara! Idziemy na pole! Dzieci, szukajcie w ziemi kawałka żelaza. To żelazo się rozpali i przyłoży jej do języka, by więcej nie plotkowała – zarządził.

Byliśmy w szoku. Jakże to tak, przykładać rozpalone żelazo dziewczynce do języka? Nie odzywaliśmy się ze strachu. Chodziliśmy po tym polu, ale nikt nie znalazł żadnego kawałka żelaza. Nie chcieliśmy, aby nauczyciel torturował Halinkę. Wtedy już powiedzieliśmy rodzicom, co się dzieje w szkole i jak on nas traktuje.

Oburzone matki z Podlesia zebrały się i pojechały do inspektoratu oświaty w Kwidzynie. Wtedy wyszło na jaw, że ten nauczyciel to jest hitlerowiec! Zwinęli go i usunęli ze szkoły. A na jego miejsce dali nam panią Genowefę Preuss. Ona była cudowna! Wcale na nas nie krzyczała, bo byliśmy już i tak wystraszeni. To była dobra nauczycielka. Naprawdę nami się zajęła. Nawet jasełka nam zorganizowała. Moja mama uszyła jej sukienkę, za którą ona zapłaciła.

W wakacje po czwartej klasie wyjechałam na kolonie letnie dla biednych dzieci do Olszówki koło Kwidzyna. To była moja pierwsza kolonia w życiu. Urządzono ją w szkole. Tam były dwie izby lekcyjne. Rozłożono tam słomę na podłodze. Spaliśmy na tej słomie na pościeli

przywiezionej z domów. W pobliżu szkoły był pałac, gdzie mieliśmy stołówkę. Jedzenie było bardzo dobre.

Potem poszłam do piątej klasy do szkoły w Ryjewie. Brat też tam chodził o rok wyżej ode mnie. Byliśmy wtedy bardzo biedni. Stasio nie miał nawet butów. W sklepach wiejskich były wtedy tylko gumowce i to na przydział. Mama poszła na wywiadówkę i poruszyła ten temat publicznie. A miała gadanego! Kierownik szkoły Alfons Preuss od razu dał Stasiowi przydział na gumowce, a mamie zaproponował pracę woźnej w szkole. Obiecał jej mieszkanie. Światło elektryczne miało być za darmo, woda z pompy na dworze, blisko stacja kolejowa, dobry dojazd do miasta... No, po prostu luksus!

– Wyprowadzamy się na swoje – powiedziała mama, jak wróciła z tej wywiadówki.

Preuss to był autochton. Bardzo dobry człowiek. Dbał o nas. Dał nam ogród. Dzielił się z nami wszystkim, co tylko mógł. Mieliśmy z nim dobrze. Żona Preussa też była nauczycielką, uczyła m. in. języka rosyjskiego. Ale cóż, podejrzewam, że Preuss podpadł czymś władzy komunistycznej. Prawdopodobnie nie chciał zapisać się do partii. Szybko się go stamtąd pozbyli. Przenieśli go do Bratiana w powiecie Nowe Miasto Lubawskie. Żał było Preussom opuszczać Ryjewo. Tym bardziej, że po wojnie zajęli tam czy też może kupili ogród i ruiny po aptece przy ulicy Lipowej. – Jak tam nasza apteczka? – pytali w liście przysyłanych do mamy. Ale śladu już po tej aptece nie było. Ten list od nich zachowałam do tej pory. Po ich wyjeździe mama nadal pracowała w tej szkole jako woźna. Potem ciężko zachorowała. Poszła na rentę, ale wciąż mieszkała w szkole z moim bratem.

Mieszkałam w Ryjewie w latach 1948–1958. W tamtym okresie Polaków było tam niewiele. Większość ludności stanowili autochtoni. Oni mieli nazwiska pozmieniane na polskie. Jak imię brzmiało zbyt niemiecko, to też je zmieniali na polskie. Młodzież szybko nauczyła się mówić dobrze w naszym języku. Ci, którzy w domach rodzinnych używali języka niemieckiego, mówili z obcym akcentem. Ale jak w domu panował język polski, to mówili poprawnie.

A ja nigdy nie patrzyłam na to, czy to Niemiec, czy Polak. Lubiłam wszystkich. Z każdym dobrze żyłam. Z każdym się przyjaźniłam. Co najwyżej trochę się w szkole przeżywało, ale tak niewinnie. Oni na nas, przybyszów z centralnej Polski, wołali „bose Antki”. A my nazywaliśmy ich „szneki”, bo oni tak właśnie mówili na drożdżówki. A oni na nas wołali za to „słodkie bułki”. Poza tym nie było żadnej agresji. Żyliśmy w zgodzie. Teraz mówi się o przemocy w szkole. Kiedyś może ludzie nie byli święci, pewnie też się bili. Ale w szkole w Ryjewie było tylu uczniów i nikt mi nigdy w zęby nie dał. Potem, jak były już otwarte granice i można było wyjechać na Zachód, to dużo z nich wyjechało do Niemiec.

Pewnego razu przychodzi do mnie moja koleżanka Brygidka.

– Oddaj mi moje zdjęcie – mówi. – Ty jesteś Polka, ja jestem Niemka. Wyjeżdżamy. Nie chcę, by moje zdjęcie zostało u ciebie. Ona kiedyś pokazywała mi swoje fotografie rodzinne. Widziałam wtedy jej tatusia w mundurze niemieckim ze swastyką. Po wojnie on zamieszkał w Niemczech i oni do niego właśnie jechali.

Miałam kolegę Genka. Spotykaliśmy się, często spacerowaliśmy razem. Byłam wtedy chyba w piątej klasie liceum. Moja koleżanka chodziła z jego bratem, a ja z nim. To było takie niewinne. Nawet ani razu się z nim nie pocałowałam, bo koleżanki Niemki mi powiedziały, że on ma gruźlicę. To była wtedy nieuleczalna choroba, więc się bałam zarażenia.

Kiedyś przychodzi brat mojej koleżanki Hildy.

– Genek do ciebie na spotkanie nie przyjdzie – mówi.

– A skąd wiesz? – pytam.

– Nie przyjdzie do ciebie, bo z Hildą pod pluchą spał – odpowiada.

A „plucha” to w lokalnej gwarze znaczyło „pierzyna”. I rzeczywiście, Genek więcej do mnie nie przyszedł. Posłałam w niedzielę na mszę do kościoła. Słyszę, że ksiądz ogłasza zapowiedzi Genka i Hildy. Wkrótce odbył się ich ślub.

Genek zaprosił mnie na wesele. Przyjechał po mnie jego brat i zawiózł mnie do domu weselnego. Goście jechali bryczkami, a młodzi taksówką. Siedzę na tym weselu, rozglądam się po gościach, słucham co mówią. Ale nic nie rozumiem. Wokół słychać tylko język niemiecki. A ja niemieckiego w ogóle nie znałam. Rozumiałam tylko brzydkie wyrazy, bo koleżanki Niemki mnie nauczyły.

– Wszyscy tu mówią po niemiecku! Czy Genek to Niemiec? – myślę sobie.

Wcześniej sądziłam, że to Polak. Nie wiedziałam o tym jego pochodzeniu. Jak się spotykaliśmy, to w ogóle nie rozmawialiśmy na ten temat. Na to wesele przyjechali goście z Kępniewa na Żuławach, z niemieckiej rodziny Boguszów. W ogóle pełno Niemców tam było. Właściwie sami Niemcy. W pewnym momencie wychodzę na dwór. Stoję przed domem, a tu jeden chłopak z orkiestry wylatuje za mną.

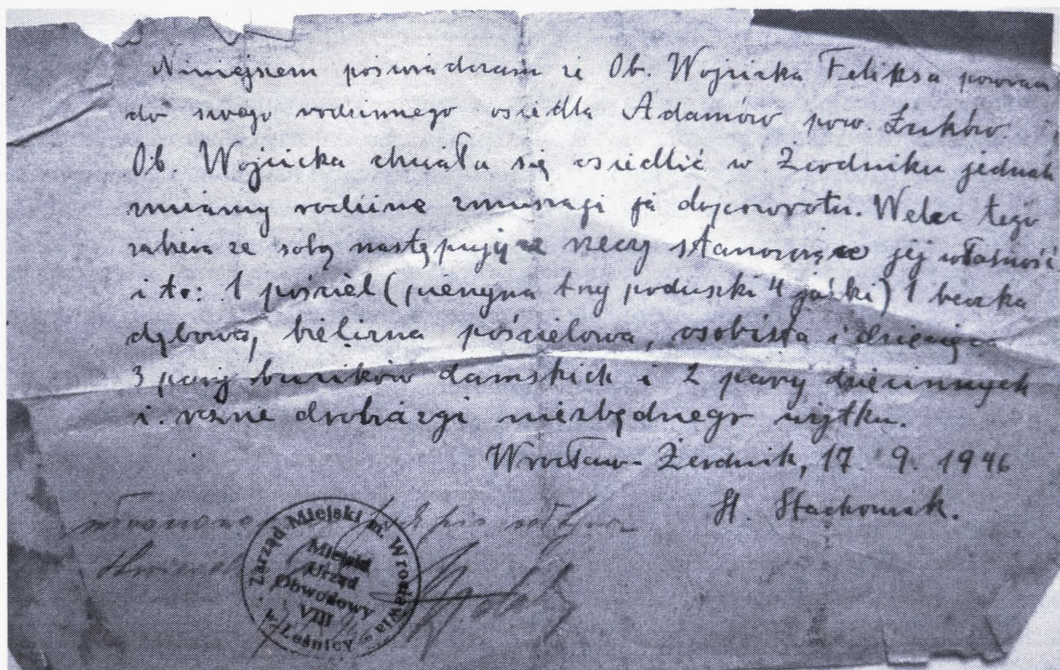
– Nas dwoje tutaj tylko jesteśmy Polakami – mówi do mnie.

Dziwnie się jakoś tam poczułam w tym niemieckim towarzystwie. Wcześniej to nawet nie zdawałam sobie sprawy, że Hilda też jest Niemką. Myślałam, że to Polka. Jak tylko się rozwidniło, to wzięłam namiar na tory kolejowe i ruszyłam tamtędy do Ryjewa. Uciekłam z tego wesela. Może i dobrze się stało, że Genek związał się z Hildą? Jakby ten nasz romans się rozkręcił, jakbym za niego wyszła za mąż, to byłabym pewnie teraz w Niemczech.

Bo Hilda z Genkiem wyjechali potem do Niemiec. On był z zawodu elektrykiem, dobrym fachowcem. Parę lat później spotkałam się z nimi jeszcze raz. To było w Ryjewie u Anieli i Olka, tych moich kuzynów, co nas tu ściągnęli. Genek robił u nich prąd w domu. Oni potem chcieli go ugościć, więc zaprosili go z żoną na małe przyjęcie. A ja byłam wtedy z mężem. Siedziałyśmy z Hildą przy jednym stole i nie odzywałyśmy się do siebie.

Kiedy skończyłam szkołę podstawową, to posłałam do liceum pedagogicznego w Kwidzynie. Chciałam być nauczycielką. Nie widziałam dla siebie żadnego innego zawodu. Pracę nauczyciela znałam przecież najlepiej, z codziennych obserwacji. Nie mieszkalam w internacie jak wiele moich koleżanek, tylko w domu. Codziennie dojeżdżałam do szkoły pociągiem z Ryjewa. Z domu miałam tylko dwie minuty piechotą do stacji kolejowej.

Jak ja kochałam to moje liceum w Kwidzynie! Uczylałam się tam pięć lat. Ta szkoła jest przy ulicy Warszawskiej, tylko dziesięć minut od dworca. Obok liceum było skrzydło, w której mieściła się szkoła ćwiczeń. Mieliśmy tam praktyki. Komu nie pasowało nauczanie dzieci, to od razu odchodził do innej szkoły. Od drugiej klasy liceum musieliśmy już iść do ćwiczeniówki. Najpierw mieliśmy dyżury na przerwach. Trzeba było pobawić się z dziećmi, zorganizować im zabawy ze śpiewem. Od trzeciej klasy już prowadziliśmy lekcje, najpierw po jednej, a potem więcej. Później wysyłali nas na dłuższe praktyki, po wsiach. Byłam na takiej praktyce w Sadlinkach. Potem do mojej szkoły dobudowali jeszcze jedno skrzydło. Obecnie jest tam szkoła podstawowa.



Dokument wystawiony przez Zarząd Miejski miasta Wrocławia zezwalający na przewóz pociągami osobistych rzeczy rodziny Wójcickich. Archiwum A. Muzyczuk

W liceum miałam serdeczne koleżanki i kolegów. Jeszcze do tej pory utrzymuję z nimi kontakt, to znaczy z tymi, które żyją. Chłopcy to już wszyscy wymarli, ale dziewczyny jeszcze dwie żyją. Jedna mieszka koło Warszawy, a druga w Toruniu. Ta z Torunia pochodzi z Lubelskiego. W czasie nauki w liceum w Kwidzynie mieszkała u swojej siostry i szwagra, który – jak podejrzewam – był Rosjaninem. Pracował jako nauczyciel w zawodowce. Poznałam tę rodzinę, bo jak były u nas potańcówki w szkole, to zwykle u nich nocowałam, by nie wracać samotnie wieczorem do domu. Chociaż zdarzało się, że nieraz szłam nocą do dworca przez miasto i wcale się nie bałam. Teraz jest inaczej. Jest obecnie taka przemoc w szkole. Wtedy u nas były różne roczniki, ale nikt nikomu nie dokuczał. Wszyscy się ze sobą przyjaźniliśmy. Żyliśmy jak jedna rodzina. No, może chłopcy o coś się czasem pobili, nie byli przecież aniołami.

Kwidzyn w tamtym okresie był mocno zrujnowany. Ze szkołą odgruzowywaliśmy miasto, głównie koło zamku. Tam były chyba wcześniej jakieś kamienice, a potem zrobiono Plac Janka Krasickiego. Teraz pewnie zmienili tę nazwę, bo Janek Krasicki już nie jest bohaterem. Byłam jednak jakoś tak przyzwyczajona do tych gruzów, do tych ruin. Teraz Kwidzyn jest zupełnie inny. Bardzo się zmienił. To już nie jest mój Kwidzyn. Ale mimo to, nadal kocham to miasto, a zwłaszcza moją szkołę. Jak tam jadę z kimś samochodem, to zawsze każę się zawieźć przed moje liceum, by na nie popatrzeć.

Maturę zdałam w 1958 roku. Wtedy matura nie była taka jak dzisiaj. Była bardzo trudna.

Po maturze moje koleżanki z miasta wiedziały, co trzeba dalej robić. A ja nic nie wiedziałam, bo nikt mi nie powiedział. Pojechałam do Ryjewa i siedziałam sobie w domu. Byłam

szczęśliwa, że zdałam maturę! Dopiero po jakimś czasie pomyślałam sobie, że trzeba załatwić sobie jakąś pracę. A wtedy zatrudnieniem absolwentów zajmowała się szkoła.

Pojechałam do Kwidzyna, poszłam do szkoły...

– Chyba bym musiała gdzieś pracować – mówię w sekretariacie.

– Tak, dajemy skierowania do pracy – odpowiadają panie.

Niestety, już nie było nic dla mnie w najbliższej okolicy. Wszystko w okolicy Sztumu i Kwidzyna było już obsadzone.

– Masz do wyboru Koszalin albo Elbląg – usłyszałam.

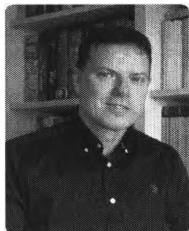
– Boże, do Koszalina? To tak daleko! Co ja tam będę robić? – pomyślałam.

W tej sytuacji wybrałam Elbląg.



Grono pedagogiczne Liceum Pedagogicznego w Kwidzynie. Profesor Józef Bachórz (w jasnym garniturze) siedzi jako drugi z lewej w pierwszym rzędzie. Archiwum A. Muzyczuk

Arkadiusz Welniak



KIEDY KAHLBERG NAZYWANO ŁYSICĄ. O NARODZINACH POLSKIEJ KRYNICY MORSKIEJ I JEJ ZASIEDLANIU W PIERWSZYCH LATACH PO DRUGIEJ WOJNIE ŚWIATOWEJ

Zanim ostatecznie zamknięto rozdział dziejów niemieckiego Kahlberg-Liep, a w oficjalnym, urzędowym obiegu pojawiła się nazwa Krynica Morska na tym kilkukilometrowym skrawku Mierzei Wiślanej zachodziły wydarzenia polityczne i procesy ludnościowe niezwykle istotne z perspektywy narodowościowej, demograficznej, gospodarczej i społeczno-kulturowej. Romantyczny wieszcz mógłby je opisać słowami: *wędrowni zwiastującej nowego ducha miejsca na końcu świata*, a pisarz hołdujący ideom pozytywistycznym określiłby je *mozolnym budowaniem od podstaw nowej, napływowej społeczności*. Pierwsze lata powojennych dziejów Krynicy Morskiej to dla badacza okres ze wszech miar fascynujący i wyjątkowy. Z jednej strony mamy do czynienia z wyjątkową intensywnością procesów zachodzących w relatywnie krótkim czasie na tle zmieniających się realiów politycznych. Z drugiej zachowane źródła administracyjne i rejestry ludnościowo umożliwiają historykowi w miarę dokładne prześwietlenie specyfiki, problemów i etapów zaludniania nadmorskiej miejscowości, która w konsekwencji wojny straciła na długie dekady dawny charakter reprezentacyjnego kurortu. Nazwa Krynica Morska pojawiła się w oficjalnej nomenklaturze urzędowej nie od razu. Początkowo posługiwano się wymiennie nazwami Kalbork i Łysa Góra, stanowiącą kalkę nazewniczą niemieckiego Kahlberg. Tę ostatnią zgodnie z dyrektywami Centralnej Komisji Nazewniczej zmieniono na Łysica i w takim brzmieniu funkcjonowała ona aż do 1958 roku, kiedy zastąpiono ją obecną nazwą Krynica Morska. Warto wspomnieć, że jako propozycja nazwy osady wysunięta przez pierwszych osadników, pojawia się też Polonia.

Krynica Morska została włączona do bezpośrednich działań wojennych po rozpoczęciu ofensywy zimowej przez wojska II i III Frontu Białoruskiego. Kontrolowany przez wojska niemieckie wąski odcinek Mierzei Wiślanej stał się od końca stycznia 1945 roku jednym z głównych szlaków ewakuacji ludności cywilnej z Prus Wschodnich. Od drugiej połowy stycznia aż do połowy marca 1945 roku wiódł on stamtąd w kierunku Stegny i Mikoszewa i dalej do portów w Gdyni i na Helu. Przez *Kahlberg* ciągnęły dniami i nocami kolumny uciekinierów docierających tu przez zamrznięty Zalew Wiślany od strony Elbląga, Braniewa, a z czasem także lądem od strony cieśniny piławskiej. Większość stałych mieszkańców Krynicy Morskiej i sąsiednich osad, Przebrno i Piaski, ewakuowano kutrami i statkami w kierunku Gdańska w ostatnich dniach stycznia. Pozostałych kierowano w mniejszych grupach do Mikoszewa, a stamtąd barkami bezpośrednio na Hel, przy czym ostatni cywilni



Fragment zabudowy miejscowości fot. Jan Bułhak 1949 rok. Źródło Fotopolska.eu

mieszkańcy wraz z ostatnim burmistrzem Helmutem Mietzem opuścili miejscowość dopiero pod koniec kwietnia 1945 roku. Znaczny odsetek tych rodzin znalazł się potem w obozach przejściowych dla niemieckich uciekinierów na terenie Danii. Krynica Morska, mimo intensywnego ostrzału prowadzonego przez wojska radzieckie od strony elbląskiej, pozostała w rękach niemieckich niemal do ostatecznej kapitulacji. Jest to o tyle charakterystyczne, że w tym czasie po drugiej stronie Zalewu Wiślanego w Elblągu od kilku tygodni działała już polska administracja, a do miasta przybywali pierwsi polscy przesiedleńcy.

Mierzeja Wiślana na wschód od Kątów Rybackich faktycznie aż do pierwszych tygodni 1946 roku pozostała pod całkowitym zwierzchnictwem i kontrolą wojsk radzieckich. W połowie lipca 1945 roku Komendant Wojenny miasta Tolkmicka mjr Lenski odmówił przekazania tego terenu stronie polskiej, motywując to obowiązującym rzekomo „*pogotowiem obronnym i możliwością ataku przez zabłąkany okręt niemiecki*”. Nadzór nad tym obszarem miał zostać przekazany dopiero z chwilą odgórnego uregulowania kwestii granicy państwowej, ustalenia statusu wód Zalewu Wiślanego i przybycia oddziału Wojska Polskiego. Wiadomo jednak, że pierwsze nieformalne wizytacje w samej Krynicy Morskiej i Przebrnie już w lipcu przeprowadził za zgodą Komendanta Armii Czerwonej m.in. burmistrz Tolkmicka Bolesław Żytyński. Administracyjnie wschodnią, przygraniczną część Mierzei Wiślanej włączono do powiatu elbląskiego, a Łysica (Krynica Morska) miała wchodzić odtąd w skład gminy wiejskiej Tolkmicko. Oficjalnie przejęcie tego fragmentu Mierzei Wiślanej przez polskie władze nastąpiło dopiero 12 grudnia 1945 roku, przy czym początkowo z zasiedlania ludnością cywilną wyłączono cały obszar przygraniczny ciągnący się na wschód od Krynicy



*Harcerze z Mogilna na Plaży w Krynicy Morskiej 1949.
Źródło Mogilno. Nasze Miasto*

Morskiej. Działalność ustanowionej w grudniu 1945 roku Ekspozytury Zarządu Gminy w Tolkmicku z siedzibą w Łysicy była przez pierwsze miesiące iluzoryczna. Jej pierwszy przedstawiciel oddelegowany przez Starostę Powiatowego w Elblągu Radomińskiego, zdany na łaskę sowieckiego komendanta i zmagający się z brakiem przychylności grupy niemieckich robotników, nie prowadził właściwie żadnej działalności administracyjnej. Ciągający się spór granicy państwowej z ZSRR oraz skomplikowane początki organizacji polskiej administracji w Krynicy Morskiej miały wpływ nie tylko na znaczne opóźnienie rozpoczęcia samej akcji osiedleńczej, ale i na brak większej kontroli władz osiedleńczych w Elblągu nad jej przebie-

giem. Ze względu na położenie, brak stałego połączenia drogowego oraz nieuregulowany status administracyjny Krynica pozostawała najmniej związana z samym Elblągiem i resztą powiatu. Musimy jednak pamiętać o przesłankach historycznych, a przede wszystkim o przywoływanych postulatach zachowania dostępu Elbląga do wybrzeża, przynajmniej na tym kilkunastokilometrowym odcinku.

Pierwsze powojenne raporty urzędowe mówiły o wyludnieniu całego obszaru i zdewastowanej infrastrukturze nadmorskiej miejscowości i portu nad Zalewem. Stoi to jednak w sprzeczności z początkowymi sprawozdaniami Zarządu Gminy w Tolkmicku oraz zapisami relacyjnymi pierwszych mieszkańców Krynicy Morskiej. Akcentowano w nich zasobność i stosunkowo dobry stan zachowanych budynków dawnego kurortu w tym najwcześniejszym, pionierskim okresie. Wedle stanu z 2 marca 1946 roku w Krynicy Morskiej mieszkała kilkudziesięciosobowa grupa niemieckich rybaków pracująca dla Armii Czerwonej oraz cztery rodziny polskie. Był wśród nich rybak Franciszek Pierszewski spod Kościerzyny, były robotnik przymusowy zatrudniony w czasie wojny w porcie w Piławie [niem. Pillau – AW]. Do końca maja 1946 roku do gromady przybyło dziesięć dalszych rodzin polskich, które samowolnie i bez żadnych urzędowych przydziałów zajęły opuszczone ponemieckie domostwa i wolne działki rybackie. Wobec sporej powierzchni i znacznego rozproszenia budynków, pierwsze polskie rodziny osiedlały się obok siebie, wzdłuż drogi w przyzalewowej części miejscowości. 28 kwietnia 1946 roku w Krynicy odnotowano narodziny pierwszego polskiego dziecka, a wedle aktu urodzenia chłopiec o imieniu Mirosław przyszedł na świat na kutrze rybackim w drodze do jedynej w okolicy akuszerki zamieszkałej w Sztutowie.



Pomnik pierwszych osadników, Krynica Morska

Zachowana dokumentacja uwłaszczeniowa Łysicy (Krynicy Morskiej), ewidencja ludności oraz materiały komitetów osadnictwa z okresu regulacji pozwalają na analizę przekroju społeczno-zawodowego i pochodzenia terytorialnego jej mieszkańców. Pierwsi z przybyłych pochodzili z Kaszub oraz polskiego Pomorza i byli najczęściej związani zawodowo z rybołówstwem. Można wśród nich wymienić sołtysa Łysicy Michała Betlejewskiego, mieszkającego przed wojną w Pucku. Spora grupa przesiedleńców przybyła na podstawie skierowań urzędowych Urzędu Morskiego i Polskiego Związku Zachodniego z Gdańska lub Gdyni. W tej grupie wyróżniali się dwaj przedwojenni oficerowie marynarki, były pracownik floty dalekomorskiej czy czterej wykwalifikowani rybacy morscy zwerbowani przez Generalny Inspektorat Rybołówstwa. Na przełomie 1946 i 1947 roku do Krynicy w ramach grupowego osadnictwa przybyło też kilkunastu przesiedleńców-rybaków z powiatu lubawskiego oraz rodziny z kilku wsi położonych nad jeziorami Osetno i Łąkorz w powiecie nowomiejskim. Dołączali do nich sukcesywnie rybacy znad Wisły m.in. z okolic Gostynina, Płocka i Kazimierza. Były również osoby wykwalifikowane w innych zawodach, które dopiero na miejscu uczyły się rybackiego kunsztu. Przejściowo liczna wśród rosnącej społeczności przesiedleńczej była grupa zdemobilizowanych żołnierzy, którzy w 1946 wracali z Anglii i zachodnich stref w Niemczech. Niektórzy przybyli po weryfikacji w ramach akcji osadnictwa wojskowego, inni, jak AK-owiec Waclaw Bombil z Lidy, w obawie o swoje bezpieczeństwo szukali tu politycznego azylu. Duża chłonność sprzyjała przesiedlaniu się tu także tych rodzin, którzy już w 1945 roku napłynęli do sąsiednich gmin Sztutowo i Stegna. Podobnie było także z grupką kilkunastu rybaków z Suchacza i Tolkmicka, którzy postanowili

poszukać szczęścia na Mierzei zakładając słusznie, że nadmiernie wyeksploatowana i uboga w ryby strefa przybrzeżna Zalewu nie zapewni egzystencji większej liczbie rodzin rybackich. Początkowo dawał się we znaki zarówno brak sprzętu, jak i fachowych kadr rybackich, co w dużej mierze ujemnie wpływało na odłów ryb. Swoją rolę w tym instruktażu odegrali paradoksalnie niemieccy rybacy, których wyreklamowano w związku z tym od wyjazdu w pierwszych transportach wysiedleńczych za Odrę. Część z nich została wysiedlona w lipcu i listopadzie 1946 roku z punktu zbiorczego w Elblągu, a ostatnie niemieckie rodziny opuściły rodzinne strony późną jesienią 1947 roku.

Raporty Państwowego Urzędu Repatriacyjnego w Gdańsku z sierpnia 1946 roku mówią o dużej rezerwie wolnych zabudowań, także obiektów willowych dawnych pensjonatów i domów wypoczynkowych. Najbardziej atrakcyjne i najmniej zniszczone budynki zostały rzecz jasna zajęte w najwcześniejszej fazie zasiedlania Krynicy, niemniej chłonność i możliwości osiedleńcze były tu nieporównywalnie lepsze niż w szybciej zaludnionej wsi Sztutowie. Problem dzikich przydziałów nieruchomości i działek trwający w 1946 roku wobec faktycznego braku nadzoru ze strony Wydziału Osiedleńczego w Elblągu wypłynął z całą siłą podczas akcji uwłaszczeniowej i regulacyjnej. W następnych latach prowadził on do nadużyć oraz sporów pomiędzy samymi osadnikami. Dezorganizację pogłębiały także nie do końca skoordynowane przydziały obiektów na terenie osady różnym instytucjom bezpośrednio przez urzędy centralne i wojewódzkie (głównie Urząd Ziemiński i Urząd Morski) bez uzgadniania tego z Wydziałem Osiedleńczym i PUR w Elblągu. Przykładowo wiele domków letniskowych i dawnych pensjonatów w nadmorskiej części Krynicy zostało w 1946 roku samowolnie przejętych m.in. przez Nadleśnictwo Stegna. Miejscowość pozostawała w tym okresie miejscem szczególnej eksploatacji rabunkowej i była narażona zarówno na szaber oddolny, jak i prowadzony na szeroką skalę szaber urzędowy. Sołtys Łysicy opisał to w jednym z meldunków z maja 1947 roku: „*ciągle przybywają furmanki i samochody osobowe zaopatrzone w jakieś kwitki i poświadczenia różnych władz, grasują po osadzie i wywożą wszystko co im się podoba (...) precz z szabrownikami i złodziejami z Krynicy*”. Sytuację wykorzystwały paradoksalnie nawet władze gminy Tolkmicko, które zarekwirowały kilkanaście opuszczonych kutrów rybackich z dużą ilością rybackich sieci.

Na koniec 1946 roku liczba polskich mieszkańców Łysicy przekroczyła sto osób. Należy jednak podkreślić, że władze osiedleńcze w Elblągu miały bardzo niewielki udział w organizacji zasiedlania gromady, a zdecydowana większość osadników przybywała tu przez Gdańsk. Wiosną 1947 roku działała tu spółdzielnia rybacka, dwa sklepy, piekarnia, kilka wędzarni i warsztat rzemieślniczo-naprawczy sprzętu rybackiego. W tym czasie obsadzono na potrzeby osadnictwa 20% wszystkich obiektów w stanie dobrym, w tym 58 działek rybackich. Wolne pozostawały 93 wille, 7 domów kuracyjnych i 21 działek. Co charakterystyczne, mimo bardzo trudnych warunków bytowych, dwukrotnego przerwania Mierzei przez wysoką falę skutkującego izolacją osady w okresie jesienno-zimowym 1946 roku, nie odnotowano dużego odpływu rodzin osadników. Wedle ewidencji ludności i ksiąg gromadzkich najbardziej stabilną grupą przesiedleńców były rodziny osadników z Pomorza Nadwiślańskiego. W 1947 roku co czwarty osadnik przybyły do Krynicy pochodził zza

Buga lub miał tam korzenie rodzinne. Dominowali w tej grupie mieszkańcy Wileńszczyzny i rejonu Braclawia. Można tu wymienić Stanisława Muraszkę – przesiedleńca z Głębowszczyzny, który przed przybyciem na Ziemię Zachodnie przebywał w sowieckim obozie pracy w Kałudze. Z kolei rodzina Pietkiewiczów wedle zachowanej karty repatriacyjnej mieszkała przed przesiedleniem w Leningradzie (Petersburgu). Należeli oni do głównych organizatorów oświaty w gromadzie i mieli ogromny udział w powołaniu na przełomie 1947 i 1948 roku pierwszej, dwuwyziałowej szkoły. Powojenna historia osady, nierozdzielnie związana z tamtejszą placówką WOPR, spowodowała, że w Krynicy Morskiej chętnie osiedlali się także na stałe pogranicznicy zaraz po zakończeniu obowiązkowej służby wojskowej.



Przystan rybacka Piaski

Jesienią 1947 roku w gromadzie mieszkało już 276 stałych mieszkańców, w tym 61 pełnych rodzin z dziećmi. Dominowały wśród nich osoby młode, co z perspektywy demograficznej i ekonomicznej było oczywiście czynnikiem niezwykle korzystnym dla rozwoju miejscowości. Gromada miała w tym czasie charakter typowej osady rybackiej, chociaż powoli acz sukcesywnie rosła też liczba pracowników zatrudnionych w sektorze leśnym i usługach. Zaradność pierwszych powojennych mieszkańców, odizolowanych często długimi tygodniami od zaplecza gospodarczego i większych ośrodków miejskich, objawiała się w wielu dziedzinach życia codziennego. Przykładowo część objętych niewielkich gospodarstw i działek wykorzystywano do prowadzenia ogródków warzywno-owocowych, co ułatwiało aprowizację wielu rodzin. Wielu z osadników-rybaków szybko adaptowało się do tutejszych warunków, a z czasem dzięki operatywności podnosił się ich status majątkowy. Do pionierów osadnictwa w tej nadmorskiej gromadzie dołączali w kolejnych latach ich krewni i sąsiedzi zachęcani warunkami oraz istniejącą ciągle rezerwą wolnych budynków.

Walory krajobrazowe i charakter dawnego kurortu, mimo pionierskich warunków i ciągle nie do końca rozminowanego terenu, już latem 1947 roku przyciągnęły sporą grupę letników. Władze w Elblągu zorganizowały tam kolonie letnie, m.in. dla dzieci przesiedleńców z Buga, dla wychowanków elbląskiego domu dziecka oraz pracowników Zarządu Miejskiego. Wiosną następnego roku Prezydium GRN w Tolkmicku wysunęło wniosek o urządzenie nadzorowanego kąpieliska morskiego, a w czerwcu 1948 roku uruchomiono pierwsze, nieregularne połączenia żeglugowe do Tolkmicka i Fromborka. Na rozwoju miejscowości jako kąpieliska i ośrodka wypoczynkowego nadal niekorzystnie ciążyły ograniczenia komunikacyjne oraz kwestia nieuregulowanego statusu własnościowego wielu obiektów wypoczynkowych i willowych. Mimo rosnącej liczby mieszkańców nie udało się

zorganizować placówki medycznej. Brakowało akuszerki, stałego posterunku milicji, straży pożarnej i elektryczności. Władze nie dysponowały żadnymi środkami na przydział większej jednostki pływającej, więc dotarcie małymi łodziami rybackimi na drugą stronę Zalewu było możliwe jedynie sezonowo. Należy podkreślić, że brak połączenia z Elblągiem komplikował również zbyt ryb poławianych przez miejscowych rybaków. Oprócz prowadzonych połowów morskich, barkasy i łodzie tutejszych mieszkańców wypływały na Zalew Wiślany, konkurując z rybakami z sąsiednich Kątów Rybackich i Nowej Pasłęki. Pomimo, że sytuacja stawała się stopniowo stabilniejsza, osada rybacko-letniskowa na Mierzei borykała się nadal z dużymi problemami, z których większość wynikała z jej lokalizacji i położenia przy granicy państwowej z ZSRR. Znacznym problemem były także wraki zatopionych barkasów, kutrów i wozów blokujące jeszcze w 1947 roku wejście do portu na Zalewie Wiślanym. Jednym z pierwszych działań był nakaz Wydziału Powiatowego w Elblągu z września 1947 roku skierowany do burmistrza Tolkmicka, w którym czytamy: „*niedopuszczalne jest, żeby odremontowana barka stała bezczynnie w porcie w Tolkmicku, a ludzie po drugiej stronie w Krynicy pozostają całkowicie odcięci*”. Mieszkańcy Krynicy podczas zebrań gromadzkich i spotkań z przedstawicielami Wojewody Gdańskiego, Starosty Elbląskiego, Naczelnikiem PUR i Inspektorem Oświaty Brunonem Talašką w 1947 roku narzekali na brak efektów i nieskuteczność działań, wskazując jednocześnie, że rozwiązaniem części problemów byłoby przyłączenie miejscowości do powiatu gdańskiego. Warto podkreślić, że podczas jednego z takich zebrań w dniu 9 września 1947 roku w sprawie organizacji szkoły uczestniczył komplet dorosłych mieszkańców Krynicy.

Od 1948 roku rozrastał się także zasiedlany teren gromady, a nowi osadnicy otrzymywali w użytkowanie najczęściej już mocniej podniszczone nieruchomości w przyzalewowym, zachodnim kwartale oraz w okolicach latarni morskiej. Należy wspomnieć, że wiosną 1948 roku odnotowano napływ większych grup przesiedleńców z Warszawy i Mazowsza, do których dyspozycji oddano kilkanaście działek rybackich i budynków mieszkalnych. W okresie styczeń-listopad 1948 r. wydano ogółem akty własności dla 21 osadników bez orzeczenia, a dalsze wnioski od 41 osadników rozpatrywano w następnych latach. W świetle Narodowego Spisu Powszechnego z grudnia 1950 roku w Krynicy Morskiej zameldowanych na stałe było 359 mieszkańców. Warto odnotować, że dopiero w 1951 roku, za zgodą wojskowych władz radzieckich, wyłączono z wydzielonej strefy wojskowej przygraniczną osadę Piaski [niem. Neukrug]. Dopiero wówczas rozpoczął się napływ do tej granicznej osady rybackiej polskiej ludności cywilnej. Choć stan zabudowań i zniszczenia wojenne umożliwiły początkowo osiedlenie zaledwie kilkunastu rodzin, w ciągu następnych kilku lat ciągnęły tam rodziny rybaków natchnione wizją dobrych łowisk i wielkich połowów. Niektórzy jak Zygmunt Taraszkiewicz – repatriant znad Wilii, przyjechali na Piaski po kilkuletnim pobycie nad Odrą. Z czasem przesiedliło się tam także kilka rodzin zamieszkałych wcześniej w Krynicy Morskiej. Kwestie powojennego osadnictwa w osadzie Piaski przedstawił niezwykle obrazowo i sugestywnie Krzysztof Kalukin w filmie dokumentalnym z 1998 roku pod tytułem „Azyl na Piaskach”.

ŹRÓDŁA:

Archiwum Państwowe w Gdańsku

- Państwowy Urząd Repatriacyjny. Oddział Wojewódzki w Gdańsku (1167)
- Urząd Wojewódzki w Gdańsku (1164)
- Wojewódzka Rada Narodowa w Gdańsku (1164)
- Wojewódzki Urząd Statystyczny w Gdańsku (3111)

Archiwum Państwowe w Malborku

- Starostwo Powiatowe w Elblągu. Akta Wydziału Społeczno-Politycznego i Osiedleńczego (25)
- Zarząd Gminy w Tolkmicku (12)
- Powiatowy Inspektorat Szkolny w Elblągu (184)
- Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Elblągu. Wydział Oświaty (35)
- Akta osiedleńcze powiatu elbląskiego. Krynica Morska

Archiwum Urzędu Miasta i Gminy w Tolkmicku

- księgi stanu cywilnego Tolkmicko-Wieś z lat 1946–1950

Andrzej Kasperek



W STEGNIE, NIE TYLKO NA PLAŻY

„Witam was, jestem w Stegnie na plaży. Cześć. Cześć, na plaży jestem w Stegnie. Drugi dzień w Stegnie na plaży. Serdecznie was pozdrawiam ze Stegny, z Morza Bałtyckiego”. Ten cytat pochodzi z filmiku, który w lipcu zeszłego roku udostępniła na TikToku wczasowiczka. Nie korzystam z tego serwisu internetowego i nie miałem pojęcia, że ten film rozprzestrzeni się z siłą tajfunu, podawany jeden drugiemu stał się wiralem, czyli czymś, co rozchodzi się w sposób wirusowy. Nagranie stało się hitem. Ponoć tę niezbyt wyrafinowaną „pocztówkę” pani Iwony, na której pozdrawia swoich „obserwujących” z plaży w Stegnie, wyświetlono przeszło 20 milionów razy i dokonano ponad 4 tysięcy jej przeróbek.

Latem 2022 roku Stegna przeżyła istne oblężenie, ludzie robili zdjęcia tablicy z napisem STEGNA KĄPIELISKO MORSKIE. Gwiazdy Internetu przybywały, żeby nakręcić filmik, zatańczyć, zaśpiewać piosenkę i natychmiast wrzucić to do sieci, póki temat jest gorący. Przyznam, że nic z tego całego zamieszania nie rozumiem, ale dzięki temu Stegna na pewno zyskała i ponoć była najpopularniejszym miejscem sezonu. Pytam o tę popularność wójt (albo wójtkę – co kto woli) gminy, panią Ewę Dąbską. Macha ręką i mówi, że to



Kościół w Stegnie



Nawet zimą kąpiel w Bałtyku ma swych amatorów

tylko zamieszanie, kradzież znaków drogowych z nazwą miejscowości i dodatkowe śmieci. Gmina wcale nie zarabia na takich turystach, którzy wpadają na kilka godzin, zrobią zdjęcie i już ich nie ma. Ich wcale ta ładna miejscowość nad Bałtykiem nie interesuje, szukają tylko swych 5 minut sławy. I za chwilę będą gdzie indziej.

A dla mnie Stegna jest ważna, bo tu, w miejscowym ośrodku zdrowia, się urodziłem, tu przez 8 lat chodziłem do szkoły podstawowej; w miejscowym kościele byłem ochrzczony, przyjmowałem pierwszą komunię i bierzmowanie. Obiecuję, że będę się starał, żeby tekst nie był zanadto sentymentalny.

Nieoceniony „Słownik Geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich” – wydany w latach 1880–1904 – w tomie 11 zamieszcza notatkę o wiosce Steegen leżącej na „gdańskiej Nierzei”, którą w 1885 r. zamieszkiwało przeszło tysiąc osób, przeważnie ewangelików. Czytamy tam: „Mieszkańcy trudnią się rolą, drobnym handlem i rybołówstwem”. Autor hasła dodaje, że w 1722 r. znaleziono tam starożytne monety arabskie, a w 1889 r. odkopano guziki bursztynowe z epoki kamiennej. Cenne znaleziska miały trafić do muzeum w Gdańsku. Niestety po wojnie zniknęły bezpowrotnie.

17 monet pochodziło z lat 724–813 n.e. Potwierdza to istnienie bursztynowego szlaku znanego już starożytnym Rzymianom, którzy elektron (to grecka nazwa tej skamieniałej żywicy drzew iglastych) cenili bardzo. Historyk Pliniusz Starszy opisał w „Historii naturalnej” (77–79 r.) wyprawę kupiecką po ten cenny towar: „Niedawno się przekonano, że wybrzeże Germanii, z którego jest przywożony bursztyń, znajduje się w odległości 600 mil od Karnuntum w Pannonii. Żyje jeszcze ekwita rzymski wysłany dla zdobycia bursztyny przez Julianusa zarządzającego igrzyskami gladiatorскими cesarza Nerona. Odwiedził on miejsca



Organy

handlowe i wybrzeża, przywoząc takie ilości bursztynu, że nawet siatka służąca do powstrzymywania zwierząt i osłaniania podium miała w każdym węzłku bursztyn. Broń zaś, mary i cały sprzęt, używany przez jeden dzień, był z bursztynu dla urozmaicenia wystawy w poszczególnych dniach. Najcięższa bryła bursztynu ważyła 13 funtów [4,25 kg]¹. Handel

zamarł w VI w. na wiele wieków, ale wykopaliska pokazują, że wyprawy także później (może o mniejszej częstotliwości) jednak się odbywały. Bursztynowy szlak istniał od V wieku p.n.e. Dla ludzi żyjących nad Bałtykiem była to okazja do wymiany handlowej, ale także podniesienia poziomu cywilizacyjnego.

Morze Bałtyckie do dziś wyrzuca na brzeg okruchy bursztynu. Na Mierzei Wiślanej działa wielu bursztytników i poławiaczy jantaru. Dla zwykłych turystów szukanie bursztynu to dodatkowa atrakcja. Od 1998 organizowane są corocznie Mistrzostwa Świata w Poławianiu Bursztynu – zawody, odbywające się w wakacje na plażach, w czasie których zawodnicy ścigają się w wyławianiu i wybieraniu jak największej liczby bursztynowych bryłek w wyznaczonym czasie. Zbigniew Gnyś, który przez wiele lat zajmował się organizacją zawodów i sędziował w nich, opowiada, że impreza jest bardzo popularna, bierze w niej udział nawet 100–140 zawodników, którzy grzebią w kidzinie (to fachowa nazwa wyrzucanych przez morze na plażę szczątków wodorostów morskich, muszli, bursztynu i patyków) i starają się znaleźć jak najwięcej bursztynowych okruchów. A finał połowów to nie tylko nagrody, ale też festyn z udziałem zaproszonych gwiazd.

W średniowieczu w miejscu dzisiejszej wioski były dwie miejscowości: Steegen i Kobbelgrube. Ta pierwsza (założona w XIV wieku), położona blisko brzegu morza, była siedzibą pomorskich rybaków a jej nazwa pochodzi prawdopodobnie od stogu siana. Według niektórych te charakterystyczne kopce były także punktami orientacyjnymi dla wędrowców – wyznaczały ścieżki. Stąd po II wojnie światowej miejscowość nazwano Ścieżki. A potem sięgnięto po nazwę w brzmieniu kaszubskim, bo stegna znaczy w nim 'ścieżka'². Kobbelgrube – najczęściej tłumaczy się, że to nazwa wywodząca się od stadniny zajmującej się hodowlą

¹ Pliniusz Starszy „Historia naturalna”: ks. XXXVII, rozdz. 45. Tłum. Jerzy Kolendo. Cyt. za: https://pl.wikipedia.org/wiki/Wyprawa_rzymskiego_ekwity_po_bursztyn

² Może warto zaznaczyć, że we wzmiankowanym „Słowniku Geograficznym Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich” używa się tylko niemieckiej nazwy Steegen, choć sąsiednia wioska Stutthof pisana jest po polsku: Sztutowo. Podobnie na przedwojennej mapie Eugeniusza Romera „Województwo poznańskie i pomorskie: mapa topograficzna, komunikacyjna i administracyjna” z 1939 r. większość nazw na Żuławach I Mierzei podano tylko w brzmieniu niemieckim. Tam także jest Steegen.

klaczy. Jednak niektórzy badacze twierdzą, że dosłowne tłumaczenie znaczy: Kobyla Jama i odnosi się do tego, że tu znajdowała się rakarnia wybudowana przez władze Gdańska³. Tam znajdował się kościół. Wioska była ważna, bo leżała na szlaku wiodącym z Gdańska do Królewca. Pod koniec wojny trzynastoletniej w 1465 r. przebywały tu



Ostseebad Steegen. „Der casende Heheingeez“

Pociąg wąskotorowy „Pędzący Mierzejania”, fot. Internet

delegacje: polska oraz krzyżacka, omawiające warunki zawarcia pokoju. Pertraktacje nie były łatwe, bo spotykano się trzy razy. Warto zaznaczyć, że po stronie polskiej brał w nich udział, jako dyplomata króla Kazimierza Jagiellończyka, kanonik Jan Długosz, czyli słynny kronikarz, autor „Dziejów Polski”. Rokowania zakończono rok później. Na mocy II pokoju toruńskiego Królestwo Polskie odzyskało Pomorze Gdańskie z Gdańskiem, ziemię chełmińską i ziemię michałowską, Warmię i Powiśle z Żuławami, Malbork i Elbląg. Po I rozbiorze Polski Stegna została zaanektowana przez Prusy i do 1918 r. podlegała administracji pruskiej a później niemieckiej, w 1919 r. znalazła się na obszarze Wolnego Miasta Gdańska. A 1 września 1939 r. została włączona do III Rzeszy. Wiosną 1945 r. Stegna znalazła się ponownie w Polsce.

Epoka romantyzmu odznaczała się m.in. zainteresowaniem naturą, szczególnie tą dziką i nieposkromioną przez człowieka. Wtedy to odkryto, że podróżować można nie tylko w interesach, dla studiów i odwiedzania świętych miejsc. Można po prostu podziwiać góry i morze i znajdować w tym przyjemność. Podróże w celach poznawczych, wypoczynkowych i zdrowotnych zaczęły nabierać coraz większego znaczenia i stawały się coraz bardziej popularne. Nie bez znaczenia było, że Europę zaczęła pokrywać coraz gęstsza sieć linii kolejowych, co sprawiało, że podróże stawały się coraz łatwiejsze, krótsze i tańsze. Wiek XIX okazał się dla turystyki przełomowy. Ludzie mieli więcej pieniędzy i więcej czasu. A dla mieszkańców gór i wybrzeża, którzy często żyli w biedzie, ze względu na słabe gleby i niepewność zarobków z rybołówstwa, było to zupełnie nowe źródło dochodu. W połowie XIX wieku dynamicznie zaczyna się rozwijać Kahlberg, czyli dzisiejsza Krynica Morska. W 1843 roku otwarto tam pierwszy kurort i miejscowość, którą w 1814 roku zamieszkiwały zaledwie cztery rodziny rybaków, stała się dynamicznym ośrodkiem turystycznym, do którego pod koniec XIX wieku luksusowy parowiec „Preussen” przywoził w niedzielę 1500 pasażerów.

Mieszkańcy Steegen także wykorzystali koniunkturę i już przed I wojną światową miejscowość stała się znana jako Ostseebad Steegen, czyli bałtyckie kąpielisko morskie.

³ Zob.: Heinz Albert Pohl, „Kronika kościoła w Stegnie/Kobbelgrubbe rozpoczęta w roku 1650”, przeł. Bartłomiej Gnecio-szek, Stegna 2007, s. 7



Jestem na plaży w Stegny

Ponoć było oceniane jako drugie w Wolnym Mieście Gdańsk, zaraz po Ostseebad Zoppot. Od 1905 roku z Gdańska do Stegny można było pojechać kolejką wąskotorową. Podróż (łącznie z przeprawą promem kolejowym przez Wisłę w Świbnie) trwała 2 godziny i 24 minuty. Były nawet specjalne składy wakacyjne. We wspomnieniach dawnych Żu-

ławiaków możemy przeczytać, że: „Wkrótce pociągi plażowe złożone z dwóch parowozów i długich składów wagonów, zyskały dużą sympatię pasażerów, którzy nazywali je *Rasender Nehrunger* (*Pędzący Mierzejanin*). Aż do lat czterdziestych, pociągi te kursowały przez cały rok ciesząc się dużą frekwencją, nawet zimą korzystały z nich całe rodziny udające się na zamarznięte kanały, by poszaleć na łyżwach”⁴.

Na starych pocztówkach widać liczne zdjęcia z nadbałtyckiej wioski. Kościół, wiatrak, amfiteatr koło plaży, hala plażowa, tańczący na plenerowym parkiecie ludzie. Bo wypoczynek był nie tylko związany z morskimi kąpielami i spacerami po lesie i plaży. To były także koncerty i zabawy taneczne. Miał Sopot swoją Operę Leśną, miała Stegna swój leśny amfiteatr. A co! Te sielskie obrazki skończyły się w styczniu 1945 roku, gdy przez wioskę zaczęły maszerować tysiące ludzi, poczynając od tysięcy wychudzonych więźniów pobliskiego obozu koncentracyjnego Stutthof zmuszonych do ewakuacji, która w kilkudziesięciostopniowym mrozie stała się prawdziwym Marszem Śmierci. Starą drogą na Gdańsk wędrowali także uciekinierzy – z dogorywających Prus Wschodnich w upiornym marszu uciekały nieprzebrane tłumy cywilów. Ten etap historii Stegny zakończył się tragicznie.

Początki polskiego osadnictwa w tej żuławskiej wiosce opisuje autor artykułu w „Dzienniku Bałtyckim” z lipca 1945 roku. Wraz z grupą repatriantów pojechał on z Gdańska do Stegny. 61 osób (17 rodzin), przeważnie kobiety i dzieci („Mężczyźni zginęli lub nie wrócili jeszcze”) załadowano na 3 ciężarówki, które jadą po terenach noszących ślady ciężkich walk. „Pokaleczone drzewa, wypalone domy, pływające w stawach trupy końskie znaczą całą trasę [...] W opustoszałych domach stopy starych papierów, pierza, bezużytecznych gratów. W jednym z domów na ścianie wisi dyscyplina [krótki bat o kilku rzemieniach] – symbol metod wychowawczych obywateli Trzeciej Rzeszy. Na znalezionej gdzieś w kącie fotografii rodzina niemieckich bauerów. Widać mieli tu dobrze, dostatnio ubrani, doskonale

⁴ Cyt. za: Jagoda Bilicka „Historia na Mierzei. Pędzący Mierzejanin – przedwojenny pociąg był atrakcją turystyczną nie tylko w lecie”. <https://nowydworgdanski.naszemiasto.pl/historia-na-mierzei-pedzacy-mierzejanin-przedwojenny-pociag/ar/c7-8903145>

odżywni. Wieloizbowe zabudowania, wyposażone w łazienki świadczą o wysokiej stopie życiowej mieszkańców [...]. Osada, do której przybył nasz transport – śliczna. Piękne, piętrowe budynki otoczone ogrodami. Posterunek milicji, gmina, drogeria, hotel Dom Polski, pierwsze placówki zorganizowanego życia polskiego na tych terenach. Jesteśmy w żuław-



Stara pocztówka, z Internetu

skiej osadzie Stegen, po polsku Ścieżkach”. Dalej autor opisuje, jak wójt lokuje przybyłych w pozostawionych pustych gospodarstwach. Repatrianci są zadziwieni bogactwem obejść: „izby duże, wygodnie urządzone kuchnia, łazienka, elektryczność [...], maszyna do szycia”. Ale najważniejsze, że osadniczka dostaje „15 ha żyznej ziemi, zabudowania gospodarcze i skromny inwentarz martwy”⁵. Artykuł przekonuje, że odważni osadnicy dadzą radę przywrócić zalane Żuławy do życia. Było prawie jak w popularnej piosence:

„Rozklekotana ciężarówka,
a dookoła obcy świat,
na głowie zmięta rogatywka,
a w głowie i w kieszeni wiatr!
Na zachód wiodły wszystkie drogi
z dalekich ziem, z dalekich stron.
Kto by pomyślał, Boże drogi,
że tutaj będzie jego dom!
Szli na zachód osadnicy
szlakiem Wielkiej Niedźwiedzicy...”⁶.

Bardzo trudne były te pierwsze lata, ale to temat na inny tekst. Ci, którzy wytrzymali, zaczęli powoli rozumieć tę ziemię. Uczyc się jej, może nawet niektórzy ją pokochali. Nowi przybysze na początek starali się oswoić nowe miejsce. Stąd nazwa Dom Polski dla hotelu. A także założenie szkoły. W czasie wojny uległ zniszczeniu stary budynek szkolny, zaadaptowano więc dom przy ulicy Gdańskiej, w którym dnia 1 grudnia 1945 roku otwarto dwuklasową szkołę podstawową. Pierwszymi nauczycielami byli pedagodzy ze zburzonej Warszawy, z Kresów, z Kaszub i Kieleckiego... Tu szukali swego nowego miejsca na ziemi. Tu przynieśli swe wysokie kompetencje i etos pracy.

⁵ „Niemieckie Stegen polskimi Ścieżkami”, „Dziennik Bałtycki” z 21 lipca 1945 r., nr 56. Cyt. za: Marcin Owsiniński „Żuławy na łamach »Dziennika Bałtyckiego« w latach 1945–1948 [w:] „Niedomknięte księgi. Żuławy w 1945 roku”, pod red. Tomasza Glinieckiego i Marcina Owsinińskiego, Sztutowo 2018, s. 121–122

⁶ Autor tekstu: Jacek Kasprzyk, kompozytor: Jan Tomaszewski. Rok wydania: 1969.



Mapa z 1940 r.

Katolicy przejęli piękny kościół, który pozostał po ewangelikach. Na zdjęciu z lat 30. ubiegłego wieku widać, że ławki stały wtedy inaczej. W kościołach protestanckich są one zorientowane nie na ołtarz a na ambonę, bo stamtąd głoszono Słowo Boże, które musiało docierać do wszystkich, stąd nakaz głoszenia jasnych kazań opartych na Ewangeli, wypowiedzianych głośno i wyraźnie. Dziś, jak w każdej świątyni katolickiej, ławki są ustawione przodem do ołtarza. Piękny kościół stegieński... Jak zaznaczyłem na początku, mam doń bardzo osobisty stosunek, bo tu przyjmowałem sakramenty i chodziłem na religię. Swoje przeżycia z nim związane opisałem w opowiadaniu „Mała Apokalipsa w zakrystii”. Kościół powstał na miejscu starego, o którym wiadomo, że istniał w 1465 roku. Nie zachowały się żadne informacje, co się z nim stało. „W 1609 r. niemiecki proboszcz Georg Klein wybudował mały drewniany kościółek, który spłonął w 1676. Ocalała jedynie wieża, organy, wyposażenie ołtarza oraz dzwon z okresu wojny 13-letniej. W miejscu starej świątyni 25 marca 1681 r. rozpoczęto prace nad budową nowej pod nadzorem Petera Willera – architekta, geodety, a także mechanika Miasta Gdańsk. Budowa barokowego kościoła, jak podają kroniki, była kosztowna (np. cieśla Peter Kamrath otrzymał: 2000 florenów, 8 beczek piwa, 15 beczek Krullingu i 6 świerków. Andreas Boshe za budowę wieży otrzymał 1150 florenów oraz drewno ze starej wieży, która ocalała). 29 listopada 1681 – w I Niedzielę Adwentu – ks. Martinus Kruger dokonał poświęcenia kościoła. 25 maja 1682 r. ukończono budowę chóru, zaś 15 czerwca 1683 rozbudowane zostały organy. Autorem wieży był Boshe, zaś hełmu, krzyża i chorągiewki – Daniel Madler. Ostatecznie prace ukończono 17 listopada 1683 – rok ten widnieje na chorągiewce, co jest błędnie interpretowane jako data budowy kościoła. Na nowej wieży umieszczono również dzwon z 1643 roku, ocalały po pożarze, który do dziś w każde południe wybija godzinę 12-stą, a także dwa większe – w 1732 roku.

W czasie II wojny światowej Niemcy wywieźli XVIII-wieczne dzwony. Dopiero w ostatnich latach, dzięki współpracy prof. Januszajtisa z ks. Knapikiem, jeden z nich powrócił do kościoła. Na ponad trzystuletnim dzwonie widnieje łacińska inskrypcja: *Domine, da pacem in diebus nostris*, co oznacza: *Panie, daj pokój naszym czasom*⁷. Ta nota historyczna korzysta z dzieła Heinz Albert Pohl,



Stara pocztówka, z Internetu

„Kronika kościoła w Stegnic/Kobbelgrubbe rozpoczęta w roku 1650”, ale jej autor zapomniał o tym napisać... Dostałem tę książkę od pana Kazimierza Dąbkowskiego, mojego nauczyciela matematyki w Szkole Podstawowej im. I Brygady Pancerniej im. Bohaterów Westerplatte. Jest to tak zwana tysiąclatka, wybudowana w ramach programu oświatowego, realizowanego w czasie jubileuszu Tysiąclecia Państwa Polskiego (1966). Kiedy zaczynałem w niej naukę w roku 1965, była zupełnie nowiutka. Pan Kazimierz był bardzo surowy, ale matematyki potrafił nauczyć. Był pasjonatem fotografowania i znawcą historii swej wsi – jest autorem wstępu do wzmiankowanej książki.

Piękny szachulcowy kościół zadziwia wspaniałym barokowym wystrojem. Wydaje nam się, że protestanci wygonili ze swych świątyń wszelkie ozdoby, obrazy, rzeźby i witraże... Ale w tym wypadku jest zupełnie inaczej. To istne barokowe *horror vacui*, czyli „tendencja artystyczna polegająca na tworzeniu dekoracji wypełniających całą powierzchnię obiektu, bez pozostawiania pustego miejsca”. Kościół Najświętszego Serca Pana Jezusa najbardziej słynnie z dwóch obiektów: z malowideł sufitowych i organów. Sufit kościoła pokrywa największy obraz w Polsce – jego powierzchnia to 450 m². Na płótnie wymalowano tam rozmaite sceny biblijne, a w centralnym miejscu mistrz Reinhold Schneider w 1688 roku wymalował Zmartwychwstanie Chrystusa; oprócz obrazu sufitowego namalował jeszcze 4 malowidła ścienne. Całość została w latach 1973–1980 poddana konserwacji. Zapamiętałem, że nie wszyscy byli z jej rezultatów zadowoleni. W swym opowiadaniu napisałem: „Najbardziej podobał się nam Sąd Ostateczny umieszczony za ołtarzem. Może nie był to Michał Anioł, ale wielkie biusty oddane z właściwą barokowi przesadą robiły na nas ogromne wrażenie. Ciekawe, że tak hojnie wyposażone przez naturę były tylko stojące w ogniu piekielnym grzesznice. Anonimowy malarz przedstawił zbawione kobiety po prawej stronie ołtarza dużo skromniej. Parę lat później malowidła poddano konserwacji – rezultat był oplatany, piersi w ogóle zniknęły. Nie było ich ani po prawej, ani po lewej stronie ołtarza. Rozmyły się i przestały rozpraszać myśli parafian”. A organy wybudowane na początku XX

⁷ https://pl.wikipedia.org/wiki/Ko%C5%9Bci%C3%B3%C5%82_Naj%C5%9Bwi%C4%99tszego_Serca_Pana_Jezusa_w_Stegnic



Tak wypoczywano

reprezentujących szkoły w Drewnicy, Jantarze, Mikoszewie, Tujsku i Steganiu. Sami oceńcie, czy zawodnicy mieli łatwe zadanie. Ja jestem dla nich pełen uznania i cieszę się, że trudna sztuka ortografii polskiej wciąż ma się dobrze. A to mała próbka: „Piękne położenie gminy sprawia, że jest ona wyjątkowo atrakcyjna dla żyjących tu ludzi i przybyszów. Wspaniały krajobraz oraz wyjątkowy mikroklimat przyciągają turystów. Podziwiają oni Morze Bałtyckie skrzące się łuską fal, a także cudowny sosnowy bór porastający Mierzęcę Wiślaną. Mrużą oczy patrząc na rzeki i rzeczki mieniące się mnóstwem kolorów, gdy zbliża się wieczór. Fascynujący jest widok różnobarwnej, wręcz drażniącej źrenice, powierzchni wody.



Witraż z 1681 r. upamiętniający 1. pastora

wieku są tak znakomite, że od 41 lat odbywa się w kościele Międzynarodowy Festiwal Organowy.

Dziś Stegna to już nie wioska rolników i rybaków. To przede wszystkim miejscowość turystyczna, w której dawne psie domki licznych ośrodków wypoczynkowych zajęły pensjonaty, hotele i apartamenty. Ale to temat na ciąg dalszy tej opowieści. Chciałbym tę część zakończyć fragmentem dyktanda, które od dwóch lat przygotowuję dla Gminnej Biblioteki Publicznej im. Stefana Żeromskiego. W tym roku do dyktanda o „Bursztynowy Kałamarz Wójta Gminy Stegna” przystąpiło 16 uczniów z terenu Gminy Stegna,

To ogromna przyjemność patrzeć na rosnące na Szkarpawie nenufary i grążele. Wczasowicze z zachwytem oglądają żółcące się od rzepaków żuławskie żyzne gleby. Oto główne atrakcje naszej gminy”.

W drugiej części artykułu napiszę o głównych atrakcjach gminy; między innymi o domach podcieniowych w Żuławkach, o rezerwacie Mewia Łacha, o twierdzy Gdańska Głowa...

Agnieszka Świercz-Karaś

SZKOŁA POD STARYM DĘBEM

LEKCJA 1: DZIECI

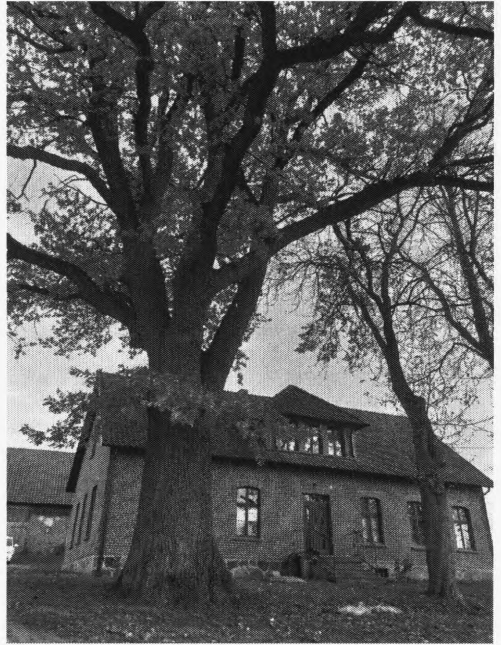
Państwo Dominika i Kamil Kaczorowscy od niespełna dwóch lat są mieszkańcami Szkoły pod Starym Dębem w Stażkach. Kiedy kupowali budynek, nie miał on prądu, wody, kanalizacji i był traktowany jak miejscowy śmietnik. Przez 15 lat niszczał niezamieszany, a mimo tego okazało się, że do dziś skrywa niejedną tajemnicę.

Stażki, mała miejscowość w gminie Mikołajki Pomorskie (powiat sztumski), do której dojechać można urokliwą (choć może nie do końca bezpieczną dla wszystkich aut) brukową drogą. W tym pięknym zakątku Powiśla swoją przystań znalazła para rekonstruktorów historycznych.

BRACIA

Początkowo do domu nie dało się wejść. Zastąpiły je nie tylko chaszcze wyższe od człowieka, ale też tony śmieci.

– Jeszcze za życia poprzedniej właścicielki miejscowi zrobili sobie tutaj śmietnisko. Proszę sobie więc wyobrazić jak to wyglądało po dekadzie, kiedy nikt tego nie pilnował. Tu było wszystko: azbest, lodówki – tragicznie to wyglądało. Na półkach stały 15 letnie weki pani Bronisławy, czyli ostatniej lokatorki. Mamy tu tzw. strop Kleina. Leżało na nim jakieś 15 ton gruzu ceglanego. Większość pomieszczeń była zrujnowana, zarzucona odpadami, zniszczonymi sprzętami, starym jedzeniem i „owczymi futrami”. Ostatnia właścicielka była już pod koniec życia bardzo ekscentryczna i zbierała masę śmieci. Ilość worków z ubraniami była zatrważająca. Metr po metrze, trzy miesiące odgruzowywaliśmy teren. Jesteśmy rekonstruktorami, każdy szczegół, każdy detal miał dla nas znaczenie. To było mnóstwo pracy – opowiada pan Kamil Kaczorowski.



Szkoła pod Starym Dębem



Aby dostać się do budynku trzeba było przedrzeć się przez prawdziwe chaszczce



Tak było, a tak jest

Państwo Kaczorowscy swoim remontem zajęli się z dokładnością archeologów. Krok po kroku wynosili śmieci, najpierw każdy z nich dokładnie oglądając. Po szkole została masa artefaktów i wiele pani Bronisława poukrywała, dzięki czemu nie zostały ukradzione. Tak odnaleźliśmy tablice emaliowane z nazwą szkoły, dzienniki, bibliotekę, szkolne ławki pamiętające lata 30. i sztumską szkołę dla niemieckich elit – tzw. Narodowopolityczne Ośrodki Wychowawcze (Nationalpolitische Erziehungsanstalt – NPEA, Napola). Tak któregoś dnia natrafili na lekko już nadjedzoną przez myszy starą torebkę. Zapewne ktoś inny z obrzydzeniem wrzuciłby ją od razu do śmietnika. Jednak nie prawdziwi miłośnicy historii. Oni ją dokładnie sprawdzili i okazało się, że był tam mały skarb. Znaleźli w niej oryginalną pieczętkę wiejskiej szkoły zamkniętej po reformie oświaty w 1981 roku. Była tam też książka „Twierdzenie Pitagorasa” wydana w latach 70. W książce natomiast był akt zgonu właściciela posesji, który pozwolił im poznać niesamowitą historię.

– Kiedy zainteresowaliśmy się tym domem, postanowiliśmy sprawdzić jego dzieje. Okazało się, że jego ostatnią mieszkanką była pani Bronisława Daszewska. Udało nam się

dotrzeć do jej aktu ślubu, z którego wynikało, że jej mężem był Eryk Daszewski. Dzięki dokumentom z nadgryzionej torebki wiemy, że nie do końca tak było. Pan Eryk urodził się bowiem w latach 20. jako Erich Deschner. Jego tatą był Georg (Jerzy) Deschner urodzony w Michałowie koło Susza w dawnym „Kreis Rosenberg” a matką Emilie Freudig z Gardei. Pobrali się w 1921 w Kwidzynie/Marienwerder. Miał dwa lata młodszego brata Herberta Deschnera. W czasie II Wojny Światowej jego ojciec zmobilizowany przez Wehrmacht dostał się do niewoli i zginął w sowieckim łagrze. Żonę Emilie Rosjanie również wywieźli na Syberię, skąd już nie wróciła. Kiedy skończyła się wojna, bracia mieli około 12–13 lat.

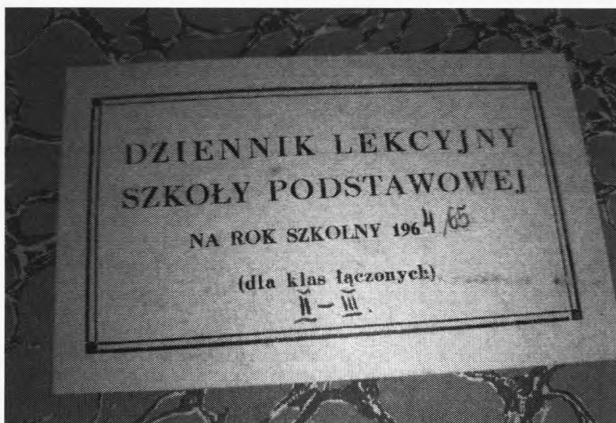
Zostali całkowicie sami. Mieli jednak szczęście i zostali adoptowani przez polską rodzinę spod Kwidzyna. To ona zmieniła braciom nazwiska na polsko brzmiące: Daszewscy – opowiada pani Dominika Kaczorowska.

Wydrapane inicjały E.D należące do Eryka/Ericha zostały na elewacji budynku do dzisiaj.

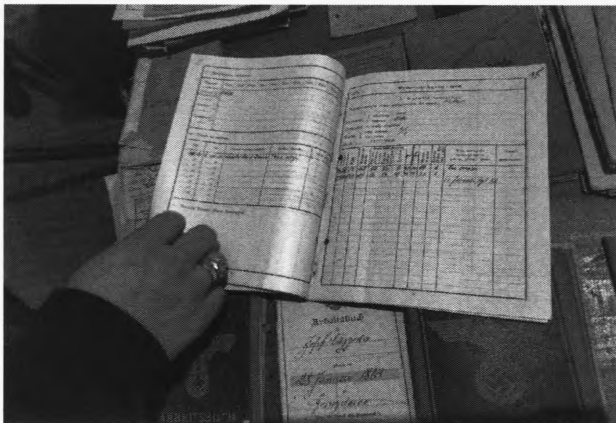
UCZNIOWIE

– Bronisława Daszewska, pedagog i kierowniczka szkoły w Sępowie oraz późniejsza właścicielka obecnej Szkoły Pod Starym Dębem, pochodziła z terenów aktualnie znajdujących się na terenie Białorusi. Z relacji siostry wiemy, że zawsze chciała być nauczycielką – kontynuuje opowieść Kamil Kaczorowski. W 1948 roku podjęła naukę w liceum pedagogicznym im. Adama Mickiewicza w Kwidzynie (pierwszym na naszych terenach), które mieściło się w budynku obecnej Szkoły Podstawowej nr 4 przy ulicy Warszawskiej. Przez 65 lat była miejscową nauczycielką, ewenementem, „wiedźmą na motocyklu”, człowiekiem otwartym na ludzi. W trudnych czasach PRL-u nie odmawiała pomocy mieszkańcom. Miało się to boleśnie zemścić. Traktowana jak miejscowa wizjonerka, starała się „nieść kaganek oświaty”. Nigdy nie miała swoich dzieci. Mówiło się, że była świetną nauczycielką, która potrafiła ujarzmić nawet największych hultajów. Niestety, duża część jej starań spełza na niczym. Regularnie okradana, samotnie mieszkająca kobieta, to tragiczna historia losu osoby niezrozumianej. Kamieniami zaczynają w nią rzucać dzieci jej uczniów. W wieku 78 lat chodzi codziennie sama 2 km do źródelka po wodę (kanalizacja w Szkole pod Starym Dębem założona została dopiero w 2021 roku).

– Kiedy pod koniec życia została zabrana do domu opieki, wśród mieszkańców okolicy rozeszła się plotka, że pani Bronisława ukryła w szkole złoto. Wandale zniszczyli piec w poszukiwaniu cennych kruszców – włamania stały się codziennością. Znaleźliśmy w szpargałach listy adresowane do siostry pani



Pamiątki po nieistniejącej już szkole



Wśród znalezionych w budynku szkoły rzeczy znalazło się wiele dokumentów



Kamil Kaczorowski z zapalem opowiadać potrafi o każdym detalu domu



Pani Kamila z synem

Bronisławy – Reginy, gdzie opowiada o tym, jak wygląda jej samotne życie – dopowiada pan Kamil. To bardzo przykra lektura – podlana samotnością, demencją, niezrozumieniem i ludzkim dramatem. Historie o przykrościach i trudach dnia codziennego. Nieustannym braku pieniędzy i niemożnością zadbania o ten wielki dom. Historie o relacjach rodzinnych przepełnione żalem i smutkiem.

Okoliczni mieszkańcy jeszcze za jej życia robią z jej posesji wysypisko odpadów. Kobieta umiera w Domu Opieki w Malborku 25 czerwca 2016 roku.

WNUCZEK

Śmierć pani Bronisławy zapoczątkowuje okres upadku szkoły. Jedyne strażnikami pozostają najbliżsi sąsiedzi, państwo Wiśniewscy, na których pani Bronisława mogła zawsze liczyć. Nikt już jednak prawdziwie nie dbał o obiekt. Spadkobiercy rozjeżdżają się po świecie. Kiedy państwo Kaczorowscy postanawiają kupić budynek, ma on 9 współwłaścicieli, którzy mieszkają w Polsce, Norwegii, Niemczech i Czechach. Rok czasu zajmuje odnalezienie rodziny pani Daszewskiej. Kupno szkoły wymaga, aby wszyscy oni zrzekli się swoich praw do budynku na rzecz jednej osoby, z którą dopiero możliwe było podpisanie umowy. Bardzo dużo pomógł w tej całej historii pan Jarosław, który jako spadkobierca chciał uratować ten budynek i uwierzył, że damy radę to zrobić. Jak wspominają państwo Kaczorowscy: cały czas wierzyli, że się uda, ale kłody pod nogi padały z każdej strony. Wspominają nawet ze śmiechem, że czuwała nad nimi nadnaturalna moc, która pomagała im „w chwilach beznadziejności”.

– Jakby to Pani inaczej określiła, jak nie działania sił wyższych? Poszukując siostr pani Bronisławy – Reginy, znałem tylko jej imię i przybliżoną nazwę miejscowości. Wziąłem więc 2 tygodnie urlopu w pracy i wyruszyliśmy „ku przygodzie”. Nie wiedziałem, jakie jest aktualne nazwisko tej pani, nie znałem adresu. Tylko wyczytana z niewysłanych listów nazwa Gniewoszyn. Tak, wiem, że nie brzmi to rozsądnie. 800 km, aby szukać kogoś po omacku. Pojechaliśmy tam, pod samą czeską granicę. Zatrzymaliśmy się pod kościołem z zaznaczonym na mojej mapie Gniewoszynem. Tam ktoś malował płot. Zapytałem go: Słuchaj, szukam takiej pani, która się tu z Pomorza przeprowadziła wiele lat temu. Pani

nazywa się Regina. Znasz kogoś takiego? – Jakież było moje zaskoczenie, kiedy mężczyzna odpowiedział: Tak, to moja babcia. Byłem tak zszokowany, że wszedłem do kościoła i powiedziałem: Chyba chcesz, żeby się to nam udało. To był początek serii różnych zdarzeń, nieprawdopodobnych, aż mnie czasem ciarki przechodzą, ale one naprawdę się zdarzyły. Zdarzyły się, abyśmy mogli tu zamieszkać. Spotkanie z wnuczką pani Reginy dodało nam wiary w przedsięwzięcie – wspomina pan Kamil Kaczorowski.

NASZE CHŁOPAKI

Dzisiaj w pięknie odrestaurowanym wnętrzu, w stylowo urządzonej kuchni „Szkoły pod Starym Dębem”, znajduje się napis „Trautes heim, glück allein”, czyli „nie ma jak w domu”. Kiedyś był to element pieca kaflowego, a dziś może być to motto państwa Kaczorowskich. Po wielu trudach, choć, jak sami mówią, jeszcze daleko do końca, udało im się stworzyć prawdziwy dom.

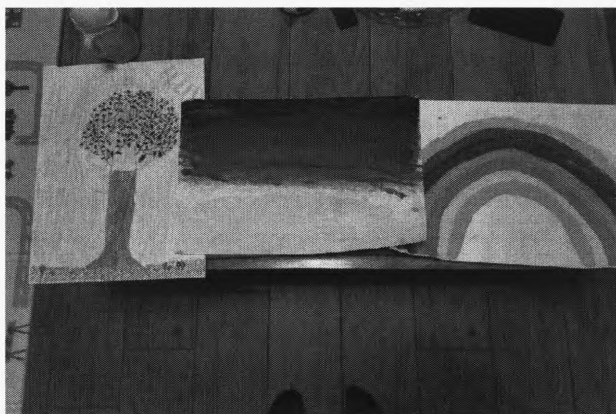
– Aby móc tu jak najszybciej zamieszkać, w trakcie, kiedy prowadzony był remont, przez 1,5 roku żyliśmy w blaszanym kontenerze mieszkalnym na 18 metrach kwadratowych z dziewięcioma kotami, psem i całym naszym dobytkiem. Na szczęście okazało się, że nawet zimą było tam ciepło. Mieliśmy prawdziwą przygodę życia, zwłaszcza, że Dominika była wówczas w ciąży. Oczywiście martwiłem się, jak to będzie, jak śnieg spadnie, czy nas nie zasypie. Na szczęście jednak wszystko się udało. Tuż przed porodem wprowadziliśmy się do domu. Nasz wspaniały syn Maksymilian, najlepszy gość na świecie, urodził się, kiedy już mieszkaliśmy tutaj – z dumą opowiada pan Kamil.

Od tego roku państwo Kaczorowski prowadzą Pogotowie Rodzinne Powiatowego Centrum Pomocy Rodzinie w Sztumie.

– Jest mnóstwo wspaniałych dzieci, którym można i trzeba pomóc. Każdy, kto ma możliwości,



Trautes heim, glück allein, czyli nie ma jak w domu



Prace wykonane przez jedno z dzieci będących pod opieką państwa Kaczorowskich

powinien spróbować zostać rodziną zastępczą. To trudna i pełna poświęceń misja, ale bardzo potrzebna – mówi pani Dominika.

Obecnie pod ich opieką znajduje się dwoje podopiecznych. Jedno z dzieci jest w wieku szkoły podstawowej. Pięknie maluje i wspaniale się uśmiecha.

– Niech pani spojrzy, na te obrazki, widzi pani, ile w nich staranności, jakie są dokładne. Na ich przygotowanie potrzebne było kilkanaście godzin. Taki jestem szczęśliwy, że tak wspaniałe dziecko do nas trafiło – opowiada o jednym z podopiecznych pan Kamil.

Jeszcze więcej emocji pojawia się, kiedy kwilić zaczyna niemowlak. Wcześniak trafił do Szkoły pod Starym Dębem kilka tygodni temu. Kiedy to się stało, pan Kamil (na co dzień policjant) wziął tydzień wolnego, aby pomóc żonie z noworodkiem.

– Nie wiemy co zrobimy, jak nam przyjdzie oddać to maleństwo. Ten delikatny wcześniaczek jest taki kochany – mówią z czułością małżonkowie.

Oprócz dwójki dzieci, które trafiły do rodziny w ramach pogotowia rodzinnego, państwo Kaczorowscy wychowują też swoje dziecko.

– O Maksymiliana staraliśmy się przez 8 lat. Mamy wielkie serca. Dominika jest wspaniałą żoną i przyjaciółką. Zawsze chcieliśmy móc dzielić się miłością. Ten dom powinien być pełen miłości. Po latach starań zdecydowaliśmy się więc na urodzenie dziecka metodą *in vitro*. Mieliśmy małe szanse, ale się udało. Dziś jesteśmy dumnymi rodzicami wspaniale rozwijającego się brzdąca, który każdego dnia zaskakuje mnie swoją dziecięcą mądrością – tłumaczy pan Kaczorowski.

Obecnie w budynku dawnej szkoły jak przed laty słychać wesoły gwar dzieci. Państwo Kaczorowscy deklarują, że chcą, aby tak zostało już na zawsze.

SZKOŁA POD STARYM DĘBEM

Budynek Szkoły pod Starym Dębem pochodzi z 1905 r., ale podpiwniczenie ma starsze. Jest dwukondygnacyjny i wykonany w większości z cegły oraz z drewna. Jego dach jest pokryty dachówkami holenderkami produkowanymi w lokalnej cegielni w Malborku. Podpiwniczenie ma ceglany łukowaty strop i ściany z kamienia polnego. Oryginalnie budynek miał na dole dwie olbrzymie sale lekcyjne, a na piętrze mieszkanie dla nauczyciela. Przed wybuchem II wojny światowej był bowiem wykorzystywany jako dwuklasowa wiejska pruska szkoła. Miejscowość wówczas nazywała się Stangenberg, po 1945 r. zmieniono nazwę na Stępowo, a po reformie z lat 70. znamy ją jako Stażki.

Życie w Szkole pod Starym Dębem śledzić można na profilu społecznościowym o tej samej nazwie.

Zdjęcia w tekście – Agnieszka Świercz-Karaś i archiwum rodziny Kaczorowskich

Wiesław Olszewski



RODZINNE STRONY – PODLASIE

CZEŚĆ III

MAMA

Lata wojny oraz zawirowań, które nastąpiły po jej zakończeniu, z dzieci uczyniły młodzież wyrosłą już z ławek szkolnych. Marian szykował się na dziedzica gospodarstwa. Dziewczyynom przydałby się jakiś zawód...

Doświadczenia minionego okresu nauczyły jak cennym jest tak zwany „fach w rękę”, który daje szansę na przeżycie pod każdą okupacją. Nie gwarantowało tego, a nawet było zagrożeniem, wykształcenie niezawodowe. Franciszek Morzy, przedwojenny urzędnik, musiał w zasadzie się ukrywać – spędził wojnę u rodziny pomagając braciom w ich gospodarstwach. Kto we wsi potrzebował napisać podanie, pismo do władz, dokonać pomiaru czy poradzić się w sprawach urzędowych – szedł do Franka. Jednak okupacja spowodowała swoiste odwrócenie przedwojennej drabiny społecznej, uprzywilejowane wcześniej warstwy inteligencji odczuwały pogłębiający się niedostatek.

Głównie więc te praktyczne względy sprawiły, że piętnastoletnią Jadzię, moją mamę, posłano na naukę do krawcowej w Siemiatyczach. Nie zagrzała tam jednak zbyt długo miejsc, uciekła do domu. Za żadne skarby nie chciała też rodzicom wyjawić powodu swojej decyzji. Po latach dopiero zdradziła swoją tajemnicę: krawcowa, u której zamieszkała, była młodą wojenną wdową, po ukojeniu rozpaczy chciała znowu zacząć żyć. Dom jej stał się miejscem schadzek innych poturbowanych wojną ludzi. Samogon lał się strumieniami. Ze wszystkimi tego faktu konsekwencjami. Dorastająca, atrakcyjna uczennica musiała czuć się zagrożona. Dla nastolatki wychowanej w duchu religijności i moralności był to szok, wstydziła się opowiedzieć o tym nawet rodzicom.

Po naradach rodzinnych zdecydowano, że będzie kontynuować naukę u innej mistrzyni, zamieszkując z rodziną ciotki Władzi Maciejewskiej – siostry matki. Tak też się stało. Działo już wtedy w Siemiatyczach gimnazjum i liceum, na ulicach widywała swych rówieśników, ale i wyraźnie starszych, „przerośniętych” młodych ludzi w charakterystycznych szkolnych czapkach ze srebrnym sznurkiem na otoku.

Jakże im zazdrościła.

Wstydziła się jednak powiedzieć rodzicom, że znowu chce porzucić rozpoczętą naukę i pójść do szkoły, została więc krawcową. Dobrą krawcową. Wieść o umiejętnościach rozeszła się szybko nie tylko po wsi i okolicy, ale i dalej. Jak wspominała – klientki miała nawet z odległego Białegostoku. W okresach pilnych prac w polu rodzice chcieli, aby też w nich pomagała, lecz sąsiadki nie pozwalały na to, zasypywały sżyciem, a dla udobruchania rodziców



Nowy Dwór Gdański ul Wejhera 1956 r fot. <https://fotopolska.eu>

szły za mamę w pole. Szyła więc, ale oddawała się i drugiej swej wielkiej pasji – czytała książki. Zawsze jakaś leżała obok maszyny, nierzadko kryła się z tym nawet przed rodzicami.

Po strasznej nocy kolejnych okupacji, mimo szczególnej rzeczywistości stalinowskiej Polski, ludzie chcieli żyć, bawić się, zwłaszcza młodzież. Organizowano zabawy, potańcówki, nierzadko dochodziło w ich trakcie do wiwatów z broni palnej. To podchmieleni „leśni” akcentowali swoją obecność. Odpusty we własnej parafii oraz w okolicznych były okazją do spotkań, goszczenia rodziny, znajomych, przyjaciół. Rodzeństwo Morzych pojawiające się parokonną bryczką z dobrze utrzymanymi końmi było towarzystwem mile widzianym. Później wygodniejszymi i niemniej szykownymi pojazdami stały się rowery.

Szczególnym czasem był okres świąt i następujących po nich zapustów, czyli karnawału, czas kołędowania i zabaw, przemarsze przebierańców i kołędników. Święta były obchodzone w zasadzie dwa razy: katolickie i prawosławne. Wsie były mieszane wyznaniowo i zapraszano się nawzajem. Krynki były wsią prawie zupełnie katolicką, lecz kilka rodzin wyznawało obrządek wschodni. Kiedy oni świętowali, pozostała większość, nawet nie świętując, unikała poważniejszych prac, zwłaszcza hałaśliwych czy w inny sposób kolidujących z atmosferą duchowości.

W szczególny sposób witano Nowy Rok. Zabaw tanecznych nie urządzano, ale też młodzież nie siedziała w domach. Rozbawieni, młodzieńcy zwłaszcza, dokonywali rozmaitych psot. Chłopcy zamalowywali pannom okna, zaś te smarowały kłamki w domach, w których mieszkali kawalerowie. Do smarowania używano mieszanki smoły, popiołu czy tłuszczu. Pannom wolno było myć okna dopiero w Nowy Rok¹. Rozrzucono gospodarzom porąbane drewno, zatykano kominy, ściągano wrota stodół i wynoszono daleko poza obejście. Szczególnie finezyjnym „psikusem” było rozmontowanie któremuś z gospodarzy wozu (mimo, że starali się ich pilnować) i złożenie powrotnie lecz na szczycie dachu stodoły. Nazajutrz musiał „przekupić” zuchów, by zechcieli wóz ponownie na ziemię sprowadzić.

¹ Krawczak Tadeusz, *W szlacheckim zaścianku*, SONOR Ltd. Warszawa 1993.



Nowy Dwór Gdański ul Wejhera 1956 r fot. <https://fotopolska.eu>

Dziadek nadal był sołtysem, obiecując żonie i córkom, że to ostatnia kadencja. One miały dość, zwłaszcza, że świeży jeszcze był w pamięci okres okupacji niemieckiej, ciągle wizyty żandarmów, policjantów, urzędników. Trzeba było częstować, stawiać na stół samogon, dzięki temu nie myszkowali po wsi, sieli mniejszy postrach. Gdy u jednego z sąsiadów znaleźli bimbrowniczą aparaturę, dziadek powiedział, że on samogon pędzi dla niego, by miał czym poczęstować Niemców. Oddali zarekwirowany sprzęt. Po przejściu frontu nowi intruzi: milicjanci, urzędnicy, agitatorzy i rozmaitego autoramentu grupy zbrojne, z których każda tylko siebie nazywała „prawdziwym polskim wojskiem”. Zebrania odbywały się w mieszkaniu dziadków, innego lokum nie było. Po każdym kałuże błota, śniegu i dom przesiąknięty machorką. Po zakończeniu, często późno w nocy, babcia z córkami musiały to sprzątać. Na kolejne wybory poszedł więc dziadek przyrzekając, że kandydować nie będzie. Pojawiły się jednak usilne nalegania mieszkańców, wielu nie pamiętało już, że sołtysem mógł w ogóle być ktoś inny. Poprosił o czas na konsultację z rodziną. Gdy wszedł do mieszkania i nie zdążył nawet wspomnieć po co, żona i córki wybuchły szczerym płaczem. Nic nie powiedział, nacisnął czapkę i wyszedł. Tak zakończył swą wieloletnią społeczną misję.

Rodzice poznali się na weselu wspólnej kuzynki, wspomianej tu Jadwigi Szulc, w Olędрах. Sakramentalne „tak” powiedzieli sobie w kościele parafii Najświętszej Maryi Panny Różańcowej w Kłopotach-Stanisławach w Walentyńki roku 1955. Mama przeniosła się na Żuławy.

Nie było łatwo: nowe, zupełnie nieznane otoczenie, daleko od rodziny i stron rodzinnych. Wprawdzie niedaleko mieszkała rodzina ciotki Rózi Adamowiczowej, siostry matki, ciocia jednak już nie żyła. Dużo ciężkiej pracy w gospodarstwie, o szyciu trzeba było zapomnieć, no chyba dla dzieci później; nocami lub w deszczowe dni, kiedy nie dało się pracować w burakach.

Zamieszkała wspólnie z dziadkami, a babcia Amelia, bardzo delikatnie mówiąc, nie była łatwa we współżyciu. Miało to wpływ na małżeństwo, były więc rozstania i powroty. Pojawiały się dzieci, rosły, do szkół poszły, były troski, były radości. Tak mijał dzień za dniem, miesiąc za miesiącem, rok za rokiem. Żuław nigdy nie pokochała, źle się tu czuła, chorowała, tęskniła. Za to w czasie rzadkich i krótkich wyjazdów do rodziny rozkwitała, stawała się radosną, szczęśliwą. Uświadomiłem to sobie w pełni dopiero po wielu latach.

Dziadek Antoni zmarł wcześniej, miał 60 lat, gdy zabiła go choroba nowotworowa. Miałem wtedy dwa lata, więc go nie pamiętam. Długo jednak żyła w rodzinie opowieść, w której obaj występujemy. Na krótko przed śmiercią przyjechał w odwiedzin do córki. Pewnie miał świadomość, że to pożegnalna wizyta. Było to w dniach, gdy kończono u nas podłączanie elektryczności. Trzymał mnie na kolanach, gdy po raz pierwszy zabłyśła w domu żarówka. Ja, podekscytowany tym niezwykłym zjawiskiem, zawołałem: *Dziadziu, Bozia!*

Również przedwcześnie odszedł mój ojciec, też przegrał walkę z nowotworem. Mama przeprowadziła się wtedy do nas, do domu, który zbudowałem również z myślą o rodzicach. Była już na emeryturze, już nawet wnuki podrosły i nie potrzebowały opieki. Mogła w pełni poświęcić się swoim pasjom: czytaniu i kwiatom w domu i w ogrodzie. Wnuczki zaopatrywały ją w książki, najpierw udostępniając swoje, później trzeba było korzystać też z biblioteki. W pewnym momencie zapragnęła bliższego kontaktu ze słowem pisanym, najpierw skrycie, później się ujawniła – zaczęła pisać wiersze.

Pisała o tym, co kochała, serce miała wielkie. Kochała nie tylko Podlasie, kochała swoje dzieci, a zwłaszcza wnuczki i wnuków. O nich i dla nich pisała.

O Oli:

*Ola gdy była matą dziewczynką
wyglądała jak laleczka z bajki.
Włosy miała jak len białe
A oczka niebieskie jak dwie niezapominajki.*

*I jak z bajki Czerwony Kapturek
do babci przychodziła.
Pomagała jej w każdej pracy
Babcia się z tego cieszyła.*

*Lecz lata biegną tak szybko
Oli też nie omijają.
Już nie jest matą dziewczynką
bo 18-te urodziny się zbliżają.
(...)*

Kasi na Urodziny:

*Kasiu piętnaste urodzinki
to nie jest taka zwykła data.
Bo z tej nieletniej dziewczynki
wchodzisz w prawdziwe młodzińcze lata.
(...)*

Do Ani:

*Ludzie zauważają Twoją urodę
mówią, że masz piękne włosy i oczy.*

*Ale nie zwracaj uwagi na szaloną modę
bo ona często złą drogą kroczy. (...)*

*Kiedy po latach, jak nie zniszczysz tego wiersza
może będziesz go kiedyś czytała.
To przypomnij, że pisała go babcia,
Która Cię bardzo, bardzo kochała.*

Powstała rymowanka dla Dorotki i Martusi: (...)
*Najpierw zrywały stokrotki
Na piękny wianuszek
Dla naszej Dorotki
A potem zrywały dziewczeczki
Mleczce i niezapominajki
Dla naszej Marteczki (...)*

Wyrażała swój zachwyt dla przyrody, obserwując ją, zmieniające się pory roku, o „Maju”:

*Gdy majowe słońce świeci
Cały świat tak pięknie pachnie
I wesolo krzyczą dzieci
Nawet starzec się uśmiechnie
W maju jest tak kolorowo
Kwitną kwiaty, bzy pachnące
Drzewa mają zieleni nową
I kwitną mleczce na łące
W sadach kwitną wszystkie drzewa
Tak bielutko i obficie
Chciało by się tak powiedzieć
Żeby maj trwał całe życie.
Po maju kolej na „Lato”:*

*Lato to piękna pora roku
Gdy wszystko rośnie i kwitnie
Świat nabiera cudownego uroku
Najpiękniej wygląda krajobraz
Gdy dojrzewają zboża
Wtedy jest dzień najdłuższy
I świeci poranna zorza
(...)*

*Przejdź polną drogą i popatrz
Zmęczony usiądź na progu
Za wszystko co Cię otacza
Szczерze podziękuj Bogu.*

I o pięknej, choć nie zawsze, jesieni: (...)
Nie zawsze jesień jest tak piękna
Są czasem dni chmurne i szare
Za oknem deszczyk siąpi
I słychać jak tyka zegarek
To wszystko jest takie normalne
Tak w pogodzie jak w życiu
Czasem się trzeba pośmiać, pocieszyć
A czasem popłakać w ukryciu.

Przelała na papier swe serdeczne przeżywanie wizyty Ojca Świętego:
Pielgrzymka Ojca Świętego
Wszystkich wzrusza i cieszy
 (...)
Witają Go wszyscy tak serdecznie
Duchowni, młodzież i żołnierze
Pan Prezydent przemawiał tak pięknie
I wydaje się, że mówił szczerze
 (...)
Ojciec Święty też z żalem
Żegnał swoją Ojczyznę kochaną
Z nadzieją, że jeszcze tu wróci
Jeśli będzie od Boga to dano.

Swe długie życie, które minęło tak szybko, podsumowała wierszem „Życie”:
Uptywa szybko życie
Tę piosenkę każdy zna
A młodzi w to nie wierzą
Że życie tak gna i gna
Wszystko tak szybko przemija
Nikt tego nie dogoni
Jedno co nam zostało
To biały szron na skroni
Gdy sięgnę pamięcią wstecz
Przypomnę dni piękne i szare
Co dzień je sobie wspominam
Mam nadzieję, że przeżyłam je w miarę
Nie ma co tak narzekać
Starość ma swoje uroki
Choć bywa czasem tak smutna
I łza zakręci się w oku
Lecz czasem słońce zaświeci
I jakaś radość zawita

*Za dobre wnuki i dzieci
Modlę się co dzień do syta
Co wieczór siadam w fotelu
Nastawiam Radio Maryja
I proszę niech łaska Boża
Nigdy żadnego nie mija.*

Wśród zachowanych zeszytowych kartek jest jeszcze późniejsza próba pisania, ręka jednak drżała już zbyt mocno, koślawe litery trudno rozczytać. Stan zdrowia nie pozwolił też niestety w pewnym momencie czytać. Przeżyła 91 lat, odeszła tak, jak żyła: po cichu, nie przeszkadzając nikomu, we śnie, siódmego marca 2021 roku.

Moja córka Olga, żegnając Babcię w imieniu całej rodziny, powiedziała w trakcie ceremonii pogrzebowej:

Babciu,

jestes główną bohaterką moich najwcześniejszych wspomnień z dzieciństwa. Stary dom wśród pól, a w nim jego serce – babcia – rano pijąca kawę z mlekiem przy oknie z małej białej filizanki w drobniotkie kwiatki, wieczorem – grzejąca dla mnie pierzynę na piecu kaflowym. Skarpetki robione na drutach, pięknie opowiadana bajka o „Dwóch Dorotkach”, zawsze zadbane wielobarwny ogród kwiatowy i czas toczący się rytmem przyrody. Pamiętam Twoją cierpliwość, ciepły uśmiech, zaradność, pracowitość i wielkie serce.

Twoje życie nie było usłane różami. Wiele razy opowiadałaś swoje wspomnienia z II wojny światowej. Kolejne okupacje, terror, strach, walenie do okien w środku nocy i okropna niepewność, kto tym razem stoi po drugiej stronie i czego zażąda. Tylko zbieg okoliczności sprawił, że nie wywieziono rodziny na Syberię.

Mnie jednak najbardziej utkwiło w pamięci Twoje wspomnienie z momentu wybuchu wojny i największy żal o to, że nie możesz już chodzić do szkoły, którą tak uwielbiałaś.

Los nie pozwolił Ci zdobyć wykształcenia, podobno z nieukrywaną zazdrością patrzyłaś na dziewczyny dumnie noszące czapki licealistek. A ja wspominam, jak jeszcze nie tak dawno przychodziłaś do mnie prosić o kolejne książki. Zawsze najbardziej ceniłaś literaturę piękną, znałaś ją świetnie. Zapewne to Twoja wiara w moc nauki i wiedzy sprawiła, że dziś wszyscy jesteśmy wykształconymi ludźmi.

Był moment w Twoim życiu, kiedy sama zaczęłaś tworzyć sztukę – pisałaś wiersze, które za chwilę pozwolę sobie zacytować. Wiersze o tym co dla Ciebie było najważniejsze: o nas i o swojej ukochanej rodzinnej wsi na Podlasiu:

*„Piękne kochane Podlasie
To moje rodzinne strony.
Tu słońce świeci inaczej
I biją kościelne dzwony
W mojej rodzinnej wiosce
Stały cicho skromne chaty
Lecz wydawały się piękne
A przy nich w ogródkach kwiaty
Tam przeżyłam tak szczęśliwie
Dziecięce i młode lata,*

*Pozostały mi tylko wspomnienia
I miejsce gdzie stała rodzinna chata.*

Często opowiadałaś o swoim dzieciństwie z wielkim sentymentem do Krynek, w których je spędziłaś, o miejscu i czasie szczęśliwym, beztruskim i ciepłym.

Wiem jak trudno było Ci żyć na Żuławach, do których nigdy się nie przyzwyczaiłaś. W miejscu obcym, tak odległym, w zasadzie bez możliwości kontaktu z najbliższymi – w latach 50 ubiegłego wieku to musiał być dla Ciebie koniec świata. Do tego niewyobrażalnie wręcz ciężka praca w gospodarstwie, czworo dzieci, tęsknota i wiele nieprzespanych nocy. A jednak w szkole to Twoje dzieci stawiane były jako wzór czystości, zadbania i dobrego wychowania.

*„Los mnie rzucił tak daleko
Przeżyłam tu wiele lat.
Lecz nie zapomnę rodzinnej wsi
I tego krzyża co postawił mój dziad”*

Przez ostatnie lata byłaś tak krucha, niepewna każdego ruchu i gestu. Zawsze zauważałaś i tak bardzo potrafiłaś docenić każdy najdrobniejszy gest i uśmiech skierowany w Twoją stronę. Teraz ja i wszyscy Twoi bliscy chcemy wyrazić swoją nieopisaną wdzięczność za to, że stworzyłaś naszą niemałą przecież rodzinę, za to, że byłaś spoiwem łączącym nas zawsze i mimo wszystko.

Od długiego czasu bardzo chciałaś wybrać się do swojej mamusi i swojego tatusia, o których zresztą nigdy inaczej nie mówiłaś.

Dzisiaj z nimi jesteś. Wierzymy, że znowu szczęśliwa.

Żegnaj Babciu...



*Wigilia 2017 r. Jadwiga Olszewska w otoczeniu dzieci wnuków i prawnuków.
Fot. Krzysztof Rudzik*



W krótkich słowach opisze powstanie komp. w 1919 roku. W dzień 4. stycznia 1919 r. w godzinach wieczornych grupy zorganizowane uprzednio w tym samym miejscu, w czasie zajęcia interesny przez Niemców, dwóm kolejom i w czasie drogi. Wobec rewizji niemieckiej powstanców



Leszek Sarnowski

ZAKWAS Z DZIADKIEM

CZYLI Z PIEKARNI DO POWSTANIA





*Barbara i Franciszek Milińscy z synem Edwardem ok 1930 r.,
fot. archiwum rodzinne*

Barcin to niewielkie, urokliwe miasteczko na granicy Pałuk i Kujaw. Umowną granicą była rzeka Noteć, leniwie wijąca się przez środek miasta. Prawa miejskie Barcin uzyskał w 1541 roku. W „Słowniku geograficznym Królestwa Polskiego” z końca XIX wieku czytamy, że miasto posadowione było „na gruncie bagnistym, z powodu wilgotnego powietrza często febry tu grasują”. Mieszkało tu wówczas

936 osób (ok. 17% analfabetów) – 377 ewangelików, 422 katolików i 137 żydów. Był jeden lekarz, apteka, a w ciągu roku odbywały się tu cztery jarmarki, na których handlowano bydłem i końmi. Pod koniec XIX wieku uruchomiono linię kolejową Inowrocław-Wągrowiec, założono Bank Ludowy, Towarzystwo Gimnastyczne „Sokół”, nową szkołę, gazownię, gorzelnię i dwa kościoły – katolicki i ewangelicki oraz synagogę. Jeśli się wspomni, że w XVI wieku działali tu Bracia Czescy, to można powiedzieć, że było tu wielokulturowo i ekumenicznie. Przybywało mieszkańców i w 1939 roku było już ich ponad dwa tysiące.

Najpierw była tu Polska. Potem Prusy, Księstwo Warszawskie, znowu Prusy, Polska, Kraj Warty, czyli Rzesza Niemiecka, i znów Polska. Kolejne granice i kraje przetrwał niewątpliwie język. Zamiast tak, dalej mówi się che, na stryja wuja, strug to hebel, garnitur – ancug, noga – szkita, kromka chleba – sznytka, pociąg – bana, mały stółek to ryczka, a wariata nazywa się szplinem.

Jeden most samochodowy w centrum, drugi drewniany, pieszy, w drodze na cmentarz i do młyna. Trzeci najpierw drewniany, a po wojnie betonowy, w ciągu drogi Inowrocław-Bydgoszcz. Drewniany most, w moich czasach nazywany garbatym, z platformami-przystankami na wysokości około dwóch metrów nad lustrem wody, był prawdziwym rarytasem dla młodych. Od połowy kwietnia, kiedy pierwsze promienie słońca rozgrzewały leniwe wody do znośnej temperatury, pojawiała się tu gromada dziarskich młodzieńców, by popisywać się swoją zwinnością w skokach do wody. W tym miejscu Noteć była dość głęboka (i czysta), więc było bezpiecznie, przynajmniej na tyle, by bez obawy wzbudzać podziw w oczach dziewcząt, które z wielkimi oczami, przyklejone do drewnianych poręczy na górnym pomoście, wypatrywały swoje potencjalne, jak się wtedy mówiło, sympatie. Przy moście drogowym, w jednym z secesyjnych budynków, mieściła się gospoda „Noteć” i kino „Kujawiak”. Tak było po wojnie, kiedy kino już dotarło na prowincję. Seanse były raz w tygodniu, ale trzeba było uzbierać co najmniej dziesięciu chętnych, by projekcja się odbyła, co nie zawsze było łatwe.

Dom na ulicy 1 Maja, w centrum miasta, przy rynku, był oazą spokoju, ciepła i beztroski. Mieszkała tam moja babcia Basia i dziadek Franek – rodzice mojej mamy Łucjany. Okno z widokiem na brukowany, a potem betonowy rynek, z pompą na środku (stoi odnowiona i czynna



Moi dziadkowie, drugie okno od lewej, w latach 30. XX wieku w Barcinie, fot. archiwum rodzinne

do dziś, za co chwala władzom miasta). Codziennie chodziłem z dwoma wiadrami po wodę. Smaczna, krystaliczna, doskonała. Maczało się w niej chleb i posypywało cukrem. Rarytas.

Nie wiedziałem, że dziadek był powstańcem wielkopolskim. Nigdy się nie chwalił, a ja nie pytałem. Poza tym, w moich młodzieńczych oczach niewiele by to znaczyło, bo w kwestii powstań nic nie wiedziałem, poza komendą padnij-powstań wydawaną na zbiórkach harcerskich. Dla mnie dziadek był przede wszystkim piekarzem. I to było wtedy fascynujące. Pozwalał czasem wpaść do piekarni. Żeliwne bębny, do których wrzucało się przygotowany wcześniej zakwas (mieszanekę mąki z wodą, zaprawioną drożdżami, bo pewnie nie było czasu, aby ekologicznie czekać, aż dzikie drożdże same się wytworzą przy odpowiedniej temperaturze). Metalowe ramiona urządzenia mieszały całość. Wyskakujące bąble świadczyły, że coś tam się ważnego dzieje. Dziadek nie tłumaczył, bo był zajęty, ale ja zaglądałem ciekawym, cóż tam takiego wyskoczy. Bąble pękały i nic z nich, poza kwaśno-drożdżowym powietrzem, nie ulatywało. Kiedy ciasto się już wyrobiło, dziadek wyciągał po kawałku i urabiał w rękach. Czarował, uklepywał, rozciągał, potem kroił i w końcu formował kształtne bochny. Na koniec nacinał w dwóch-trzech miejscach, smarował jakimś smarowidłem i odkładał. Jak się trochę uzbierało, nakładał na drewnianą płaską łopatę na długim kiju i wsuwał do rozgrzanego pieca. Po kilkunastu minutach wyciągał z pieca pachnący bochen chleba. Czasem pozwalał kawałek uszczknąć, a ciepły był najlepszy.

Dziadek Franciszek Miliński urodził się 14 lutego 1902 w Barcinie. Tego samego dnia, tylko 85 lat później, urodziła się moja córka Martyna. Oboje więc walentynkowi, choć za czasów dziadka Franka nikomu o takich fanaberiach nawet się nie śniło. Ja też jestem lutowy Wodnik, choć trzy dni i 57 lat później niż dziadek. Franciszek był synem Józefa Miłńskiego (1871–1934) i Rozalii z domu Kupidura (1870–1956). Był ich jedynym

synem. Rodzice mieli jeszcze siedem córek – Franciszka, Pelagia, Jagoda, Kazimiera, Marynia, Bronisława, Waleria. Franek ukończył siedem klas szkoły podstawowej w Barcinie. Ojciec Józef był drobnym kupcem i w takim właśnie fachu widział przyszłość jedyne go syna. Chciał mu przekazać sklep kolonialny, który był prawdziwym oknem na świat. Były tam towary z Gdańska, Poznania, Berlina, Monachium, Frankfurtu, a zatem zewsząd. Młody Franek bardzo lubił zaszywać się tam, by powąchać kawałek świata. Bliżej mu było jednak do piekarni. Kiedy skończył 14 lat, ojciec, chcąc nie chcąc, posłał go na naukę do mistrza piekarskiego Helmiga w Barcinie. Niemiec, ale znał się na rzeczy. Trzeba było łączyć czas między harcerskimi zbiórkami, a nauką zawodu, bo od dwóch lat dorastający Franek był harcerzem. Biegali do pobliskiego lasu, by tam szkolić swoje umiejętności w maskowaniu, tropieniu, czołganiu, etc. Franek bardzo to lubił, nawet bardziej od wieczornego mieszania chlebowego ciasta z zakwasem na poranny, pachnący chleb. Matka Rozalia lubiła za to świeże bułeczki, które syn po nocnej zmianie przynosił do domu.

POWSTANIE I WOJNA

Zawsze miałem takie wrażenie, że dziadek Franek nie bał się niczego. A jak mogło być inaczej, skoro już jako nastolatek dostał do ręki broń i wcale nie był najmłodszym wśród lokalnych powstańców wielkopolskich, którzy dostąpili takiego wyróżnienia. Jak miał 12 lat wybuchła pierwsza wojna. Do Barcina docierała tylko dalekimi odgłosami, listami rodzinnymi, wykazem poległych i nadzieją. Wielu Polaków wcielono do niemieckiego wojska i wielu z wojny nie wróciło.

Na początku grudnia 1918 roku dziadkowi brakowały trzy miesiące do siedemnastu lat, a widzimy go już w składzie Straży Ludowej czyli barcińskiego „Sokoła”, który był jednym z ważniejszych stowarzyszeń patriotycznych w mieście. Mimo, że z komunikacją nie było wówczas najlepiej, to wieści o przyjeździe Ignacego Paderewskiego 27 grudnia 1918 roku do Poznania i wybuchu powstania szybko dotarły do Barcina i natychmiast przystąpiono do działania. Łączność telefoniczna była ograniczona i w rękach niemieckich, ale do Poznania, gdzie zaczęło się powstanie, słano barcińskich emisariuszy. W nocy 3 stycznia 1919 roku, na tajnym zebraniu miejscowego „Sokoła”, podjęto decyzję o przystąpieniu do powstania i następnego dnia zaczęto obsadzać wszystkie urzędy, zakłady pracy i rekwirować broń Niemcom, głównie cywilom, bo większość niemieckiego wojska odeszła z Barcina, by swoje siły wojskowe koncentrować w innych miejscowościach (Żnin, Łabiszyn, Inowrocław). Na budynkach urzędowych i prywatnych pojawiły się biało-czerwone flagi, pierwsze po 147 latach zaborów.

Na miesiąc przed ukończeniem 17 lat, w styczniu 1919 roku, młody Franek wstąpił na ochotnika do kompanii barcińskiej powstańców wielkopolskich. Pierwszym sprawdzianem niedoświadczonych powstańców były walki o pobliski Łabiszyn 11 stycznia 1919 roku. Było to w zasadzie pospolite ruszenie. W Barcinie skoncentrowano siły powstańcze z Kruszewicy (dowódca podporucznik Kazimierz Dratwiński), z Pakości (dowódca Władysław Poczekaj) i Barcina (dowódca kapral Leon Krukowski). Łącznie: 172 słabo uzbrojonych młodzieńców. Akcją kierował, przez nikogo nie mianowany Władysław Poczekaj, który decyzje podejmował kolegialnie z dowódcami poszczególnych oddziałów. Jak podkreślają znawcy przedmiotu, w normalnych warunkach wojennych pospolite ruszenie nie miałoby szans, aby zwyciężyć.

Tu jednak liczył się entuzjazm, hart ducha, odwaga na granicy z brawurą. Oddziały polskie zostały skoncentrowane na wschód od miejscowości Kania, leżącej na południe od Łabiszyna. Stamtąd 11 stycznia wykonano marsz drogą Kania–Łabiszyn. Na wysokości Łabiszyna Wsi dokonano podziału kolumny na mniejsze pododdziały, które okrążyły miasteczko. Po zamknięciu pierścienia od północy, znajdujące się tam pododdziały rozpoczęły atak na miasto. Odgłosy strzelaniny były równocześnie sygnałem dla pozostałych oddziałów. Szybki i zdecydowany atak ze wszystkich stron równocześnie, wsparty informacjami uzyskanymi od miejscowych Polaków, doprowadził do kapitulacji niemieckiej załogi i zdobycia Łabiszyna. Jednym z oryginalnych powstańców kompanii barcińskiej był Chińczyk z pochodzenia, Zdzisław Józef Czendefu, który trafił do Barcina w 1905 roku. Jako sierotę przysparzył go wcześniej jeden z polskich oficerów walczący w wojnie rosyjsko-japońskiej. Był barcińskim stolarzem, a za udział w powstaniu został odznaczony Wielkopolskim Krzyżem Powstańczym. Taki krzyż otrzymał także mój dziadek uchwałą Rady Państwa z 17 stycznia 1958 roku.

Kiedy walki ustały, Franciszek brał udział w rewizjach w poszukiwaniu broni u Niemców. Pełnił służbę na różnych posterunkach w okolicy Barcina i w miejscowym szpitalu polowym, do którego zwożono rannych powstańców. Zatrudniony był też przy aprowizacji i rozwożeniu amunicji. Później przydzielony został do 58 Pułku Strzelców Wielkopolskich. Nie on jeden z rodziny angażował się w zryw powstańczy. Bo kiedy Franek biegał po mieście w poszukiwaniu uzbrojonych Niemców, siostra Jego matki, Pelagia Kupidura, przygotowywała powstańcom jedzenie.



Weterani powstania wielkopolskiego z Barcina w 1930 r. Franciszek Miliński stoi drugi od lewej, fot. arch.rodzinne



Weterani powstania wielkop z Barcina w 1937r. Franciszek Miliński stoi, drugi od lewej, fot. Barcińska Izba Tradycji



Od lewej, Franciszek Miliński, Wojciech Cieśliński, Ludwik Pijarowski, Julian Bachiński, przy grobie poległego powstańca w Barcinie, fot. arch.rodzinne

Po zwycięstwie powstania dziadek podjął pracę w piekarni jako pomocnik piekarza. To nie był jednak koniec jego żołnierskiej przygody. W czerwcu 1920 zostaje powołany do służby wojskowej i skierowany do 15 Pułk Ułanów Wielkopolskich (później–Poznańskich) w Poznaniu, pod komendą Władysława Andersa. A był to trudny okres dla młodej polskiej państwowości, bo trwała wojna polsko-bolszewicka o kształt naszej wschodniej granicy.

15 Pułk Ułanów Poznańskich wyruszył na front litewsko-białoruski 1 sierpnia 1919 roku w ramach 14 Dywizji Piechoty. Jego szlak bojowy prowadził przez: Mołodeczno, Małe Gajany, Mins, Ihumień, Bochuczewicze i Bobrujsk. W Bobrujsku żołnierze przebywali do maja 1919 roku. Pułk dawał się mocno we znaki żołnierzom radzieckim, bo nazywano ich (od czerwonych otoków na rogatywkach) rogatymi, czerwonymi czortami. W tym okresie pułkiem dowodził ppłk Władysław Anders. W maju 1920 brał udział w zatrzymaniu ofensywy radzieckiej 16 Armii biorąc do niewoli znaczą część żołnierzy nieprzyjacielskiej brygady kawalerii. W czerwcu do pułku dołączył mój dziadek. W lipcu 1920, wskutek radzieckiej ofensywy, wojska polskie zostały zmuszone do odwrotu. Pułk osłaniał odwrót swojej macierzystej dywizji. Podczas walk pod Iwachnowiczami, 29 lipca, ranny został dowódca – ppłk Anders. Podczas kontrofensywy polskiej 16 sierpnia pułk przełamał obronę radziecką pod Maciejowicami. Kolejne walki stoczył podczas Bitwy nad Niemnem. Następnie, w drugiej połowie września 1920, kawalerzyści walczyli pod Międzyrzeczem, Zelwą i Snowami. Ostatnią miejscowością, jaką zajęli żołnierze, był Mińsk, z którego wycofano się na zachód po podpisaniu zawieszenia broni. 16 stycznia 1921 pułk wkroczył do Poznania pod dowództwem Władysława Andersa. Za zasługi podczas wojny wszystkie pułki 14 Dywizji Piechoty zostały odznaczone krzyżem *Virtuti Militari*. Dekoracji sztandaru dokonał marszałek Józef Piłsudski 22 kwietnia 1921. Dziadek Franciszek służył w pułku do 30 stycznia 1922 roku i za udział w wojnie polsko-bolszewickiej otrzymał medal pamiątkowy.

PO WOJNACH

Franek wrócił jako bohater i przez kilka dni świętował z kumplami. Nie przełożyło się to jednak na pracę, bo bohaterów nie noszono wówczas na rękach i nie hołubiono jakoś specjalnie. Zresztą dla dziadka udział w powstaniu i w wojnie nie był dla bohaterskich apanaży, a zwykłą, obywatelską powinnością. Prawie dwa lata (do 1924 roku) dorywczo pracował jako pomocnik piekarski. Trudno było niestety utrzymać się z niestałej pensji, tym bardziej, że miał już rodzinę. Dlatego podjął pracę w Zakładach Wapienniczych w Wapienniu, niedaleko Barcina. Był pracownikiem fizycznym w tamtejszych kamieniołomach. Trudno było się przestawić z miękkiego chleba na drewniany kilof i twarde wapienne kamienie, ale nie było wyboru.

W kamieniołomach dziadek poznał Jakuba Wojciechowskiego, który swoje robotnicze doświadczenia opisał w pamiętniku „Życiorys własny robotnika”. Wojciechowski wystąpił z zapiskami na konkurs literacki i wygrał. Książkę wydano, a do Barcina zaczęli zjeżdżać znani literaci, jak Tadeusz Boy-Żeleński (który nazwał Wojciechowskiego „kласykiem w robotniczej bluzie” i promował jego twórczość), Witold Gombrowicz czy Jerzy Andrzejewski. Odwiedzili go w Barcinie w 1937 roku. Dwa lata wcześniej, w 1935 roku, pisarz-robotnik otrzymał za swoją twórczość Złoty Wawrzyn Polskiej Akademii Literatury. Ze wspomnień

dziadka wynika, że Wojciechowski był pracowity, na robocie się znał, ale był raczej typem odludka. Nie wywyższał się zbyt, dlatego też niewielu w kamieniołomach знаło jego literackie osiągnięcia.

Dziadek literatem nie był, ale duszę artysty z pewnością posiadał. Nie wiem jak do końca było z Jego wiarą, bo na ortodoksyjnego katolika raczej nie pasował, ale własnymi rękami zbudował w domu drewniany ołtarz. Wysoki na dwa metry, prawie pod sufit, stał w rogu sypialni obok dziadkowo-babcinego łóżka. Na okrągłych kolumnkach wspierało się rzeźbione zwieńczenie ołtarzyka. W środku obraz Jezusa Chrystusa z gorejącym sercem i napisem „Serce Jezusa zmiłuj się nad nami”. Na blacie pod obrazem stały metalowe lichterze na świece. Obraz pewnie zakupiony, bo plastycznych umiejętności dziadek z pewnością nie posiadał. Pod blatem ołtarza również rzeźbione kolumnki wspierające całość. Ołtarz był imponujący i wzorowany na ołtarzach bocznych z barcińskiego kościoła św. Jakuba. Dziadek był dumny ze swego dzieła. Rodzina zresztą też.

Czasy niemieckiej okupacji nie były łatwe dla wszystkich Polaków. Spora część mieszkańców zdecydowała się uciekać z miasta w obawie przed Niemcami już w pierwszych dniach września 1939 roku. Dziadkowie, z liczną rodziną, zostali, bo nie mieli dokąd uciekać. Wszystko, co mieli, było tu, w Barcinie. Ożywili się za to miejscowi Niemcy. Wyszli z ukrycia i na swoich domach wywiesili faszystowskie flagi, czekając na rewanż na polskich sąsiadach. Już 20 września na rynku, po uprzednich torturach w piwnicach miejscowej gorzelnii, rozstrzelano trzech Polaków. Nastął czas strachu i terroru. Moi dziadkowie przetrwali. Babcia opiekowała się rodziną, a dziadek dalej ciężko pracował w pobliskich kamieniołomach wapiennych. A, że robotnicy byli Niemcom potrzebni, to nikt chyba nie wglębiał się w powstańczy i antyniemiecki epizod w życiorysie dziadka.

23 stycznia 1945 roku niezniszczony działaniami wojennymi Barcin zajęły wojska radzieckie z 2. Armii Pancerniej 2. Frontu Białoruskiego. Ustanowiono komendanta wojennego. Mimo to mieszkańcy polscy szybko się zorganizowali, bo już trzy dni po ucieczce Niemców i wejściu Rosjan, na wiecu na rynku wybrano na burmistrza Edmunda Reinke, kolegę dziadka z powstania wielkopolskiego. Kilka dni później wybrano 12 radnych (wśród nich mojego dziadka) i rozpoczęło się organizowanie życia miasta – otwarto szkołę, uruchomiono produkcję w zakładach pracy. Dziadek był dość przebojowy i wszędzie chciał być, gdzie coś się działo. A wtedy działo się sporo, bo w mieście stacjonowała radziecka władza i większość mieszkańców raczej wolała schodzić im z oczu, niż specjalnie wchodzić z nimi w jakiegokolwiek kontakty. Pewnego dnia dziadek pojawił się w domu nieco podchmielony i tajemniczy, z czarną skórzaną torbą w ręku. Jak poszedł spać, babcia odkryła, że w torbie są wojskowe granaty. Wystraszyła się nie na żarty. Wzięła delikatnie torbę na żeliwny haczyk od czyszczenia paleniska w kuchence i wyniosła do szopki w podwórku. Jak się okazało na drugi dzień, dziadek wytargował granaty od sowieckich żołdatów za spirytus, który był wówczas cenniejszym środkiem płatniczym niż pieniądze, których zresztą nie było. Dziadek nie przyznał się oczywiście w jakim celu taki interes zrobił. Po kilku tygodniach nie było już granatów i nikt nie wie, co się z nimi stało. Być może dziadek na trzeźwo sprawę przemyślał, wystraszył się i zakopał trefny towar Bóg wie gdzie.

Od 15 maja 1945 roku do 14 lutego 1967 (dokładnie tego dnia miał urodziny i skończył 65 lat) dziadek pracował jako piekarz w piekarni Gminnej Spółdzielni „Samopomoc Chłopska” w Barcinie. W 1945 roku został wybrany radnym Rady Narodowej w Barcinie, ale był

nim krótko, bo niespecjalnie podobała mu się ówczesna władza, a charakter miał dość buńczuczny i niepokorny. W czasie referendum w 1946 roku władze komunistyczne zachęcały do głosowania 3xTak (zniesienie senatu, reforma rolna i granice zachodnie). Opozycja antykomunistyczna (m.in. Wolność i Niezawisłość i nie tylko) namawiała do głosowania 2xNie. Dziadek zaangażował się w działania opozycyjne, choć może mniej formalne, bo sam robił ulotki (2xNie) i rozklejał po mieście, za co trafił do więzienia. Spędził tam kilka tygodni (po donosie sąsiada), ale chyba nie udowodniono mu zbyt wiele, bo wkrótce wypuszczono, a w 1967 roku przeszedł na emeryturę. Więcej w życiu publiczne się nie angażował.

Największym hobby Franciszka, poza majsterkowaniem, było łowienie ryb i grzybobranie. Pamiętam pierwsze ryby, które złowiłem, właśnie dzięki dziadkowi, bo zabierał mnie nad rzekę Noteć i razem łowiliśmy. Najpierw wspólnie trzeba było nakopać robaków. Zrobił mi pierwszą moją wędkę leszczynową, z której byłem strasznie dumny. Dopiero jak byłem trochę starszy, to dostałem od dziadka swojego pierwszego „bambusa”. Lubilem z nim chodzić na ryby, bo to była atrakcja, choć raczej milczeliśmy, co by ryb nie płoszyć. Gorzej było z grzybami, bo ja nie przepadałem i raczej rozglądałem się dookoła, na drzewa, niebo i wtedy dostawałem szturchańce w głowę, co było jednoznaczną sugestią, że grzybów raczej trzeba szukać pod nogami.

Dziadek konstruował różne przedmioty użytkowe, ale także do zabawy. Najbardziej utkwiał mi w głowie drewniany samochód. Najpierw na podwórku, koło szopy, ulepił z gliny coś w rodzaju makiety auta i dopiero potem obijał to wszystko deskami, płytami. Niestety nie pamiętam czy udało mu się skończyć to auto, choć był blisko. Ciągłe coś majstrował, strugał, przycinał, zbijał w swojej szopce. Dużo palił papierosów. To były nomen omen „Sporty” i często biegałem dla niego do pobliskiego kiosku po tzw. dziesiątki tychże. Pani mnie znała i wiedziała, że dla dziadka, więc nie było problemu. Miał długą szklaną lufkę i każdy papieros dzielił jeszcze na pół i wkładał do lufki, nie wiem czy z oszczędności, czy też jakiś inny był powód.

Dziadek miał bardzo sprawne ręce, żeby nie powiedzieć „ręce, które leczą”. Przychodziło do niego sporo ludzi, bo wiedzieli, że potrafi nastawiać zwichnięte czy obolałe stawy, uśmierzać bóle kręgosłupa, etc. Babcia przygotowywała miskę z ciepłą wodą mydlaną. Dziadek zanurzał w niej ręce i rozpoczynał swoje „uzdawianie”. Masował chorego, wczuwał się w jego ciało, jakby liczył kości i szukał nieprawidłowości w całym układzie. Zagadywał, opowiadał, „czarował” i nagle pyk, zaskoczenie, czasem krótki jęk pacjenta i zwichnięty łokieć, noga czy palec wracały na swoje miejsce. Jeszcze smarowanie denaturatem dla dezynfekcji i rozgrzania, bandażowanie i gotowe. Ozdrowieńcy opowiadali o tych „cudach” na mieście i przychodzili następni po ratunek. Trochę mnie to wkurzało, bo wtedy miał mnie czasu dla mnie. Ale generalnie byłem dumny, że potrafi pomagać innym.

Był dość oszczędny w słowach i pochwałach, ale lubilem z nim przebywać, bo czułem jego sympatię i troskę, mimo, że czasem potrafił trzepnąć po głowie jak się zastryżyło. To były jednak wyjątki i w zasadzie bezbolesne szturchańce. Pamiętam, że lubilem spać u dziadków. Mieli wielkie łóżko z prawdziwymi puchowymi kołdrami (babcia sama dała pierze do tych poduch) i pachnącymi siennikami pod spodem. Spałem w środku, między dziadkami i do dziś jest to moje najmiłsze z nimi wspomnienie. Przed snem dziadkowie klękali przed łóżkiem i odmawiali dziesiątkę Różańca. Od święta zapalało się świece przy domowym ołtarzyku i modlitwy były wówczas nieco dłuższe.

Dziadek zmarł 24 sierpnia 1983 roku na prozaiczne zapalenie wyrostka robaczkowego, którego nikt nie rozpoznał. Miał 81 lat, dobry wiek, by wspominać, opowiadać wnukom, prawnukom. Zdążyłem mu opowiedzieć o robotniczych strajkach w gdańskiej stoczni. Kibicował, ale bał się, że to się nie uda. Przewidział stan wojenny. Nie doczekał wolnej Polski, choć myślę, że przez całe życie miał ją w sercu, bo jak ktoś swoją młodość zaczynał od udziału w zbrojnym powstaniu i wojnie, to zwycięstwo miał w genach i głowie.

Pisząc o dziadku trudno nie wspomnieć o Jego żonie – babci Basi, bo byli nierozłączni i uzupełniali się wyjątkowo. Dziadek trochę lekkoduch, choć generalnie bardzo zaradny i niezależny, wolny gość, ale potulnie wykonywał wszelkie polecenia babci. Ona cierpliwie znosiła jego różne fanaberie i wyskoki, choć nie było tego wiele, ot czasem po wypłacie jakaś wódeczka z kolegami. Mieli pięcioro dzieci – jednego syna Edwarda i cztery córki – Bronisława, Łucjana (moja mama), Irena (jedyna z nich żyje) i Zdzisława. Babcia Basia była oazą dobroci, ciepła i spokoju. Nie pracowała zawodowo, bo zajmowała się domem. Była z domu Gierlińska i też miała swoją tajemnicę, o której dowiedziałem się dopiero podczas studiów. Jej brat Zdzisław, który był nauczycielem i kierownikiem małej szkoły w Kabacie pod Solcem Kujawskim, jako żołnierz trafił w 1939 roku na wojnę i słuch po nim zaginął. Okazało się później, z jednej z niemieckich gazet, przechowywanych skrycie w rodzinnych dokumentach, że został zamordowany przez Rosjan w Katyniu.

Ostatnie lata babcia spędziła w łóżku u swojej córki, mojej mamy. Trudny czas. Wtedy nikt nie myślał, żeby bliskich umieszczać w, jak się wtedy mówiło, „domach starców”. Tradycją było mieć ich blisko siebie, niekoniecznie nawiązując do starożytnej greckiej tradycji, kiedy z głosem starców się liczono i kolejne pokolenia czerpały z ich doświadczenia i mądrości życiowej. Tak się należało, mimo że naszym staruszkom często mieszało się w głowach. Nie wiedzieli, który rok, dzień, miesiąc czy są dziećmi, młokosami, czy weszli już w dorosłość. Trzeba było obsługiwać w codziennych, prozaicznych czynnościach życiowych i być na wyciągnięcie ręki. I tak dzień w dzień, noc w noc. Życie rodzinne kręciło się wokół nich, niedorosłych dzieci, po osiemdziesiątce. Patrzyli w sufit, marzyli, odlatywali i znów wracali, czasem szczęśliwi i radośni, czasem wkurzeni, bo lot jakoś się nie udał. To nie był już czas na pytania o szczegóły przeżytego, bo przeszłe mieszało się z jawą i snem. Trzeba było trwać i pielęgnować. Być.

W czasie jednej z moich wizyt babcia wyznała mi kiedyś, w tajemnicy, że ma poważne zmartwienie. Powiedziała, że jest w ciąży z Panem Jezusem. Zapłakała ze zmartwienia i bezradności, bo co to teraz będzie.

– Nie martw się, Babciu – powiedziałem – zaopiekujemy się dzieckiem i pomożemy wychować.

Zasnęła spokojnie i w nocy umarła. Przeżyła dziadka o 17 lat.

*

Nie mamy łatwej historii narodowej. A któż ją ma, można by retorycznie zapytać. Pamiętam ze swojej nauczycielskiej praktyki, że przegranym powstaniom poświęcać trzeba było po kilka lekcji, tak obfitym materiałem karmiliśmy młode umysły. Najpierw kościuszkowskie, potem listopadowe, Wiosna Ludów, rabacja, styczniowe i w końcu warszawskie, bo

o skazanych na klęskę Żołnierzach Wyklętych wówczas nie mówiło się ani słowem. Debata nad przyczynami niepowodzeń, kto winien i dlaczego, bywało prawdziwą udręką, z nadzieją na jakąkolwiek refleksję, mimo że nikt powstania i rewolt raczej nie planował. Jakoś się tak lubowaliśmy w autoudręczaniu, żeśmy słabi, nieudolni i słomiani w zapalach.

Powstaniu Wielkopolskiemu w podręcznikach poświęcano zaledwie kilka zdań, bo przecież niepodległość wywalczona i cóż tu gadać. A przecież było to jedyne w naszej historii nowożytnej zwycięskie powstanie, pokazujące autentyczny zryw, zaangażowanie, hart ducha, brawurę i patriotyzm. Dopiero w ostatnim trzydziestoleciu przyszedł czas na opamiętanie i oddawanie czci bohaterom, których w zdecydowanej większości nie ma już na świecie. Na szczęście pozostali w pamięci, rodzinnych pamiątkach i dokumentach.

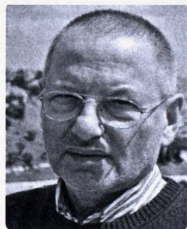
Tak się zadziało również w moim rodzinnym Barcinie, w którym całe swoje życie spędził mój dziadek, uczestnik powstania. To dzięki lokalnym władzom i społecznikom udało się przywrócić pamięć o nich. Najpierw oznakowano wszystkie groby byłych powstańców plakietkami z Krzyżem Walecznych Powstania Wielkopolskiego, powstały książki z ich biografiami, na portalu społecznościowym miejscowa biblioteka prowadzi fantastyczny fanpage „Barcińska Izba Tradycji”, gdzie prezentowane są także rodzinne pamiątki powstańców i w końcu na jednym z bloków mieszkalnych powstał mural poświęcony barcińskim powstańcom. To inicjatywa jednej z mieszanek Barcina Ewy Marii Mazur. Ewa pochodzi z rodziny Dylewiczów (dziadek także powstaniec), a mieszkała w podwórku, obok piekarni, w której pracował mój dziadek. Fantastyczny mural powstał na bazie autentycznego zdjęcia z 4 stycznia 1919 roku, kiedy to kompania miejscowych powstańców zebrała się na barcińskim rynku, by ogłosić wyzwolenie miasta i ruszyć w bój. Mural, autorstwa Juliana Nowickiego, sfinansowany został z Budżetu Obywatelskiego. To piękny gest i dowód na to, że nie tylko drogi, place zabaw, chodniki, etc., potrzebne oczywiście przedsięwzięcia, ale także pamięć, idea, mogą być przedmiotem społecznej inicjatywy.

To właśnie pamięć buduje naszą tożsamość rodzinną, lokalną, narodową i kształtuje patriotyzm. Dlatego warto w tym miejscu przywołać słynne zdanie brytyjskiego historyka Normana Davisa: „Aby człowiek wiedział, dokąd idzie, musi wiedzieć, skąd pochodzi. Naród bez historii błądzi, jak człowiek bez pamięci”.



Wnuki dziadka Franka ze współmatczonkami przed murem w Barcinie, fot. M. Żuchelkowski

Marek Suchar



JEROZOLIMA – ŚWIĘTE MIASTO

Mówi się o niej: magiczna, fascynująca, jedyna w swoim rodzaju. Dla wielu z tych, którzy ją odwiedzają, niezależnie od tego, czy są chrześcijanami, muzułmanami czy żydami, wizyta w Jerozolimie to również głębokie przeżycie religijne. Czy dlatego nazywa się ją Świętym Miastem?

Na jerozolimskim Starym Mieście i w jego okolicy na każdym kroku możemy spotkać duchownych różnych wyznań i tłumy pielgrzymów ze wszystkich stron świata. Popołudniami zobaczymy tu odświętnie ubranych żydowskich ortodoksów spieszących grupami na modlitwy pod Ścianę Płaczu, a w każdy piątek około południa ciasne uliczki staromiejskie zapełniają się muzułmanami udającymi się na modlitwy do meczetu Al Aksa. Wszystko to jest jakby ilustracją popularnego w Izraelu powiedzenia: „Hajfa się uczy, Tel Aviv się bawi, a Jerozolima się modli”. Chociaż, jak każdy stereotyp, jest ono oczywiście nadmiernym uogólnieniem, to jednak w odniesieniu do Jerozolimy zawiera w sobie jakąś cząstkę prawdy. Można powiedzieć, że życie tego miasta toczy się w równoległym rytmie monoteistycznych pobożności, które mimo wszelkich, nieraz bardzo dramatycznych różnic i konfliktów dzielących ich wyznawców, *koegzystują* tu jakoś na co dzień obok siebie.



Kopuła Skaly

Ale czy to dlatego Jerozolimę nazywa się „Świątym Miastem”? Wiele miast na świecie ma takie na stałe przypisane im rozmaite „przydomki”. I tak na przykład Rzym w opowieściach występuje często jako „Wieczne Miasto”, Nowy Jork nazywa się „Wielkim Jabłkiem”, Amsterdam „Wenecją Północy”, a Wrocław „Miastem Stu Mostów”. Określenia te są specyficzną figurą stylistyczną określaną jako *metonimia* i każdy rozumie, że mają oczywiście



charakter umowny, bo ani Nowy Jork nie jest jabłkiem, ani Amsterdam nie jest Wenecją, a Rzym z całą pewnością nie jest wieczny, choć trzeba przyznać, że dość leciwy, bo jako miasto liczy sobie jakieś dwa tysiące siedemset lat z okładem. Dodam jeszcze, że również w moim ukochanym Wrocławiu mostów jest więcej niż sto, choć nie tyle co przed II Wojną Światową, kiedy istniało tam ich (licząc łącznie z kładkami) aż 330. Można pomyśleć, że





Grób w ogrodzie

podobnie jest, kiedy Jerozolimę określamy „Świątym Miastem”; że jest to określenie umowne, metaforyczne, „façon de parler”, jak zgrabnie określają to Francuzi; że to po prostu coś w rodzaju szlacheckiego tytułu, który zyskała sobie ona w oczach wyznawców trzech wielkich światowych religii monoteistycznych ze względu na wagę, jaką ona ma dla nich, czy też historyczną rolę, jaką w ich rozwoju odegrała.

W przypadku Jerozolimy jest jednak inaczej, bo ona nie tylko jest n a z y w a n a „świętym miastem”, ale po prostu j e s t dla wyznawców wspomnianych wcześniej religii rzeczywiście świętym miastem (choć nie w jednakowym stopniu i na nieco różne sposoby, o czym mowa będzie później). Miastem świętym dosłownie, a nie w przenośni, świętym w ścisłym, literalnym i teologicznym znaczeniu tego słowa. Oznacza to, że nazywanie ją świętą nie odnosi się do jej ważności, ani do jej wyjątkowości, ani nawet do jej dramatycznej historii sięgającej drugiego tysiąclecia przed naszą erą. Na czym więc ta świętość polega?

Żeby to wyjaśnić, wyjść trzeba od samego pojęcia świętości. Dla większości chrześcijan wiąże się ono przede wszystkim z przeciwstawieniem „świętość- grzeszność” i oznacza moralną czystość, doskonałość. Przeciętny katolik najczęściej uważa, że *stan świętości* można ewentualnie osiągnąć po śmierci i to w dodatku pod warunkiem specjalnego potwierdzenia tego w formie oficjalnej kościelnej kanonizacji. Trzeba też wspomnieć, że w znaczeniu przenośnym „święte” mogą być również dla nas pewne rzeczy lub zasady, co w tym przypadku najczęściej oznacza, że są bardzo ważne, nienaruszalne (niekoniecznie z powodów religijnych – na przykład „święta pora popołudniowej drzemki”). Jeżeli mowa o świętości Jerozolimy, to w tym przypadku odwołujemy się do innego rozumienia świętości, takiego, które polega na przeciwstawieniu dwóch sfer rzeczywistości: *sacrum* i *profanum*.



Sciana Płaczu

Dziewiętnastowieczny teolog Rudolf Otto, autor pracy zatytułowanej „Świętość”, uważał, że świętość (sacrum) wiąże się z tym, co jest całkowicie oddzielone od codziennego życia (czyli od profanum), z tym, co jest wyłącznie związane z istnieniem bądź obecnością Boga. Za święte w takim rozumieniu uznamy więc istoty Boga poświęcone lub miejsca z nim związane. Na marginesie warto zauważyć, że takie rozumienie świętości jest bliskie temu, jak się ją rozumie w judaizmie, gdzie określenie święty wywodzi się od słowa *oddzielony, osobny* i odnosi się do tego wszystkiego, co bez reszty i wyłącznie związane jest z Bogiem, co jest mu poświęcone i co przez to wyłączone jest ze sfery codzienności i powszedniości. To ważne, bo w takim znaczeniu święta może być przestrzeń (miejsca), ale także i czas, jeśli jest poświęcony wyłącznie i całkowicie Bogu.

W takim właśnie znaczeniu Jerozolima jest Świętym Miastem! Była nim jeszcze zanim król Dawid około tysiąca lat przed naszą erą zdobył ją pokonując Jebuzytów i uczynił swoją stolicą. I zanim po jego śmierci jego syn Salomon zbudował na wzgórzu Moria świątynię dla Jahwe. Świątynię, którą burzono, odbudowywano, a później przebudowywano aż do czasów Jezusa. Przez pierwsze mniej więcej pięćset lat przechowywano w niej Arkę Przymierza. Od kiedy za czasów niewoli babilońskiej zaginęła, w Świątyni, w miejscu najważniejszym, nazywanym „Święte Świętych”, w pozornie pustym pomieszczeniu, przebywał już tylko sam Jahwe. Jego obecność opisywano słowem „Szechina”. Po jerozolimskiej świątyni pozostały dziś już tylko zbudowane przez króla Heroda, otaczające Wzgórze Świątynne potężne mury oporowe. Przy ich fragmencie, nazywanym Ścianą Płaczu, a przez samych Żydów Murem Zachodnim (hebr. Hakotel HaMaaravi), Żydzi wciąż modlą się i rozpamiętują zburzenie Świątyni przez Rzymian w 70 roku naszej ery. Dotykając w czasie



Golgota

modlitwy pozostałości świątynnego muru, dotykają jednocześnie czegoś, co pozostawało kiedyś w bezpośrednim fizycznym kontakcie z Jahwe, czegoś, co stanowi przez to niejako fizyczny ślad jego obecności. Czy dla Żydów może więc istnieć miejsce bardziej święte?

Na terenie Wzgórza Świątynnego, w miejscu zburzonej świątyni, stoi dziś sanktuarium muzułmańskie – Kopuła Skały. Nazywane jest tak, bo w jego wnętrzu znajduje się skała, z której Mahomet miał wstąpić do nieba, która wedle muzułmańskich wierzeń odegrała więc rolę w cudzie, który dokonał się z udziałem Mahometa. Jest święta dla muzułmanów, bo pozostaje dla nich fizycznym śladem ziemskiego życia i działalności Mahometa. Kopuła Skały nie jest meczetem, jak czasem mylnie się o niej mówi, ale właśnie sanktuarium. Jej kopułę pokrytą złotymi płatkami ufundowanymi przez poprzedniego króla Jordanii Husajna widać jako

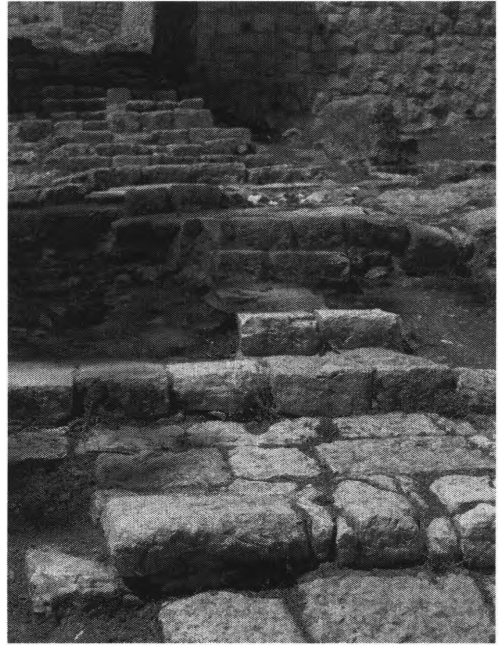
centralny punkt panoramy Jerozolimy oglądanej z Góry Oliwnej. Skała, nad którą zbudowano pod koniec VII wieku naszej ery Kopułę Skały, z której miał rozpocząć swą nocną podróż do nieba Mahomet, to jednocześnie według tradycji wierchołek wspomnianego w Biblii wzgórza Moria, na którym Abraham miał składać Bogu w ofierze swego syna Izaaka. Niewykluczone też, że znajduje się ona dokładnie w miejscu, gdzie za czasów, kiedy stała tu Świątynia Jerozolimska, mieściło się jej najważniejsze, główne miejsce – „Święte Świętych”, a więc miejsce, w którym mieszkał Bóg.

Jako trzecie obok Mekki i Medyny miejsce wiążące się fizycznie z działalnością Mahometa jest więc Jerozolima także trzecim pod względem świętości miejscem Islamu. Znajdujący się na Wzgórzu Świątynnym w pobliżu Kopuły Skały meczet Al Aksa jest jedną z najważniejszych muzułmańskich świątyń na świecie. Jest także jedną z największych, bo pomieścić może jednocześnie do trzydziestu tysięcy wiernych. Zbudowano go na przełomie VII i VIII wieku. W czasach krzyżowców mieścił się tam pałac królów jerozolimskich.

Aby dostać się dziś na Wzgórze Świątynne, trzeba przejść przez jedną z kilku bram. Wszystkie poza jedną są jednak otwarte wyłącznie dla muzułmanów. Turyści mogą nimi tylko wychodzić ze Wzgórza. Aby na nie wejść, trzeba się udać na plac przed Ścianą Płaczu, przejść przez kontrolę i bramki z wykrywaczami metali, ustawić w kolejce i drewnianą estakadą wspiąć do jedyne go przeznaczonego dla nie-muzułmanów wejścia – Bramy Maurów. Wszedłszy tamtędy znajdujemy się natychmiast blisko wejścia do Meczetu Al Aksa. Jako nie-muzułmanie możemy tę okazałą budowlę, podobnie jak Kopułę Skały, podziwiać tylko z zewnątrz. Wstęp do obu mają wyłącznie muzułmanie. Na terenie Wzgórza mieści się też kilka szkół koranicznych. Wzgórze Świątynne jest więc czymś w rodzaju enklawy palestyńskich muzułmanów w samym środku izraelskiej stolicy. Stanowi ono dziś

muzułmańską fundację religijną waqf, a formalną jurysdykcję sprawuje nad nim ma obecnie król Jordanii. Bezpieczeństwa i porządku mają natomiast za zadanie strzec izraelskie siły porządkowe. Nie-muzułmanie mają ograniczony wstęp na Wzgórze, obowiązuje ich kategoryczny zakaz modlitw i zakaz wstępu zarówno do Kopyty Skąty, jak i Meczetu Al Aksa. Z tego powodu muzulmańscy strażnicy uważnie przyglądają się zwiedzającym, by wykryć jakiegokolwiek ewentualne próby modlenia się w ukryciu. Podobno reagują nawet wtedy, gdy ktoś bezgłośnie porusza ustami przez dłuższy czas, podejrzewając, że może odmawiać po cichu nie-muzułmańskie modlitwy. Żydowski obywatel Izraela mają zasadniczo, podobnie jak obywatele innych państw bez względu na wyznanie, prawo wstępu na Wzgórze, z tym, że wizyty na nim izraelskich polityków, zwłaszcza oficjalne i nagłaśniane przez media, przeważnie wywołują polityczne awantury, a raz stały się nawet pretekstem do wybuchu tzw. Drugiej Intifady, czyli zorganizowanej i skoordynowanej fali zamachów terrorystycznych, których ofiarami byli izraelscy Żydzi, przeprowadzanych przez Palestyńczyków. Jeżeli chodzi o wyznawców judaizmu, to trzeba wspomnieć, że ortodoksyjni rabini zakazują/odradzają im wchodzenia na Wzgórze Świątynne, jako że nie istnieje w dzisiejszych czasach możliwość osiągnięcia koniecznego do odwiedzenia świątyni stanu czystości rytualnej, a także ponieważ nie wiadomo dziś, gdzie dokładnie znajdowało się Święte Świętych, istnieje niebezpieczeństwo, że podepczemy je nieświadomie, co stanowiłoby pogwałcenie jego świętości.

Pierwszą Świątynię zbudował na Wzgórze Moria król Salomon około tysiąca lat przed narodzinami Chrystusa. Cztery lata później zburzyli ją Babilończycy. Odbudowana przez Żydów po powrocie z niewoli babilońskiej „Druga Świątynia” była już mniejsza i mniej okazała. Nie było w niej już też Arki Przymierza, która w czasie najazdu Babilończyków przepadła bez wieści. Tę tak zwaną „Drugą Świątynię” kilkakrotnie przebudowywano, ale dopiero za panowania Heroda Wielkiego na jej miejscu zbudowano od nowa jedną z najwspanialszych budowli ówczesnego świata. Podniesiony został poziom całego wzgórza i na uzyskanym w ten sposób olbrzymim placu zbudowano „cebulowy” system dziedzińców otaczających właściwą świątynię. Najbardziej zewnętrzny z nich nosił nazwę „Dziedzińca Pogan” i był dostępny dla wszystkich bez wyjątku. W jego wnętrzu mieścił się kolejny, „Dziedziniec Izraelitów”. Umieszczony na otaczającym go murze napis ostrzegał, że każdy „nie – Żyd” (czyli każdy, kto nie był obrzezany), który wejdzie na jego teren, ukarany zostanie śmiercią. Kamień z tym napisem odkryty został w latach siedemdziesiątych przez archeologów prowadzących wykopaliska w rejonie Wzgórza Świątynnego. W obrębie tego



Schody z okresu Jezusa prowadzące z Jerozolimy do Doliny Cedronu (droga z Jerozolimy do Ogrodu Oliwnego)

dziedzińca znajdował się „Dziedziniec Kapłanów”, na którym zabijano zwierzęta ofiarne i gdzie na „ołtarzu całopalenia” były one spalane. Tam wstęp mieli już tylko kapłani. W centralnej części Dziedzińca Kapłanów znajdowała się dopiero właściwa Świątynia, składająca się z przedsionka i dwóch pomieszczeń. Pierwsze z nich nazwane było „Miejscem Świętym”, a kolejne nosiło nazwę „Święte Świętych”. Pomieszczenia te oddzielała zasłona. To o niej mowa w Ewangeliach, że została rozdarta na pół w momencie śmierci Jezusa są na krzyżu. W „Miejscu Świętym” znajdował się złoty świecznik siedmioramienny, stół na chleby ofiarne i ołtarz, na którym spalano kadzidło. Wstęp do tego pomieszczenia mieli tylko niektórzy kapłani. Natomiast wstęp do „Świętego Świętych” miał tylko arcykapłan i to tylko raz do roku, w Dniu Pojednania (Jom Kipur). „Święte Świętych” było pozbawionym okien i sprzętów pomieszczeniem. Żydzi wierzyli, że w tym pustym pomieszczeniu przebywa niewidzialny Bóg. Namiastką nieistniejącej świątyni jest dziś dla wyznawców judaizmu Ściana Płaczu (Kotel), najbliższe od prawdopodobnej lokalizacji „Świętego Świętych” dostępne dla nich przez wieki miejsce modlitewne.

Dla chrześcijan święte są miejsca związane z życiem Jezusa, z jego obecnością w Jerozolimie. Niektóre z nich wydają się oczywiste. Do takich niewątpliwych i autentycznych pamiątek należą z pewnością Grób i Golgota znajdujące się wewnątrz Bazyliki Grobu Świętego, obie pochodzące jeszcze z czasów biblijnych i wspomniane w ewangeliach sadzawki, czyli Siloam i Betesda, czy kamienne schody z początku naszej ery znajdujące się przy kościele świętego Piotra in Galicantu, prowadzące z niegdysiejszego Dolnego Miasta (dziś chrześcijański Syjon) do doliny Cedronu, którymi musiał iść ktoś udający się z Wieczernika na nocleg do Ogrodu Oliwnego i którymi musiano prowadzić pojmanego tam więźnia na przesłuchanie do Pałacu Kajfasza. Co do autentyczności innych miejsc, określanych jako *loca sancta*, nie możemy już zazwyczaj mieć takiej stuprocentowej pewności. Wiele z tych miejsc bardzo wcześnie zaczęto oznaczać w specjalny sposób i otaczać czcią. Wielowiekowa tradycja z nimi związana sprawia, że z historycznego punktu widzenia większość tych wymienionych wcześniej lokalizacji wydaje się o wiele mniej wątpliwa, niż można byłoby sądzić biorąc pod uwagę, że od tamtych zdarzeń minęło już dwa tysiące lat. Należy pamiętać, że Jerozolima w czasach Jezusa i przez wiele kolejnych stuleci była niedużym miastem. Dziśjsze Stare Miasto daje pewne pojęcie o jej wielkości, choć co prawda nie o jej dokładnym położeniu. Według historyków za czasów Jezusa mieszkało tu na stałe około trzydziestu tysięcy mieszkańców, a więc mnie więcej tyłu, ilu dzisiaj mają na przykład Mława, Nowy Targ czy Ostróda. A skoro Jerozolima była tak mała, to zarówno publiczna działalność Jezusa, jak i jego ukrzyżowanie i miejsce pochówku, z pewnością były doskonale znane wszystkim mieszkańcom i topografia zdarzeń związanych z jego życiem i działalnością musiała być dla wszystkich oczywista. W tak małym miasteczku wiedziano przecież dokładnie, gdzie się co mieści i gdzie coś się wydarzyło. Łatwo było te miejsca wskazać, opisać, zapamiętać. Również w kolejnych pokoleniach. Wszystkie one znajdują się przecież w odległości zaledwie kilkuset metrów od siebie nawzajem, trudno więc było się w ich lokalizacji pogubić czy jakoś zasadniczo pomylić. Inna sprawa, że z czasem pamięć o tych miejscach zaczęła żyć już swoim własnym życiem. Pielgrzymi przybywający tu przez wieki starali się te miejsca upamiętniać. W niektórych z czasem zbudowano świątynie, które miały na celu zarówno ich upamiętnienie, jak i ochronę przed profanacją. Budowa ich była też ostatecznym



Żadna religia nie jest samotną wyspą

przypieczętowaniem ich sakralnego charakteru. Tyle, że na tym ten proces sakralizacji się nie zakończył, a właściwie można powiedzieć, że dopiero się na dobre rozpoczął. Od średniowiecza, kiedy pielgrzymowanie do Ziemi Świętej stało się powszechniejsze, zaczęto układać coś w rodzaju programu nawiedzania tych miejsc przez przybywających tam licznie pątników. Stopniowo wykształciły się też specjalne praktyki modlitewne. Jedną z nich jest na przykład Droga Krzyżowa, franciszkańskie nabożeństwo, które wykształciło się w XV wieku, a następnie przez pielgrzymów zostało przeniesione i spopularyzowane w Europie. Pielgrzymami kierowało zawsze pragnienie doświadczenia śladów rzeczywistej obecności Jezusa w historii. Nie tylko zobaczenia na własne oczy czy dotknięcia, ale również p r z e z y c i a. W ten sposób ewangelijna opowieść stawała się treścią osobistego doświadczenia każdego z nich, a teologiczna historia zawarta w ewangelii mogła stać się częścią ich własnego życia. Pielgrzymia pobożność z czasem nabierała własnej dynamiki. Starano się lokalizować, można by powiedzieć *ex post*, rozmaite zdarzenia czy fakty znane nie tylko z Ewangelii, ale również z licznych apokryfów. Wskazywano miejsca, budowano kościoły. Zbudowano na przykład kościół Św. Anny w miejscu domniemanej lokalizacji domu Joachima i Anny, rodziców Matki Boskiej. Grotę mieszczącą się pod kościołem spontanicznie uznano więc za miejsce urodzenia matki Jezusa. Wszystko to oparte jest w najlepszym razie na domysłach i spekulacjach oraz apokryfach, czyli źródłach, których historyczna wartość jest co najmniej kwestionowana. Trudno jednak dopatrywać się w takim postępowaniu jakichś szczególnych nadużyć. W większości powstały w ten sposób miejsca modlitwy i rozpamiętywania poszczególnych zdarzeń z życia bohaterów Ewangelii. Oceniać i opisywać je należy zatem nie w kategoriach autentyczności, ale pobożności. I traktować z należnym takim miejscom szacunkiem, ale bez szczególnej religijnej egzaltacji. Jest na przykład oczywiste,

że przepiękny mały, zaprojektowany przez Barluzziego kościółek „Dominus Flevit”, czyli „Pan zapłakał”, znajdujący się przy stromej drodze wiodącej z Ogrodu Oliwnego na Górę Oliwną, nie stoi przecież w miejscu, w którym Jezus zapłakał nad losami Jeruzalem, ale n a p a m i ą t k ę tego, że tak się stało.

Jeśli mowa o miejscach świętych, to koniecznie trzeba wspomnieć jeszcze o jednym, ale za to bardzo szczególnym. Wchodzi się do niego z małej bocznej uliczki odchodzącej od Nablus Road, tuż obok klasztoru dominikanów. Miejsce to nazywane jest „Groblem w ogrodzie”. Otóż w roku 1883 brytyjski generał Gordon uznał, że to nie kamienna skała znajdująca się dziś we wnętrzu Bazyliki Grobu na Starym Mieście, ale znajdujące się niedaleko Bramy Damasceńskiej wapienne wzgórze kształtem przypominające ludzką czaszkę, jest prawdziwą Golgotą. W przekonaniu tym utwierdził go znaleziony u jej stóp starożytny grób odpowiadający ewangelijnym opisom grobu Jezusa. Dziś powiedzieć można tylko tyle, że badania archeologiczne datują znaleziony przez niego grobowiec na ok. V wiek naszej ery. O jego autentyczności nie może więc być mowy. Na terenie okalającym ów grób, będącym własnością Kościoła Anglikańskiego, znajduje się dziś wspaniały ogród pełen zielonych krzewów i drzew. Pomędzy drzewami, w różnych miejscach umieszczone są ławki, na których siedząc można oddawać się modlitwom i medytacjom. W centralnym punkcie ogrodu znajduje się wykuta w skale dwukomorowa pieczara grobowa, pod wieloma względami odpowiadająca ewangelijnym opisom grobu, który Józef z Arymatei ofiarował, czy też użyty, aby można tam było pochować zdjętego z krzyża Jezusa. Przed wejściem leży okrągły kamień, jakich używano do zamykania grobowców, podobny do tego, który zatoczono na grób Jezusa i przy którym rozstawiono strażę. Zarówno skała, w której dopatrzeć się można oczodołów, jak i skalny grób, bardzo przemawiają do wyobraźni. Przepiękne otoczenie i panująca w nim harmonia sprzyjają wyciszeniu, skupieniu, medytacji i modlitwom.

„Grób w ogrodzie” może stanowić jednak także coś w rodzaju delikatnej przestrogi dla „tropicieli” i „kolekcjonerów” świętych miejsc, bo i tacy pojawiają się wśród pielgrzymów. Chodzi o to, żeby nie popadać w tani sentymentalizm, który doprowadzić mógłby do przekształcenia Ziemi Świętej w rodzaj wielkiego Biblijnego Disneylandu. Zarówno u wielu pielgrzymów, jak i u niektórych gospodarzy świętych miejsc, pokusy takie da się zauważyć. Trzeba zresztą uczciwie przyznać, że sam „Grób w Ogrodzie” akurat nie jest tego jakimś szczególnym przykładem, a jego dzisiejsza rola i popularność wiążą się z motywami, z powodu których został on odkryty i rozpropagowany przez generała Gordona, a także w jakimś sensie przeciwstawiony Bazylice Grobu. Otóż ponieważ święte miejsca w Jerozolimie zarządzane są przeważnie przez kościoły prawosławne i katolików, „Ogród” był i pozostaje jednym z niewielu miejsc, gdzie swobodnie mogą odprawiać swoje nabożeństwa przyjeżdżający do Jerozolimy z pielgrzymkami protestanci.

W Ziemi Świętej mieszają się więc ze sobą, jak widzimy, różne rodzaje miejsc świętych. Obok historycznych pamiątek mamy miejsca „uświęcone” duchową kontemplacją i modlitwą, ale także i świadectwa pielgrzymiej dewocji i przybierającego, zwłaszcza w średniowieczu, karykaturalny charakter kultu relikwii. To ostatnie zwłaszcza może niekiedy aż irytować, a niektórych wręcz gorszyć. Ale jeśli przecież za poszczególnymi formami pobożności tkwi rzeczywiste duchowe przeżycie, wszystko pozostałe staje się już mniej istotnym szczegółem.

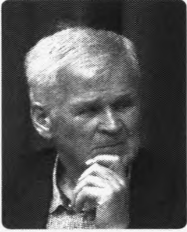
Jerozolima jest miejscem świętym trzech wielkich religii, czyli więcej niż połowy ludności świata – przeszło trzech miliardów ludzi. Wyznawcy każdej z tych religii wielokrotnie w ciągu wieków usiłowali ją zawłaszczyć i zmonopolizować. Często przybierało to postać okrutnych, krwawych wojen. Dziś także Jerozolima jest miastem pełnym politycznych i religijnych napięć. Ale to w jej historii nic nowego. W ciągu ostatnich dwóch tysięcy lat (a więc licząc tylko od czasów Jezusa i nie cofając się do jej burzliwych losów sprzed początków naszej ery), Jerozolima wielokrotnie przechodziła z rąk do rąk, będąc na przemian oblegana i zdobywana, burzona i odbudowywana. Co najmniej kilkanaście razy zmieniała się w niej w tym czasie religia panująca, narzucana przez tych, którzy ją aktualnie zdobyli. Warto o tym pamiętać, myśląc dziś o Jerozolimie. Z innej perspektywy można wtedy spojrzeć na panujące obecnie w tym mieście konflikty.

Jak twierdził jeden z największych żydowskich teologów i myślicieli XX wieku rabin Abraham Heschel: „żadna religia nie jest samotną wyspą”. Nigdzie chyba nie można doświadczyć tego bardziej, niejako namacalnie, niż właśnie w Jerozolimie, mieście świętym dla wyznawców tylu różnych religii. I dlatego też zwłaszcza w obliczu ostatnich wstrząsających i tragicznych wydarzeń będących udziałem mieszkańców tego regionu, wypada bez zbytejnej obawy o nadmierny patos zakończyć słowami Psalmu 122, tekstu świętego dla wyznawców wszystkich trzech wielkich religii monoteistycznych:

*Proście o pokój dla Jeruzalem,
niech zażywają pokoju ci, którzy ciebie miłują!
Niech pokój będzie w twoich murach,
a bezpieczeństwo w twych pałacach!*

Zdjęcia w tekście – Szymon Suchar

Wacław Bielecki



ZAPISKI MELOMANA

HARFOWE HITY NA 607 URODZINY SZTUMU

sobota, 16 września 2023 r.



Przy harfie Anna Sikorzak-Olek, fot. W. Bielecki

Koncert muzyki klasycznej pn. *Harfowe hity* z okazji 607 rocznicy nadania Sztumowi praw miejskich miał się odbyć tydzień wcześniej, czyli w czasie Dni Sztumu, ale jego wykonawczyni dr Anna Sikorzak-Olek nie miała wolnego terminu, więc został przeniesiony. Trzeba tutaj zaznaczyć, że wszystko wskazuje na to, że był to pierwszy solowy recital harfowy w ponad sześćsetletniej historii naszego miasteczka. Wydarzenie rozegrało się w pięknej sali Biblioteki Publicznej Kwadro w Sztumie z udziałem liczego grona tutejszych melomanów, którzy usłyszeli dziewięć utworów na harfę solo.

Muzyczny wieczór nie zaczął się od Bacha, bo tenże nie napisał nic na harfę, tylko od przepięknej *Passacaille z Suity g-moll* Jerzego Fryderyka Haendla. Następnie zabrzmiała

klasycystyczna *Sonata c-moll* Sophii Giustany Dussek, żony znanego niegdyś kompozytora, o którego licznych podbojach miłosnych, niemalże jak w serialu „Serce i szpada”, barwnie opowiadała artystka. Kolejnym przebojem była słynna kadencja harfowa z II aktu opery *Lucja z Lammermoor* Gaetana Donizettiego poprzedzająca arię „Regnava nel silenzio”. Jak to wyjaśniła harfistka, służyła ona w operze jako intermezzo, czyli przerywnik konieczny na czas zmiany dekoracji.

Po romantycznej *Fantazji c-moll* Louisa Spohra napisanej dla swojej żony harfistki, utworu niezwykle cenionego przez wszystkich harfistów, usłyszeliśmy *Nokturn cis-moll* Fryderyka Chopina, ten sam który uratował życie Władysławowi Szpilmanowi ukrywającemu się w ruinach Warszawy. Historię tę znamy z filmu „Pianista” w reżyserii Romana Polańskiego.

Przed zagranie kolejnej miniatury solistka poprosiła słuchaczy, aby odgadli, co ta muzyka może przedstawiać, a może – dodała – przedstawiać wszystko. Był to bardzo charakterystyczny, ilustracyjny utwór zatytułowany *U źródła w lesie* Marcela Tourniera. Sztumskim melomanom skojarzył się z „deszczem i wiatrem”, czy „budzącym się porannym świtem”. W podobnej konwencji zostało napisane impresjonistyczne *Światło księżycy* Claude’a Debussy’ego. Rękopis nut *Mazurka* na harfę solo Feliksa Nowowiejskiego znalazła artystka w Bibliotece Raczyńskich w Poznaniu. Jej zdaniem, jest to ewenement w polskiej literaturze muzycznej na harfę, prawdziwa perełka. Na koniec usłyszeliśmy dziesięć wirtuozowskich, zróżnicowanych w formie *Wariacji na temat ‘Kaprysu a-moll’ Paganiniego* skomponowanych przez Michała Mchedielowa.

Po wykonaniu półtoragodzinnego programu muzycznego dr Anna Sikorzak-Olek poprosiła słuchaczy o pytania. Odpowiedzi na nie trwały aż kilkanaście minut, bo melomani pytali: czy trudno się nauczyć gry na tym instrumencie, ile kosztuje harfa, jakie są najlepsze firmy produkujące harfy, gdzie artystka uczyła się grać, czy pamięta swój pierwszy koncert, itp. Dowiedzieliśmy się, że obroniła pracę doktorską o Karolu Grollu, Polaku, twórcy systemu dwustopniowego przestrajania strun harfy za pomocą siedmiu pedałów. Patent ten sprzedał on francuskiemu fabrykantowi fortepianów i harf Sebastianowi Erardowi i ten jest uznawany za twórcę tego wynalazku. A to Polak, a nie Francuz, zdaniem Anna Sikorzak-Olek, zrewolucjonizował możliwości gry na harfie, gdyż przez te pedały instrument zyskał możliwość grania we wszystkich skalach. Usłyszeliśmy także, że solistka nagrała muzykę do ponad stu filmów z Narodową Orkiestrą Symfoniczną Polskiego Radia w Katowicach oraz Orkiestrą Polskiego Radia, szczególnie dużo było kompozycji Zbigniewa Preisnera oraz filmów w reżyserii Jerzego Hoffmana. Spotkanie w Bibliotece Kwadro zakończyło się efektownym bitem – nokturnem *Muzyka nocy*, współczesnego amerykańskiego kompozytora George’a Crumba. Cały recital artystka zagrała na pięknej harfie lutniczej firmy Klaus Horngacher-Harmony.

Był to koncert bardzo dobrze przyjęty przez publiczność, zasłuchaną nie tylko w uwdzielski dźwięk harfy, ale i ciekawe opowieści snute z wdziękiem i humorem przez wykonawczynię. W rozmowach kularowych słuchacze podkreślali niezwykle dar nawiązywania kontaktu z widownią i czarującą osobowość artystki. Niektórzy zwrócili się do organizatorów z prośbą, aby zaprosić harfistkę do nas na kolejny koncert.

MUZYKA WSPÓŁCZESNA W WAPLEWIE

piątek, 29 i sobota 30 września 2023 r.



Pianistka Małgorzata Walentynowicz, fot. D. Walentynowicz

Jesienna edycja 17. Pomorskich Dni Chopinowskich w Waplewie Wielkim nie zaczęła się od muzyki patrona, tylko od muzyki współczesnej. Wystąpiła bowiem pianistka Małgorzata Walentynowicz, miłośniczka i wykonawczyni tego rodzaju muzyki, a prywatnie córka Olgi Walentynowicz, która od 2001 roku jest szefową Gdańskiego Koła Towarzystwa imienia Fryderyka Chopina. Od 17 lat, czyli od samego początku, Olga Walentynowicz jest współorganizatorem koncertów w Waplewie i je zapowiada. Teraz też, jak zwykle rzeczowo i ciekawie, zapowiadała występ córki, przygotowując słuchaczy do odbioru muzyki nigdy dotąd tutaj niewykonywanej.

Na program złożyły się trzy coraz dłuższe utwory. Koncert zaczął się od miniatury amerykańskiej kompozytorki Julii Wolfe pt. *East Broadway* na midi keyboard i ścieżkę dźwiękową z 1993 r. Jest to krótki utwór programowy trwający 4 minuty, mający oddać atmosferę nowojorskiej ulicy, przy której z jednej strony mieszkają Chińczycy, a po drugiej Żydzi. Zauważyłem, że dominują w nim różne instrumenty perkusyjne i muzyka chińska oparta na pentatonice. Melodii żydowskich nie wyłapałem.

Jako następny był prezentowany 25-minutowy utwór francuskiego kompozytora Pierre'a Jodlowskiego pn. *Série Cendre* na fortepian i ścieżkę dźwiękową z 2022 r. napisany specjalnie dla pianistki. To także utwór programowy inspirowany obrazami niemieckiego malarza, mający ukazywać odcienie popieli – szarości, w domyśle: szarości życia i przemijania. Zaczął się od wygłoszanej przez kobiecyc głos dłuższej informacji w języku włoskim tłumaczonej na napisy w języku angielskim wyświetlane na ekranie. Wśród jego kilku części

zauważyłem niektóre tytuły: „Ocean”, „Czas”, „Taniec”, „Nieskończoność”. Spreparowana muzyka fortepianu ma tutaj często charakter perkusyjny i współgra z najróżniejszymi, szmerowymi dźwiękami odtwarzanymi ze ścieżki dźwiękowej.

Na końcu usłyszeliśmy najdłuższy utwór, trwający prawie pół godziny, kanadyjskiej kompozytorki Nicole Lizée pt. *Kubrick Études* z 2016 r. napisany pod wpływem trzech filmów Stanleya Kubricka – *Lśnienie*, *Mechaniczna pomarańcza* i *Odyseja kosmiczna*. Muzyka w tym utworze, co zaznaczono w tytule, wykorzystuje

technikę kompozytorską zwaną „glitch”, służącą – jak podają źródła – do kreowania ciekawych efektów zacięcia, stukania, zapętlenia, trzasków, mash-upów (czyli umiejętnego połączenia ze sobą dwóch lub więcej melodii w celu osiągnięcia nowej, spójnej kompozycji) i innych dziwnych dźwięków. Natomiast skomplikowana muzyka partii fortepianowej, grana przez pianistkę do obrazów wyświetlanych na ekranie, tak jak to kiedyś było w kinach z niemymi filmami, jest niemalże toniczna. Powtarzające się wiele razy ujęcia obrazów, np. dziecka jeżdżącego na trójkołowym rowerku po wielkim pomieszczeniu, czy mężczyzny piszącego na starej maszynie do pisania, w moim odczuciu, niepotrzebnie wydłużają czas trwania utworu i są w odbiorze mocno nużące.

Zgromadzona w Waplewie publiczność dobrze przyjęła pianistkę i prezentowane przez nią utwory. Nie było co prawda zbyt burzliwych oklasków, ale można powiedzieć, że muzykę i pianistkę przyjęto z powagą i zrozumieniem.

Dodać tutaj trzeba kilka słów o wykonawczyni. Małgorzata Walentynowicz jest absolwentką Akademii Muzycznej w Gdańsku, Hanowerze i Stuttgarcie. Ma tytuł doktora habilitowanego sztuki i obecnie pracuje na stanowisku profesora Akademii Muzycznej w Gdańsku. Wspecjalizowała się w muzyce współczesnej i w tej dziedzinie zdobyła wiele pierwszych nagród na znanych konkursach w Amsterdamie, Nowym Jorku, Buffalo czy w Rotterdamie i Kolonii. W swoim dorobku artystycznym ma około 200 prawykonania utworów współczesnych napisanych przez kompozytorów z najróżniejszych krajów świata. Czy po jej koncercie muzyka współczesna będzie wracała do Waplewa? Moim zdaniem, od czasu do czasu publiczność waplewska powinna mieć możliwość wysłuchania takiej muzyki.



Mateusz Krzyżowski gra na fortepianie Steingraeber & Söhne, fot. W. Bielecki

W sobotnim recitalu w dniu 30 września br. usłyszeliśmy młodego i już bardzo utytułowanego pianistę Mateusza Krzyżowskiego, który w ubiegłym roku ukończył studia na Uniwersytecie Muzycznym Fryderyka Chopina w Warszawie w klasie profesor Joanny Ławrynowicz-Just. Jego największym osiągnięciem jest zdobycie I nagrody (35 tys. euro) na XII Międzynarodowym Konkursie Pianistycznym im. I. J. Paderewskiego w Bydgoszczy w 2022 r. Relację z tego wydarzenia przedstawiłem w „Prowincji” nr 1 z tego roku. Zwróciłem w niej uwagę na rywalizację między Mateuszem Krzyżowskim związanym z Tychami na Śląsku, a „naszym”, bo wywodzącym się z Gdańska, Piotrem Pawlakiem. W Bydgoszczy lepszy okazał się Mateusz Krzyżowski, który wygrał konkurs i został obsypany nagrodami pozaregulaminowymi. Natomiast Piotr Pawlak po finałowych zmaganiach musiał się zadowolić wyróżnieniem, jednak miesiąc wcześniej został doceniony w Helsinkach, gdzie zdobył pierwszą nagrodę (30 tys. euro) na V Międzynarodowym Konkursie Pianistycznym im. Maj Lind. Co więcej, na początku października br. wziął udział w II Międzynarodowym Konkursie Chopinowski na Instrumentach Historycznych odbywającym się w Warszawie i zdobył świetne II miejsce.

Program recitalu Matusza Krzyżowskiego w Waplewie został podzielony na dwie części. W pierwszej usłyszeliśmy utwory I. J. Paderewskiego: *Legendę A-dur*, *Moment muzyczny* i *Sarabandę* oraz K. Szymanowskiego: cztery *Etiudy op. 4* i cztery *Mazurki op. 50*. Jednym słowem, młody artysta zaczął powolnymi i dość smutnymi miniaturami Paderewskiego, z których chyba najciekawsza była delikatnie wykonana *Sarabanda*, znana mi z jego wykonania podczas finałowego koncertu laureatów rok temu w Bydgoszczy. Mazurki Szymanowskiego były wyraźnie skontrastowane dynamicznie i rytmicznie. Te z nieparzystymi numerami są raczej spokojne, a parzyste bardziej dynamiczne i szybsze. Zostały wykonane ładnie i stylowo, tym bardziej że pianista zna twórczość Szymanowskiego, bo na konkursie w Bydgoszczy grał w finale jego *Sinfonię Concertante*.

W drugiej części koncertu zabrzmiały już tylko utwory Chopina: mocno zróżnicowana w nastrojach *Ballada g-moll*, burzliwe *Scherzo b-moll*, dwa romantyczne *Nokturny c-moll* i *fis-moll* oraz heroiczny *Polonez As-dur*. Rozegrany już artysta zgrał je przepięknie. Podziwiałem jego olimpijski sposób gry i absolutną kontrolę nad klawiaturą oraz fantastyczne opanowanie repertuaru, który w całości zagrał z pamięci. Publiczność nagrodziła pianistę owacją na stojąco i usłyszała na bis radosnego i pełnego błyskotliwej wirtuozerii *Walca As-dur op. 34 nr 1*.

Podczas krótkiej wymiany zdań z artystą po koncercie, kiedy składałem mu gratulacje, dowiedziałem się, że Mateusz Krzyżowski obecnie nie czuje potrzeby dalszych studiów zagranicznych. Został asystentem u swojej mistrzyni prof. Joanny Ławrynowicz-Just na Uniwersytecie Muzycznym Fryderyka Chopina w Warszawie i będzie uczył gry na fortepianie kilku studentów. Oczywiście, będzie też koncertował, bo jego kalendarz jest wypełniony terminami przyszłych wyjazdów. Artysta był mocno zaskoczony dużą frekwencją słuchaczy i obiecał powrót do Waplewa. Może w niedalekiej przyszłości usłyszymy go znowu. Mam nadzieję, że odbędzie to już w nowej sali koncertowej, na której otwarciu czekamy z niecierpliwością. Jak się dowiedziałem, remont się przedłuży i ma to nastąpić w 2025 r.

TCHITCHINADZE I SZYMCZEWSKA NA OŁOWIANCE

piątek, 6 października 2023 r.



Orkiestrą na Ołowiance dyryguje George Tchitchinadze, fot. Internet

Był to koncert z serii: Znacie? Znamy. To posłuchajcie! – Wszystko tutaj było mi znane: wykonawcy, utwory i miejsce. No może z wyjątkiem romantycznej *Uwertury w stylu włoskim* Franciszka Schuberta zagranej na powitanie. Podobno Schubert chciał tą uwerturą udowodnić za butelkę dobrego wina, że umie pisać w stylu Rossiniego, i to mu się udało.

Znakomita skrzypaczka Agata Szymczewska zagrała *Koncert skrzypcowy g-moll* Maxa Brucha z towarzyszeniem orkiestry symfonicznej Polskiej Opery Bałtyckiej w Gdańsku pod dyrekcją jej szefa George Tchitchinadze. To piękny, romantyczny koncert, który bardzo lubię, bo jest bardzo melodyjny i ma świetnie napisaną partię orkiestry, często dialogującą z solistą. Świetne też było wykonanie, chociaż solistka nie do końca opanowała pamięciowo swoją partię i musiała zerkać na pulpit z rozłożonymi nutami. Jak mówił zapowiadający koncert Konrad Mielnik, kompozytor tego utworu należy do twórców niesłusznie zapomnianych. Został zapamiętany tylko jako twórca *Koncertu skrzypcowego g-moll*, a przecież napisał także opery, oratoria, muzykę kameralną i pieśni. My pamiętamy także, że Max Bruch był w latach 1900-02 nauczycielem kompozycji Feliksa Nowowiejskiego w Meisterschule Königlische Akademie der Künste w Berlinie. Niewątpliwie przyczynił się do zdobycia przez Nowowiejskiego prestiżowej nagrody Giacomo Meyerbeera, i to dwukrotnie w 1902 i 1904 roku.

Po owacji na stojąco skrzypaczka zagrała na bis *Kaprys polski* Grażyny Bacewicz, przypominając melomanom przed jego wykonaniem, że urodziła się w Gdańsku 7 października. Dodajmy, że jest ona obecnie prezesem Towarzystwa Muzycznego im. Henryka Wieniawskiego w Poznaniu.

Po przerwie usłyszeliśmy *Szeherazadę* Mikołaja Rimskiego-Korsakowa. Trwający trzy kwadranse utwór, to wspaniałe dzieło muzyki symfonicznej, ukazujące genialny kunszt instrumentacyjny kompozytora. Jest to swoisty obraz muzyczny, który swoim programem nawiązuje do „Baśni z tysiąca i jednej nocy” i składa się z czterech części: *I. Morze i okręt Sindbada*, *II. Opowiadanie o księciu – kalendrze*, *III. Młody książę i młoda księżniczka*, *IV. Święto w Bagdadzie*. W ostatniej części znajduje się fantastyczny moment z muzyczną ilustracją burzy morskiej podczas której statek Sindbada rozbija się o skały. Coś niesamowitego.

Aby wykonać to dzieło orkiestra musi mieć nie tylko znakomitego skrzypka, grającego powtarzający się motyw Szeherazady (był nim koncertmistrz Robert Kwiatkowski), ale także wielu świetnych muzyków, bo kompozytor powierza solowe partie prawie wszystkim instrumentom. Są to solówki wymagające wirtuozowskiego opanowania instrumentu. Okazało się, że gdańscy muzycy są wirtuozami potrafiącymi zachwycić publiczność, a ta obdarzyła ich burzliwą owacją na stojąco trwającą przez kilka minut. Przyznam, że już dawno nie słyszałem takiego wybuchu zachwyty i radości po utworze wykonanym przez orkiestrę symfoniczną. Po natężeniu i długości oklasków trzeba przyznać, że orkiestra przebiła pod tym względem solistkę. Ten sukces zawdzięcza niewątpliwie dyrygentowi, a jest nim od 2017 roku Gruzin George Tchitchinadze lubiany nie tylko przez publiczność, ale i muzyków. Rozpoczął on swoją karierę jako dyrygent operowy w 1998 roku prowadząc koncert galowy w Tbilisi. Obecnie prowadzi w tym mieście klasę dyrygentury i stoi na czele Wydziału Operowego w Państwowym Konserwatorium. Dzieli więc swój czas między Tbilisi a Gdańsk. Jak powiedział w jednym z wywiadów: – *Od początku między mną, a orkiestrą pojawiło się coś wielkiego i na tyle ważnego, że nawet moi bliscy w Tbilisi wiedzą, że w Gdańsku mam nie tylko pracę, ale drugą rodzinę.*

MUZYKA NIE ZAWSZE ŁAGODZI OBYCZAJE

niedziela, 15 października 2023 r.

W tym roku *Cyrulik sewilski* Rossiniego, jedna z najświetniejszych oper komicznych, został wystawiony podczas festiwalu Garsington Opera w Wormsley, godzinę drogi samochodem na zachód od Londynu.

Garsington Opera to coroczny letni festiwal rozpoczęty w 1989 roku przez angielskiego finansistę Leonarda Ingramsa. Przez pierwsze 21 lat odbywał się w ogrodach domu Ingramsa w Garsington Manor w hrabstwie Oxfordshire, a od 2011 roku został przeniesiony do niedalekiego Wormsley Park, bliżej stolicy Anglii.

Spektakle odbywają się od końca maja do końca lipca w specjalnie zaprojektowanym pawilonie operowym na 600 miejsc z którego można podziwiać otaczający krajobraz. Po sezonie ta tymczasowa budowla jest rozbierana. Opery są zwykle wystawiane w oryginalnym języku z angielskimi napisami. Występy rozpoczynają się wczesnym wieczorem, a w trakcie przerw między aktami widzowie mają czas na długą, półtoragodzinną kolację. Obowiązuje strój wieczorowy w kolorze stosownym do scenografii.

Cyrulika sewilskiego mogłem zobaczyć na platformie internetowej OperaVision. Po obejrzeniu takiego spektaklu chciałoby się pojechać do Wormsley Park na kolejny festiwal. Jest w tym wszystkim jedno ale... Wydawać by się mogło, że muzyka nikomu nie przeszkadza, wręcz łągodzi obyczaje, jak pisał Platon, tymczasem angielskie media podają, że bywało inaczej. Już w początkowych latach festiwalu organizatorzy musieli postawić dźwiękoszczelne ekrany wokół pawilonu operowego w odpowiedzi na skargi osób mieszkających w pobliżu. Przyznano im tysiąc funtów odszkodowania za hałas powodowany przez wystawiane spektakle. Kiedy jednak odszkodowanie to zostało uchylone w wyniku odwołania, jedna z mieszkańek namówiła swoich sąsiadów do osobliwej kampanii podczas wykonywania opery *Le Pescatrici (Rybaczki)* Haydna. Zaczęli oni jednocześnie kosić swoje trawniki kosiarkami elektrycznymi i traktorkami z silnikiem Diesla, przycinać piłami żywopłoty i włączać węże do podlewania. Uruchomiono alarmy samochodowe a podczas finału przedstawienia nad pawilonem operowym z hałasem motorów przeleciał prywatny samolot.

Protestujący próbowali wykorzystać ustawę o prawach człowieka, aby w ogóle zablokować występy w Garsington Opera, twierdząc, że uniemożliwiają im prawo do „spokojnego korzystania z ich mienia”. Służby środowiskowe hrabstwa przeprowadziły monitorowanie przedstawień operowych w kilku minionych sezonach, ale za każdym razem dochodziły do wniosku, że nie było uciążliwości związanych z hałasem. I tak to niewinne spektakle operowe rozpały i podzieliły podobno spokojnych i flegmatycznych Anglików. W tym sezonie o protestach mieszkańców nie było słyhać.

VIVALDI POD POLSKIM NIEBEM

środa, 25 października 2023 r.



Wykonawcy oratorium: solistki na scenie, poniżej orkiestra i dyrygent, fot. W. Bielecki

Jak wiadomo, Antonio Vivaldi nigdy nie był w Polsce. Jednakże dzisiaj wieczorem zostało wystawione po raz pierwszy w Gdańsku jego oratorium *Judyta tryumfująca*. Odbyło się to w auli dawnego Gimnazjum Polskiej Macierzy Szkolnej przy ulicy Augustyńskiego, gdzie na suficie znajduje się wielki obraz *Niebo polskie*. Namalowali je w 1938 roku Bolesław Cybis i Jan Zamojski. Obraz jest alegorią. Artyści, jak dowiadujemy się z okolicznościowej broszurki, *nie chcieli pokazywać bitew czy wojen, ale spróbowali znaleźć i oddać malarsko ducha polskości. Wyrazić wartości, które w nas wszystkich od dzieciństwa są zaszczerpione i hołubione*. Dlatego w centralnej części obrazu znajduje się biała postać kobieca: Mater Polonia, a przy niej biały orzeł, a wśród licznych gwiazdozbiorów znajdziemy Tarczę Sobieskiego, nazwaną tak przez gdańskiego astronoma Jana Heweliusza. Po rozpoczęciu II wojny światowej Niemcy zniszczyli obraz, dokładnie go skuli, aby uniemożliwić jego odтворzenie. Udało się go zrekonstruować dopiero w 2018 roku w setną rocznicę powstania Polski. Dokonał tego zespół pod kierownictwem prof. Jacka Zdybela, a prace sfinansował Urząd Marszałkowski Województwa Pomorskiego.

Rozpisałem się trochę o tym obrazie, ale przy wykonywaniu i słuchaniu muzyki bardzo ważne jest miejsce w którym jest ona wykonywana. Akurat to dzieło Vivaldiego mogłem dzień później wysłuchać w sali koncertowej Akademii Muzycznej w Gdańsku, ale wolałem usłyszeć je pod „polskim niebem”.

Wykonawcami oratorium Vivaldiego *Juditha triumphans devicta Holofernis barbarie (Judyta tryumfująca, zwycięska nad barbarzyńcami Holofernesa)* były studentki i studenci specjalności śpiew solowy z Wydziału Wokalno-Aktorskiego Akademii Muzycznej w Gdańsku oraz Cappella Gedanensis i zaproszeni goście grający na instrumentach dętych w zdwojonej obsadzie: flet, obój, trąbka oraz kotły, szpinet (odmiana klawesynu), mandolina, lutnia i cztery teorby, czyli wielkie lutnie z długą szyjką. Całością dyrygował prof. Przemysław Stanisławski.

Główne role zostały obsadzone podwójnie. Jako Judyta wystąpiły Jagoda Staruch i Julia Nowikowska, w rolę jej służącej Abry wcieliły się Gabriela Kleban i Agnieszka Nurzyńska, wodzem wojsk asyryjskich Holofernesem były Maria Muzyka i Maria Pilachowska, jego służbę Vagausa zagrały Marta Błaszak i Marzena Ostryńska i tylko Dorota Grzegorzewska w roli Ozias nie miała dublerki. Oprócz solistek śpiewał też mały chór mieszany składający się z pięciu głosów żeńskich i tyłuż męskich.

Vivaldi napisał oratorium w 1716 r. dla Ospedale della Pietà w Wenecji, czyli sierocińca dla dziewcząt w którym pracował przez wiele lat jako nauczyciel gry na skrzypcach i dyrygent orkiestry. Libretto stworzył Giacomo Casseti na podstawie historii wziętej ze Starego Testamentu – apokryficznej Księgi Judyty. Opowiada ona o oblężeniu żydowskiego miasta Betulii (do dzisiaj niezindenfikowanego) przez Asyryjczyków pod wodzą Holofernesa. Miasto broni się dzielnie, ale jego upadek wydaje się przesadzony. Judyta, piękna żydowska wdowa udaje się do obozu wroga wraz ze swoją służącą Abra, aby błagać wodza o litość. Udaje się jej uwieść Holofernesa, a gdy ten zasypia upojony winem, ucina mu głowę mieczem. Judyta wraca do Betuli z głową wroga i zawiesza ją na murach miasta. Podniesieni na duchu obrońcy atakują i przepędzają pozbawionych przywódców Asyryjczyków.

Jak wypadło to wykonanie *Judyty tryumfującej*? Słuchałem oratorium z dużym zainteresowaniem i wielką przyjemnością, chociaż na początku, kiedy orkiestra grała w całości,

czyli tutti, bębny i barokowe trąbki skutecznie zagłuszyły chór i solistki. Potem w partii orkiestrowej dominowały skrzypce z melodiami przypominającymi znane koncerty Vivaldiego. Pięknie też brzmiał akompaniament – basso continuo wykonywane głównie na szpincie i wiolonczeli oraz zespół czterech teorb, czyli arcyłutni. Grali na nich muzycy z Akademii Muzycznej z Katowic. Jednym z powodów, dla których *Judyta triumfująca* jest rzadko wykonywana jest zapewne trudność polegająca na nietypowym składzie orkiestry, a szczególnie znalezieniu aż czterech muzyków grających na teorbach. Wśród solistek spodobała mi się występująca w pierwszej kolejności jako Holofernes, i druga w kolejności, jako Judyta oraz śpiewająca brawurowo na końcu oratorium arię Vagausa, sługi asyryjskiego wodza. Piszę tak oględnie, ponieważ solistki nie zostały przedstawione i nie byłem w stanie zidentyfikować ich imiennie.

Spośród ponad dwudziestu recytatywów i arii osobliwie piękna była aria Judyty z udziałem mandoliny i skrzypiec grających pizzicato: *Transit aetas (Życie mija niepostrzeżenie... nasze pasje ulatują jak dym)* oraz aria Vagausa z dwoma fletami w tle: *Umbra carae, aurae adoratae (Drogi cieniu, uwielbiany przez wiatr)*. Do sali „Niebo Polskie” bardzo dobrze pasowały słowa arii Ozias: *O gwiazdy, o konstelacje, bądźcie razem z księżycem pochodnią wśród okrutnych wrogów*.

Wyjaśnić tutaj trzeba, że przez cały czas koncertu łaćniński tekst oratorium był tłumaczony na język polski i wyświetlany na ekranie nad głowami solistów. Bez tego trudno byłoby zrozumieć trwające ponad dwie godziny to „Święte oratorium wojskowe”, jak brzmi jego podtytuł w oryginale. Jego akcja toczy się dość powoli i nie ma w nim nazbyt dramatycznych momentów, nawet – co mnie zdziwiło – w kulminacyjnej scenie, kiedy Judyta dokonuje straszliwego mord. Najbardziej dramatyczna jest aria Vaugasa *Armator face* w chwili, kiedy zobaczył skrwawione zwłoki swego pana pozbawione głowy. Publiczność, około 150 osób, długimi i gromkimi oklaskami nagrodziła wykonawców. Następnego dnia *Judyta tryumfująca* została powtórzona w sali koncertowej Akademii Muzycznej w Gdańsku.

RIGOLETTO W KAMPERACH

wtorek, 7 listopada 2023 r.

Prapremiera opery *Rigoletto* Giuseppe Verdiego odbyła się Operze Bałtyckiej w Gdańsku na początku czerwca br., a ja oglądałem kolejny spektakl już w jesiennej aurze. Reżyserem przedstawienia jest szef tej instytucji Romuald Wicza-Pokojski. To on zdecydował, że akcja opery powstałej na podstawie dramatu Victora Hugo pt. *Król się bawi* została przeniesiona z XVI wieku w lata osiemdziesiąte ubiegłego stulecia. Zamiast więc na początku oglądać bal w pałacu księcia Mantui, przyglądamy się zabawie na polu kempingowym otoczonym kamperami, a raczej mieszkalnymi przyczepami holowanymi przez samochody. Jej uczestnicy przebrani są w charakterystyczne, wielokolorowe dresy: kiedyś nazywano ich dresiarzami. I tutaj zaczyna się problem dla widza, albowiem muzyka oraz tekst libretta nie został zmieniony i aktorzy śpiewają o księciu, błaznie, dworzanach, pałacu, zamkowej wieży, a na księżęta i dworzan nie wyglądają. W mojej ocenie jest to najgorsza od strony wizualnej realizacja opery na gdańskiej scenie, jaką kiedykolwiek udało mi się oglądać. W porównaniu

Opera
Bałtycka
w Gdańsku



Plakat do spektaklu powstał przy wykorzystaniu sztucznej inteligencji, fot. Internet

do wstawionej tutaj niedawno z wielkim przepychem *Aidy* Verdiego, już bardziej siermiężnie i taniej nie da się chyba wystawić jakiegokolwiek dramatu operowego. To tyle o warstwie wizualnej.

Gdy chodzi o muzykę Verdiego, to broni się sama. Jest ona bardzo melodyjna i czasami zaskakująco prosta w akompaniamencie orkiestrowym. *Rigoletto* zawiera kilka arii i sceny zbiorowych znanych nie tylko melomanom. Któż bowiem nie zna słynnej arii *La donna è mobile* (*Kobieta zmienną jest*) śpiewanej przez podchmielonego księcia, niestety, tutaj w obskurnej przyczepie. W oglądanym przedstawieniu w roli księcia Mantui, zepsutego uwodziciela niewieścich serc, wystąpił Łukasz Załęski dysponujący ładnym głosem tenorowym. Główną rolę, tytułowego Rigoletta, zaśpiewał barytonem o basowym zabarwieniu Leszek Skrla, chyba najświetniejszy wykonawca w tej obsadzie. Nie tylko pięknie śpiewał,

ale pod względem aktorskim był bardzo przekonujący, szczególnie w końcowej scenie, kiedy dowiaduje się, że w worku dostarczonym przez płatnego mordercę Sparafucile'a (w tej roli wystąpił dysponujący mocnym basem Szymon Kobyliński) nie ma ciała księcia, tylko jego konająca córka Gilda. W jej rolę wcieliła się sopranistka Joanna Kędzior, która przepięknie zaśpiewała arię *Caro nome*. Jej głos z jednej strony jest pełen delikatności i dużego blasku, a z drugiej, to głos mocny, potrafiący się przebić przez orkiestrę. Śpiewaczka nie miała żadnego problemu z wykonaniem miejsc zawierających bardzo wysokie dźwięki i nasyconych koloraturą.

Miłośnicy Verdiego czekają zawsze na słynną scenę w III akcie z niezrównanym kwartetem *Bella figlia dell'amore*. Gdańscy śpiewacy wykonali ją przepięknie, chociaż jeszcze nie tak, jak w moim ulubionym nagraniu z Anną Netrebko, Eliną Garancą, Ramónem Vargasem, Ludovickiem Tézierem pod dyrekcją Marco Armiliato. Przedstawieniem dyrygował udanie Piotr Mazurek, który czyni to na zmianę z Yaroslavem Shemetem, aktualnym dyrektorem muzycznym Opery Bałtyckiej w Gdańsku.

Sumując, warstwa muzyczna tej realizacji *Rigoletta* została wykonana znakomicie, ale operę popsuła chybiona, moim zdaniem, realizacja wizualna, czyli scenografia, kostiumy oraz niepotrzebne przeniesienie akcji w czasy współczesne.

MANDAŁA

PORZĄDKUJE ŚWIAT

Z malborską malarką Anną Albrecht rozmawia Alicja Łukawska

– Jaka była Twoja droga twórcza do malowania mandali? Jesteś przecież z wykształcenia rolnikiem.

– Jestem z wykształcenia zootechnikiem, absolwentką Akademii Rolniczo-Technicznej w Olsztynie. Mam też pewne przygotowanie artystyczne. Czterdzieści lat temu skończyłam kurs tkactwa artystycznego i tkalam gobeliny z wełny. Uczęszczałam na zajęcia organizowane przez Nadbałtyckie Stowarzyszenie Marynistów i prowadzone przez osoby pracujące w gdańskiej Akademii Sztuk Pięknych. A moja droga twórcza do malowania mandali zaczęła się od tego, że zainteresowałam się radiestezją i energiami. Moje poszukiwania naprowadziły mnie właśnie na mandale, które swoim kształtem działają na otoczenie, porządkując tę energię. Mandala to jest kwadrat i okrąg ze wspólnym punktem w środku. Dziesięć lat temu było bardzo upalne lato. Siedziałam sobie na tarasie. Mój mąż Jacek, który od dziecka maluje obrazy, choć z zawodu jest inżynierem budownictwa, wyjechał akurat na plener. Wtedy właśnie pomyślałam sobie, że byłoby fajnie coś namalować. Wtedy też pomyślałam o mandali. Po plenerze Jacek wrócił do domu z kolegą malarzem. I ten kolega popatrzył na moje dzieło i powiedział: „Jakie fajne! Dziewczyno, ty maluj!”. Takie słowa z boku, kogoś obcego, wiele znaczą. Bo swój, to wiadomo, pochwali...

– **Bo musi?**

– Bo chce, żeby było miło. Bo chce wesprzeć. A obcy nie ma takiego obowiązku. Obcy nie musi. To mnie tak szturchnęło, że nabrałam ochoty na malowanie. U nas w rodzinie zresztą wszyscy malują: o Jacku już wspomniałam, artystkami są też moje córki. Agnieszka skończyła Akademię Sztuk Pięknych w Poznaniu, Beata wydział architektury na Politechnice Gdańskiej, malarzem jest też zięć – Mariusz Stawarski.

– **Ale dlaczego wybrałaś akurat mandale? Co znaczy dla ciebie mandala? To jest przecież symbol obecny w wielu systemach religijnych, Dalekiego Wschodu, Bliskiego Wschodu, a także chrześcijaństwa, zwłaszcza średniowiecznego w postaci rozety...**

– Mandala to jest dla mnie sposób na zharmonizowanie przestrzeni, która dzięki obecności tego kształtu robi się spokojniejsza, łagodniejsza, miłsza. Człowiek tego nie widzi, ale z czasem to się czuje. Uważam, że mandala powinna wisieć w każdym domu. Można taką mandalę dostosować do potrzeb danej osoby, do tego, co ona chce zmienić czy uporządkować w swoim życiu. Mandala to dla mnie poprawa jakości życia. U nas w sklepie papierniczym „Kopiał” przy wejściu wisi mandala, która namalowała moja młodsza córka Beata. Mam wrażenie, że ta mandala harmonizuje energię tej naszej firmy rodzinnej.

– **Czyli twoje obrazy oprócz funkcji upiększania przestrzeni mają też działanie terapeutyczne?**

– Upiększanie przestrzeni to jest skutek uboczny. Najważniejsze zadanie mandali to jest działanie terapeutyczne, wspierające, wzmacniające i pomagające człowiekowi.

– **Czym się kierujesz przy malowaniu mandali? Medytujesz, szukasz w sobie inspiracji, kształtów, kolorów? Czy to jest spontaniczne? Jak wygląda twoja droga twórcza do obrazu?**

– Od lat interesuję się duchowością i symbolami, którymi ludzie się otaczali i przypisywali jakieś znaczenie. Mam sporo literatury na ten temat. Gdy znajduję taki symbol, który ma działanie pozytywne i do mnie przemawia, to umieszczam go w centrum mandali. A reszta to już leci sama... Centralny symbol warunkuje kształt mandali. Kolorystyka? Trudno mi powiedzieć. To już chyba zależy od pory roku, stanu psychicznego autorki...

– **Twoje mandale są przeważnie w ciepłych kolorach Ziemi. Zauważyłam, że u Was w domu, jak się przechodzi z Twojej pracowni do pracowni Jacka, to jest różnica w kolorystyce. U niego są kolory zimne, a u Ciebie ciepłe, dużo brązu, czerwieni, złota.**

– Tak, bo ja jestem osobą z żywiołu Ziemi. Dlatego kocham wszelkie ciepłe kolory. Pierwsza moja myśl, jak chcę namalować mandalę, to przychodzą mi do głowy jakieś pomarańcze, złote, czerwienie. Namalowałam kilkanaście mandali i prawie wszystkie są złoto-pomarańczowe. To jest mój ukochany zestaw kolorystyczny: ciepłe kolory ziemi i kamienie. Nieraz myślę sobie, że może trzeba w jakimś innym kolorze namalować mandalę.

– **A co sądzisz o teorii Carla Gustava Junga, według której malowanie mandali to jest proces rozwiązywania problemów psychicznych? Tego typu zajęcia plastyczne były popularne kiedyś w szpitalach dla nerwowo chorych, to była taka terapia w ramach tzw. nowej psychiatrii. Co myślisz o tym?**

– Myślę, że to ma swoje działanie terapeutyczne dla twórcy. Ja jednak traktuję to inaczej, ponieważ malując mandale, myślę zawsze o odbiorcy. Mam nadzieję, że ten obraz gdzieś zawisnie i kogoś będzie cieszył.

– **Ile dokładnie mandali namalowałaś do tej pory?**

– Obecnie jest ich szesnaście.

– **Ale będą następne?**

– Tak, oczywiście. Nieraz jest tak, że maluję coś innego i w pewnym momencie czuję, że muszę namalować mandalę.

– **Malujesz także inne rzeczy poza mandalami, prawda?**

– Poza tym maluję pejzaże miejskie, głównie z Malborka, gdzie mieszkam. Na początku malowałam przede wszystkim zamek, który mnie zafascynował. A potem poczułam potrzebę malowania starej architektury w Malborku, która jest piękna, ale bardzo zniszczona. To jest godne upamiętnienia, bo te stare domy są już często rozbierane i znikają.

Paulina Hoppe-Gołebiewska



O PROBLEMACH (NIE)MŁODEJ PISARKI

Jak zwykle oddaję tekst na ostatnią chwilę. Dlatego też zaraz po zdaniu jednego, poszukuję już inspiracji do kolejnego. Zawsze też wtedy mam mocne postanowienie, że w kolejnych dniach oddam nowy, już następny. Żeby co kwartał, regularnie nie gonić się z czasem i nie szukać na przysłowiowy *gwalt* tematu i pomysłu. *Szczerze?* Zupełnie mi to nie wychodzi. Zawsze kończy się to tak, że w ostatnich dniach siadam i zastanawiam się co dalej. O czym matka mi nie powie, a o czym ja mogę napisać.

O tym, że jesienią bywa ciężko dla psychiki? Było.

O tym, że czas płynie i po dzieciach widać najbardziej? Było.

O przeklinaniu? Było.

O czym pisać, kiedy codzienność jest codziennością, niczym szczególnym i liczy się od poranka do nocy? Kiedy każdy dzień wygląda niemal tak samo, a weekend jest oczekiwaniem na kolejne pięć dni pracy?

Wstaję z kanapy i sięgam po ostatni numer „Prowincji”. Ostatnio to właśnie w kwartalniku znalazłam inspirację do napisania o rodzicielskim przeklinaniu. Nieskromnie powiem, że był to jeden z lepszych, jakie przyszło mi napisać i byłam nawet z niego dumna przez chwilę. Krótką, bo potem zdałam sobie sprawę, że sama sobie podniosłam poprzeczkę. Zerkam na pastelowo niebieską okładkę, na której zrelaksowany księżyc buja się w takt sobie tylko słyszanej melodii. Okładka każdego wydania zawsze mnie intryguje i nie do końca potrafię rozgryźć intencję autora. Niektóre wydania przykuwają moją uwagę, inne w mojej głowie przechodzą bez echa. A jednak księżyc mnie woła, więc łapię w dłonie i otwieram na przedmowie Redaktora Naczelnego. Czytam ją w każdym numerze z wielkim zainteresowaniem, zastanawiając się, czy pojawia się na jej końcu, czy nie. Wiecie, nawet gdy pracujemy nad swoim ego i nie chcemy, by nami rządziło, czasem trzeba je pojechać. Szczególnie, gdy się tworzy. Jesteśmy tylko ludźmi.

W każdym razie już z pierwszych słów Leszka wiem, że znaleźć inspirację do tekstu u pana Andrzeja C. Leszczyńskiego nie będzie lekko. Raz fortel przeszedł, ale jak Platona wpleść w rodzicielstwo? Czy Platon w ogóle był rodzicem? Przebiega mi przez głowę szybkie pytanie, na które być może poszukam wkrótce odpowiedzi. Czytam dalej: „(...) o władzy, jej skuteczności, demagogii, pysze, farsie i arogancji.” Tu już bliżej moich tematów, w końcu skuteczność władzy rodzicielskiej to temat szeroki i głęboki jak ocean spokojny. Farsa i arogancja. Zestawienie również nadające się do adaptacji, bliskie rodzicielskiemu światkowi, szczególnie w dobie internetu. Panie Andrzeju, poprzeczka wysoko, ale czuję, że dałabym radę. Mogłabym pomyśleć, jak to kreatywnie połączyć, jednak jedyne, co stoi na przeszkodzie, to ... czas! Gdybyś tylko kobieto wcześniej zebrała dupę, to raz: nie goniłabyś

teraz za tematem, dwa: nie byłoby Ci głupio przed Leszkiem. Zawsze spóźniona (czego nie cierpię!) i zawsze ostatnia.

Wzdycham.

Kończę czytać wstęp. Moje nazwisko wymienione na końcu, jedno zdanie. Zerkam ponownie. Poprawka: pół zdania. Może być, choć jak na tak kreatywny tekst, w którym wspięłam się na wyżyny twórczości i przetrzepałam internet w poszukiwaniu badań potwierdzających moją tezę, sądzę, że zasługuję na całe zdanie. Naprawdę się starałam.

Kartkuję dalej swój egzemplarz i zatrzymuję się na poezji. Nie do końca jestem fanką tej twórczości, ale bywają wiersze, które zostają ze mną na długo. Tu Adam Gwara trafia do mnie ze swoim Da Capo Al Fine. W sposób treściwy i poetycki opisuje słomiane zrywy społeczeństwa niesione dramatycznymi wydarzeniami.

Słomiane zrywy.

W rodzicielstwie jestem ich królową. Ciekawe, czy tylko ja? Czy to kolejny temat tabu, o którym mówi się tylko w zamkniętych pomieszczeniach i z zaufanymi ludźmi? Muszę odnotować, bo może właśnie znalazłam kolejną inspirację, a Leszek nie będzie musiał w nieskończoność czekać na mój materiał.

Kartkuję dalej pięćdziesiąty trzeci numer „Prowincji”. Pełno w nich historii, podróży, zdjęć i wspomnień. Rozpraw niemal naukowych, a na końcu ja. Aaa, nie. Przepraszam: mój tekst jest przedostatni, ostatnia jest recenzja napisana przez pana Janusza Ryszkowskiego. Zerkam na zdjęcie i czuję ulgę, że niezmienione, bo przy ostatniej takiej sytuacji wyglądałam na nim między słowem a uśmiechem. Tragicznie.

O przekleństwach i nie tylko... brzmi tytuł. Prosto i konkretnie, czyli ja bym na to nie wpadła. Powinno obok mojego widnieć zdjęcie Leszka, bo to ewidentnie Jego wkład w moją twórczość. Sukcesem lubię się dzielić, więc przekażę Mu tę uwagę... Albo i nie, sam sobie przeczyta, jak tylko otrzyma mój materiał. Ciekawe, czy to opublikuje? Zastanawiam się, uśmiechając się pod nosem. Przypominam sobie, jak podczas jednej z promocji „Prowincji” Leszek powiedział, że oczekuje więcej osobistych tekstów. Co może być bardziej osobiste, niż proces myślowy początkującej pisarki szukającej tematu do kwartalnika społeczno-kulturalnego Powiśla i Żuław? I proszę, oto kończę pisać *O problemach (nie) młodej pisarki. W poszukiwaniu weny*. Od dłuższego czasu mierzę się z prawdą, że smykałka do pisania to jedno: trzeba jeszcze znaleźć temat. A czasem? Czasem wystarczy po prostu pisać.

Słowa pisane mają ogromną moc. Potrafią zwykłą codzienność zamienić w wyjątkowe chwile. Odpowiednio dobrane płyną kształtując obraz w naszej głowie i nadając mu barwy, emocje, kształty. Czytane przez różne osoby tworzą różne obrazy. Pozwalają wyrażać emocje, opinie. Mogą być informacją dla odbiorcy lub mogą wyrażać gorące pragnienie twórcy. Napędzać mogą je różne cele, a czasem jest to zwykła – choć niezwykła w swojej istocie – potrzeba pisania. Tworzenia. A czasem zwyczajnie gonitwa myśli przelanych pół żartem, pół serio na papier. I wątpliwość: czy odbiorcy się spodoba? I czy Redaktor Naczelny puści do druku?

Andrzej Lubiński

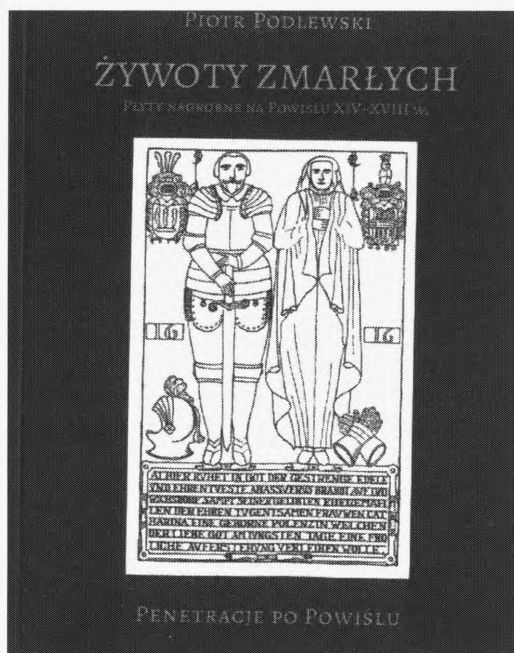


PASJE SZTUMSKIEGO REGIONALISTY

Piotr Podlewski, Żywyoty zmarłych. Płyty nagrobne na Powiślu XIV–XVIII w. Penetracje po Powiślu, Sztum 2023.

Wśród członków Towarzystwa Miłośników Ziemi Sztumskiej znajduje się pięć osób zajmujących się popularyzacją przeszłości Powiśla. Jednym z nich jest autor prezentowanej publikacji. Po uzyskaniu matury, rozpoczął studia historyczne na Wydziale Humanistycznym Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie. Uczestniczył w sesjach naukowych z udziałem badaczy polskich i niemieckich w Sztumie i Sankelmark koło Flensburga w roku 2002 i 2003 i innych organizowanych na terenie Polski. Ukończył również podyplomowe studia w zakresie etnologii w UMK w Toruniu. W roku 2021 wydał książkę „Penetracje wokół Sztumu”, pisząc w sposób bardzo atrakcyjny o mało znanych szerzej publiczności faktach z różnych miejscowości leżących na Powiślu. Jest również członkiem dwóch zespołów muzycznych „Abdopus” i „X- Projekt”.

„Żywyoty zmarłych” stanowią rozwinięcie jego pracy magisterskiej, jaką przygotował na seminarium prof. dr hab. Stanisława Achremczyka. Na książkę składa się: wstęp, trzy rozdziały, zakończenie i bibliografia. Pierwszy rozdział przedstawia „Płyty nagrobne stanu szlacheckiego”. Ich prezentację rozpoczyna od kościoła we wsi Łęgowo. Ta wieś należała do rodziny Polentz od roku 1532. Na początku XVII wieku w miejsce zdewastowanego średniowiecznego kościoła



Aleksander Polentz wybudował nowy kościół, w którym spoczął syn Teofil jego i żona Dorota, czyli prawnuk Georga Polentza biskupa sambijskiego, który przeszedł na luteranizm. Płyta nagrobna Teofila i Doroty jest bardzo podobna do płyty znajdującej się w kościele Suszu i należy do Mertena i Barbary Dzierżyńskich. Kolejna płyta związana z rodziną Polentz znajduje się w Trumiejach. Spoczywa tam żona Ahasverusa von Brandt – Katarzyna z domu Polentz. Kościół w Trumiejach posiada również interesującą płytę nagrobną rodziny von Kospoth. W katedrze kwidzyńskiej znajduje się najstarsza inskrypcja Mikołaja z Krzykos pochodząca z XIV wieku.

Ciekawa jest historia kolejnej płyty z kościoła w Rakowcu i dotyczy rodziny Lündenghäußen zwanej Wolf. Spoczywał pod nią Wilhelm, który zasłynął jako żołnierz w czasie wojny trzydziestoletniej 1618–1648 r. Na zewnętrznej ścianie sztumskiego kościoła św. Anny znajduje się płyta nagrobna wojewody malborskiego i starosty sztumskiego Acha-cego Czemy, wykonana z białego wapienia. Należał on do najbliższych współpracowników ostatnich Jagiellonów oraz Albrechta Hohenzollerna, którego informował o sytuacji politycznej w Prusach Królewskich. Był katolikiem, z biegiem czasu został luteraninem, zmarł w Królewcu, a pochowano go w sztumskim kościele.

W sztumskiej świątyni znajduje się kilka płyt nagrobnych rodziny Bażyńskich z całkowicie zatartymi już napisami. Z nimi spokrewniony był Czema poprzez małżeństwo z Dorotą Bażyńską. Interesująca jest płyta nagrobna najbardziej znanego polskiego polityka Prus Królewskich z drugiej połowy XVII wieku Kazimierza Zawadzkiego, właściciela Waplewa, który spoczywa w kościele reformatów w Dzierzgoniu.

Drugi rozdział omawia płyty nagrobne związane z osobami stanu duchownego. Najwięcej ich znajduje się w katedrze kwidzyńskiej. Autor dokładnie omawia płyty biskupów: Mikołaja, Gerharda Stolpmanna, Kaspra Linke, Jana IV Kierstani. Oprócz spoczywających biskupów autor informuje o duchownych niższego stanu. Jeden z nich to proboszcz z Gardei Jakobus Raddin oraz płyta Mikołaja Moncha, brata biskupa Jana Moncha. We fragmencie zachowała się tylko płyta Jana z Kwidzyna spowiednika znanej mistyczki Doroty z Montów, która dała się zamurować w celi przy katedrze w roku 1393 i zmarła w niej w 25 czerwca 1394 roku. W kościele w Królewcu Malborskim znajduje się

płyta proboszcza Fabiana Timma, który zmarł 24 sierpnia 1645 r. Kościół w Jasnej posiada dwie płyty nagrobne – pastora ewangelickiego Gregoriusa Severusa i jego żony Anny, zaś dzierzgoński kościół pod wezwaniem Trójcy Przenajświętszej – płytę nagrobną proboszcza księdza Franciszka Neitzlichowskiego, zmarłego w roku 1745.

Trzeci rozdział omawia płyty mieszczan i posiadaczy ziemskich. Najbardziej znana płyta należy do sztumskiego burmistrza Petera Mogge, który zmarł w roku 1717. Był to jeden z najdłużej sprawujących ten urząd w dziejach miasta. Jego płyta znajdowała się na cmentarzu ewangelickim, a w okresie międzywojennym na wniosek burmistrza Sztumu dr Josepha Nesterera została umieszczona w przedsionku kościoła ewangelickiego. W Królewcu Malborskim zachowało się w dobrym stanie 9 siedemnastowiecznych płyt nagrobnych. Bogatych chłopów zamieszkujących Żuławy stać było na postawienie płyt na jakie wcześniej mogła sobie pozwolić szlachta. Zachowały się na nich gmerki wykonawców tych płyt. Dalsze cztery płyty znajdują się w Krzyżanowie. W poewangelickim kościele w Malborku znajdują się 22 płyty dobrze zachowane w całości lub fragmentach z XVIII wieku. Kwidzyńska katedra ma też płyty gospodarzy i mieszczan. Najbardziej znana należała do braci Stefana i Jana Loitz wywodzących się z rodziny gdańskich patrycjuszów oraz cztery mieszczan kwidzyńskich. Autor interesująco pisze o symbolice płyt nagrobnych i objaśnia, co oznacza: krzyż, anioły, gołębice, lampy, świece, alfa i omega, ryba, psalm, palmowa gałązka. Ich interpretacja może być różna w zależności od kontekstu oraz przekonania.

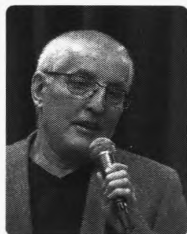
Autor mógłby wykorzystać najnowsze prace dotyczące dziejów biskupstwa pomezańskiego, mam tu na myśli książkę ks. prof.

Jana Wiśniewskiego „Historia diecezji pomezkańskiej t.1 Średniowiecze 1243–1525” oraz Mario Glauerta „Pomezkańska kapituła katedralna w czasach średniowiecza”, przekład i redakcja Radosława Biskupa. Genealogię rodziny Brandt dokładnie przedstawia Jacek Wijaczka w książce „Asverus Von Brandt 1509–1559. Życie i działalność dyplomatyczna w służbie księcia Albrechta pruskiego”. Trzy razy podaje autor nazwisko tej samej rodziny pisząc: Heideck, Heidek, a właściwe to Heydeck. Johann von Kospoth to dyplomata, który w Warszawie na sejmie 9 lipca 1628 r. reprezentował elektora Prus Książęcych razem z Otto Greberem i sekretarzem Piotrem Bergmannem (patrz: Adam Szelągowski „O ujście

Wisły – Wielka wojna pruska”, opracowanie Andrzeja Korytko). W kościele w Suszu w domu przedpogrzebowym znajduje się chorągiew żałobna rodziny Schack von Witenau, są też dwie płyty nagrobne z czasów nowożytnych. Chochlik drukarski doprowadził do błędnego zapisu roku śmierci Jana z Kwidzyna: jest 1327, a powinien być 1417 r., chociaż nieco niżej jest poprawna data śmierci spowiednika bł. Doroty.

Osoby interesujące się przeszłością regionu Powiśla znajdą dla siebie sporo ciekawych i nieznanymi wiadomości. Autor ze znanym prezentuje płyty, ale również przedstawia biografie ludzi pod nimi spoczywających w sposób bardzo przystępny.

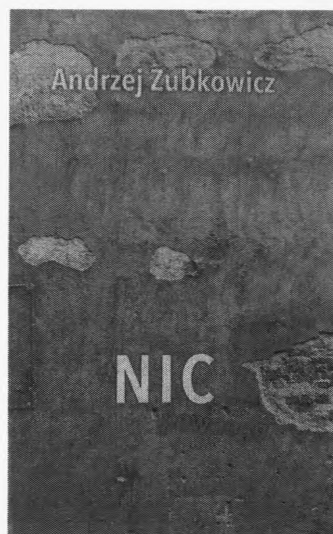
Janusz Ryszkowski



ŚWIAT, JAKI ZNAŁEŚ, UMIERA...

Andrzej Zubkowicz, Nic pewnego, Oficyna Retman, Dąbrówno 2023.

Mam już prawie pewność: w najnowszej poezji można znaleźć bardzo czytelne sygnały, że żyjemy w epoce, która nieuchronnie zmierza do swojego kresu. Oczywiście nie jesteśmy jedyną zbiorowością na przestrzeni dziejów, która czegoś takiego doświadcza, a zarazem daje temu wyraz. Wystarczy przykładowo sięgnąć do apokaliptycznych wizji biblijnych, francuskich (i naszych) dekadentów, przypomnieć Schopenhauera i Nietzschego z jego śmiercią Boga, katastrofistów od Jana Kasprowicza po Krzysztofa



Kamila Baczyńskiego. Trudno dokonać rekonstrukcji intensywności pokoleniowych przeżyć, ale chyba nawet intuicyjnie odczuwamy, że epokę, w której przyszło na żyć, realizuje projekty, które jeszcze 20 lat temu uznawalibyśmy jako naukową fantastykę. Teraz potrzebne są oświadczenia, że to co napisałem przed momentem i to co poniżej nie powstało przy udziale sztucznej inteligencji.

Andrzej Zubkowicz dwa razy w tygodniu publikuje na swoim profilu Facebookowym nowy wiersz. Zyskał spore grono odbiorców, zważywszy na malejące zainteresowanie poezją i niskowe nakłady wydawanych tomików. Symptomatycznie to określił jeden z bohaterów niedawno oglądanego przeze mnie filmu na Netflixie, którego bohaterami są „banksterzy”: Ludzie nienawidzą poezji, podobnie jak czytania tego, co jest małym druczkiem w umowach bankowych.

Zubkowicz unika małego druku. Właśnie ta otwartość na drugiego, dość szerokie uchylanie drzwi do własnego świata, bez jego zbanalizowania to kolejne dystynkcje jego poezji. Świetnie to pokazuje kolejny tom wierszy (220 stron) „Nic pewnego”. Nie mamy w książce utworów pogrupowanych w cykle, podążamy wiersz za wierszem, ale z poczuciem istniejącego uporządkowania, jakiejś idei nadrzędnej.

Omawiając w „Prowincji” poprzedni tomik Zubkowicza „W uchu pamięci” (2019) stwierdziłem, że jego bohater wciela się w figurę flâneura – spacerowicza przechadzającego się po mieście bez z góry oznaczonego planu, niezwykle przy tym chłonnego i uważnego, łącząc reporterski ogląd z poetyckim, wrażliwością i namysłem.

W najnowszej książce „Nic pewnego” ta postawa jeszcze mocniej dochodzi do głosu, ale ma także szerszą perspektywę. To już nie

tylko peregrynacje po własnym miasteczku, w przestrzeni realnej i zmitologizowanej, codzienności i historii, ale także inne miasta, inne kraje. Posłuchajmy:

*zimno –
mówi termometr zaokienny
co nigdy nie kłamie
może dlatego że alkohol
wydobywa prawdę na języki*

*chętnie zostalbyś w domu
popijając kawę
(...)*

tak się nie da

*nie da się życia dotykać
przez szybę
wybierając co przyjemniejsze
kąski codzienności*

*nie po to ono jest
i nie takie ma zasady*

*więc wychodzisz
i wszystko może się
wydarzyć*

(„Tak się nie da”)

Bohater tych wierszy jest w ruchu („Ruch to życie” – powtarza znajomy fizjoterapeuta). Aktywny w poznawaniu i zaznawaniu dookolnego świata, chce być z nim w kontakcie namacalnym, fizycznym, ciągłej interakcji. doświadczeniu go jako niespodzianki lub zadziwienia jego nieoczekiwanymi fenomenami. Podczas spaceru, patrząc gdzieś „poza [rzekę] Węgorapę”, dostrzeże nieżyjącą mamę. „w taki dzień/ nawet złudzenia/ są realne”. A przy tej płynnej rzeczywistości potrzebuje pewnych punktów oparcia. Gdy

dostrzega pustą ławeczkę, którą zasiedlali dotąd zawsze starzy bywalcy, rodzi się niepokój. Czy jest coś/ktoś, co/kto daje ugrunтовanie naszemu byciu?

To bardzo zastanawiające, że w tej obszernej objętościowo książce tak bardzo rzadko poeta przenosi nas w przestrzenie sacrum. Świat przedstawiony został w stanie znacznego zeświecczenia. Pojawia się jednak w tym poezjowaniu Zubkowicza, jak sądzę, pewna perspektywa postsekularyzmu. Jak pisała Karina Jarzyńska: „odkąd społeczeństwa zachodnie uznały świeckość za jeden ze swoich ideałów, odtąd istniały zjawiska bądź przeczące możliwości jego realizacji, bądź krytyczne wobec niego w imię innych, równie istotnych dla nowoczesności wartości, takich jak wolność, równość, poznanie, wspólnota czy człowieczeństwo, a przede wszystkim autokrytycyzm, czyli stała gotowość do refleksji nad własnymi założeniami”.

Posłuchamy w tym kontekście Zubkowicza. W wierszu „Za płotem” skrywa się podwójna tajemnica. Pierwsza, rodzinna: chrzest bez udziału rodziców (starali się być „od wiary z daleka”). udzielony bohaterowi „po zmroku” przez księdza mówiącego tylko po niemiecku (jest 15 lat po wojnie!), może więc ewangelickiego. W dzieciństwie bohater wymykał się na lekcje religii katolickiej, pokolorowany zeszyt z obrazkami dobra i zła chował przed rodzicami. W wakacje wujek czasem go „przemycał” na msze w wiejskich kościołach.

*może to z tego wszystkiego
moje zapatrzenie w każdy kościół po drodze
kapliczki przydrożne krzyże samotne
(...)*

*może to stąd
moja wiara dzisiejsza w istnienie sensu*

*w krętościach wędrówek najbardziej
pokrętnych
twoich moich
i każdego innego*

To ważny wiersz tomu „Nic pewnego”, dobrze naświetla, gdzie tkwi źródło poszukiwań najmniej chybotliwego gruntu (idei, wartości). Poezja ma być wstępnym rozpoznaniem, nie gotową odpowiedzią, raczej zaproszeniem do świata pytań i wątpliwości: jest po to, *by wędrować/ za spojrzeniem piszącego/ w jego dal/ a więc nie wiesz jeszcze dokąd* [„O wierszach”]. A przy tym jest poparta konkretem, topografią, reporterką czy socjologiczną obserwacją. Gdy opisuje dwie dziewczynki w wakacyjny dzień, siedzące na huśtawce i czytające książki, niereagujące na powiadomienia z telefonów, „martwi” się, co z nich wyrośnie. Nie pasują do otaczającej rzeczywistości. W „Nieciszy” obrazek przeciwny: komórka dla bohaterki to trzecie ucho i jak można się domyślać oko. Gdy wyczerpuje się bateria telefonu i nastaje cisza, pada pytanie „I jak tu dalej istnieć”. To nie tylko uzależnienie od social mediów, gdzie przeniosło się prawdziwe (dla wielu) życie.

„Świat jaki znałeś/ umiera” powie poeta w wierszu „27.02.2022”, który to opowiada o wojnie w Ukrainie. Odchodzi cała epoka.

Andrzej Kasperek

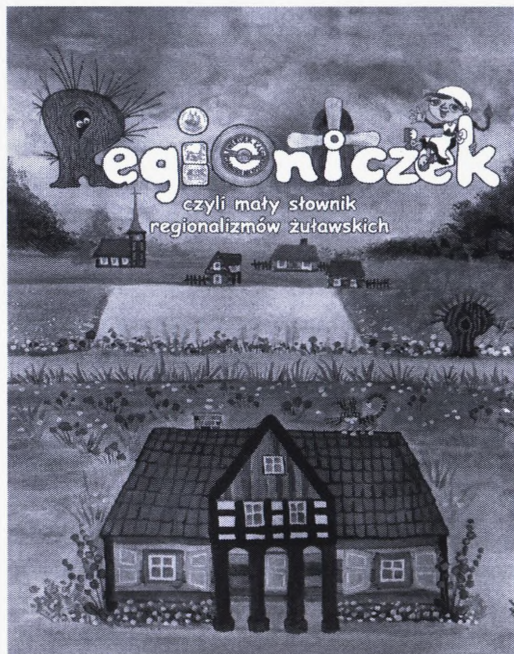


ŻUŁAWY DLA NAJMŁODSZYCH

Marzena Bernacka-Basek, Mariola Mika, Regioniczek, czyli mały słownik regionalizmów żuławskich, Nowy Dwór Gdański 2023

Powojenne Żuławy mają problem z tożsamością. W 1945 roku większość mieszkańców opuściła swój mały *Heimat* i obecnie płaski kraj jest zamieszkiwany prawie w stu procentach przez osadników i ich potomków. Często do dziś nie nauczyli się oni utożsamiać z tą ziemią. Jak w śląskim porzekadle, które dzieli ludzi na pnioki, czyli tych od zawsze zakorzenionych na danym terenie, na krzoki, a więc tych, którzy się przesiedlili i na ptoki, czyli na tych, co przyłecą i odlecą... Ciągłe za mało tu krzaków, za dużo ptaków. To, co dla górala, Kaszuba czy mieszkańca Podlasia jest sprawą oczywistą, co wyssał z mlekiem matki, a więc poczucie lokalności, zakorzenienie w krajobrazie i folklorze, Żuławiak musi dopiero sam zbudować. Ani dziadkowie, ani rodzice mu tego nie przekażą i to mimo tego, że Żuławy od prawie 80 lat są polskie.

Tym cenniejsze są wszelkie inicjatywy, które pozwalają budować lokalną tożsamość. Miejskowe instytucje i samorządy wiele robią dla rozwiązania tego problemu, na przykład Stowarzyszenie Miłośników Nowego Dworu Gdańskiego – Klub Nowodworski, jedna z najstarszych organizacji pozarządowych w Polsce, w swej deklaracji programowej głosi, że zajmuje się szeroko rozumianą działalnością związaną



z dziedzictwem kulturowym i historią Żuław, edukacją... Już w 1991 roku jego założyciele deklarowali, że dołożą „wszelkich starań, by uratować wszystko, co z bogatej przeszłości da się uratować. W równej mierze dotyczy to dziedzictwa niematerialnego jak i zabytków materialnych”. Klub wielokrotnie organizował szkolenia i kursy dla nauczycieli i przewodników skupione na poznawaniu specyfiki Żuław i edukacji regionalnej. A teraz przyszła pora, żeby swe wysiłki skierować do najmłodszych, żeby „skorupka nasiąkała za młodu”.

Marzena Bernacka-Basek i Mariola Mika od lat są związane z Klubem, także zawodowo, bo M. Mika szefuje od wielu lat w prowadzonym przez stowarzyszenie Żuławskim Parku Historycznym, a M. Basek pracowała w nim. Były one inicjatorkami powstania Dnia Osadnika, którego Jubileuszowa, X edycja, odbyła się 30 września 2023 roku. Niedawno ukazała się broszurka, której są autorkami: „REGIONICZEK, czyli mały słownik regionalizmów żuławskich”. Autorki wyjaśniają, że dziełko (28 stron) powstało „po to, aby w prostych dziecięcych słowach wyjaśnić, co znaczą terminy związane z Żuławami, takie jak np. dom podcieniowy, most zwodzony, tryfta, terp czy rów melioracyjny. Naszą misją jest aby już od najmłodszych lat uczyć małych Żuławiaków rozumienia naszej wyjątkowej krainy! Bo przecież „chronimy to, co kochamy, kochamy to, co rozumiemy, a co rozumiemy to, czego nas nauczono” (cytat: Baba Dioum)”. Nic dodać, nic ująć.

Książeczka jest napisana prostym językiem, który ma trafić do najmłodszego odbiorcy. Autorki dokładnie tłumaczą, skąd się wzięły domy podcieniowe i wiatraki, czym są poldery, wały przeciwpowodziowe i stacje pomp, dlaczego sympatyczne skądinąd bobry w naszym regionie są szkodnikami. Dzieci dostają wyjaśnienie, co to jest Depresja Marzeńska i Dzień Osadnika, kim byli mennonici. Broszurka jest ładnie ilustrowana; Maja Rausch czasem naśladuje styl dziecięcych rysunków, ale nie zawsze – jej rysunki często służą jako podstawa do zadań, które czytelnik ma wykonać. Bo nie ma tu tylko opisów; dzieci są zachęcane do rozwiązywania rebusów, wędrowania po labiryncie, wyszukiwania słów, rysowania i kolorowania... Ta interaktywność zmusza młodego czytelnika do angażowania

się, może go także skłaniać do pogłębienia zainteresowania poznanymi zagadnieniami. „Regioniczek...” choć przeznaczony dla młodych mieszkańców Żuław powinien trafić także do innych dzieci, np. tych, które przyjadą latem nad morze. Pochmurny dzień może być dobrą okazją do ruszenia na wycieczkę po żuławskiej nizinie. Wiem, że już niedługo na stronie Klubu Nowodworskiego będzie okazja do ściągnięcia wersji PDF tej książeczki.

„Regioniczek, czyli mały słownik regionalizmów żuławskich” wydano w ramach projektu „Językowe peryferia” współfinansowanego z programu Ojczysty – dodaj do ulubionych Narodowego Centrum Kultury.

Marta Koperska-Kośmicka jest architektką, absolwentką Wydziału Architektury Politechniki Gdańskiej, od 2011 roku prowadzi Pracownię architektoniczną TUGA STUDIO, jest adiunktem na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu – zajmuje się projektowaniem architektonicznym i planowaniem przestrzennym. Naukowo zajmuje się tradycyjną architekturą Pomorza, a jej praca doktorska poświęcona żuławskim domom podcieniowym została w 2016 roku wyróżniona nagrodą Prezesa Rady Ministrów. Dysertacja stała się podstawą do powstania dzieła „Dom podcieniowy na Żuławach” wydanego w 2020 roku. To „pozycja obowiązkowa dla sympatyków Żuław. Zawiera ponad 500 kolorowych fotografii i rycin na temat najbardziej rozpoznawalnych zabytków Delt Wisły – domów podcieniowych. To obszernie vademe-cum prezentuje historię oraz współczesność dawnych obiektów, przedstawiając je na tle wielobarwnej historii regionu”. Przytoczyłem ten opis i skonstatowałem, że nie napisałem jeszcze o tej książce. Czas to nadrobić. Podobnie jak te uwagi są odrabianiem



zaległości, bo traktują o „Raptularzu żuławskim” z 2019 roku.

Autorka poświęciła swą, liczącą 40 stron, książeczkę dzieciom. To interaktywny przewodnik po Żuławach. Czarnobiałe rysunki pozwalają im odbyć „wyprawę do bardzo tajemniczego miejsca w Delcie Wisły [...] [aby] wspólnie odkryć różne ciekawe rzeczy, które można tam znaleźć”. Raptularz przygotowano bardzo starannie – wystarczy rzut oka na spis treści, aby stwierdzić, że znalazły się tam wszystkie najważniejsze informacje o regionie, jego krajobrazie i roślinach. Znajdziemy tu opis wiatraków

i domów podcieniowych, czyli żuławskiego *must have*. A także: kolejki wąskotorowej, gmerków, laubzekinów i flizów. Aby pomóc czytelnikowi w odpowiedzi na pytanie Skąd jestem? Autorka zamieszcza model drzewa genealogicznego do samodzielnego wypełniania. Wspominałem wcześniej o wciąż aktualnej sprawie tożsamości mieszkańców regionu. Wypełnienie diagramu może pomóc młodemu czytelnikowi, ale także jego dziadkom i rodzicom, w rozwiązaniu tych dylematów. Wspominałem o interaktywności, bo to nie tylko obrazki i krótkie teksty. Znajdziemy tu także zagadki graficzne, zadania polegające na dorysowywaniu brakujących fragmentów ilustracji a nawet tworzenie zielnika, robienie wiatraczka, projektowanie gmerku i flizu. Na końcu zamieszczono mapę Żuław. Bardzo dobrze, bo pokazuje ona w formie ilustracji przypisanych do konkretnych miejsc, jakie skarby architektury, techniki i natury kryje ten mały skrawek Polski. Ta potrzebna i ciekawa książeczka, która wyrosła z miłości i fascynacji płaskim krajem, z pewnością zaciekawi małego i dużego czytelnika.

Książka powstała dzięki Stypendium Marszałka Województwa Pomorskiego dla Twórców kultury w roku 2019.

Noty o autorach

Wacław Bielecki – od 1947 roku mieszkaniec Nowego Stawu, a od 1974 roku Sztumu. Absolwent pedagogiki Uniwersytetu Gdańskiego. Pracował jako nauczyciel w Szkole Podstawowej w Nowym Stawie i asystent w Katedrze Pedagogiki UMK w Toruniu. W 1980/81 roku redaktor naczelny tygodnika „Sztumska Solidarność”, a na przełomie lat 1989/90 członek kolegium redakcyjnego tego czasopisma. Odznaczony Krzyżem Wolności i Solidarności. Dyrektor Poradni Wychowawczo-Zawodowej oraz szkół medycznych w Sztumie. Meloman, autor książki *Zapiski melomana z prowincji*.

Krzysztof Czyzewski – eseista i animator działań międzykulturowych; twórca Fundacji „Pogranicze” i Ośrodka „Pogranicze – sztuk, kultur, narodów” w Sejnach; redaktor naczelny pisma „Krasnogruda” i szef Wydawnictwa Pogranicze, w którym redaguje m.in. serie „Meridian” oraz „Sąsiedzi”. Autor książek *Ścieżka pogranicza* (2001), *Linia powrotu. Zapiski z pogranicza* (2008), *Małe centrum świata* (2017). Wykładowca m.in. Uniwersytetu Warszawskiego, Uniwersytetu Wileńskiego, New School University (Nowy Jork), Transregional Center for Democratic Studies (Kraków), Boston University. Laureat Medalu św. Jerzego, nagród A. Gieysztor i J. Giedroycia, nagrody Forum Ekonomicznego w Krynicy „Nowa Kultura Nowej Europy”. Laureat nagrody NEPTUNA, przyznawaną przez miasto Gdańsk.

Paulina Hoppe-Gołębowska – ur. w 1986 roku w Malborku, mieszkanka Sztumu od 2007 roku. Związana z fundacją Damy Radę, asystentka do spraw marketingu w Malborskiej firmie So Chic. W 2013 roku założyła blog pod nazwą Radość i Partyzantka. W 2021 przemianowała go na paulapisze.pl, gdzie w dalszym ciągu z dystansem pisze o codziennych sprawach.

Andrzej Kasperk – ur. w 1958 roku, absolwent polonistyki na Uniwersytecie Gdańskim (seminarium prof. Marii Janion), pisarz, badacz literatury, działacz opozycji demokratycznej (jeden z założycieli Niezależnego Zrzeszenia Studentów), doktor nauk humanistycznych; od 1985 zajmuje się pracą nauczycielską (Liceum Ogólnokształcące w Nowym Dworze Gdańskim). Nominowany do Finału Nagrody Literackiej Gdynia 2011 za książkę *Back in the DDR i inne opowiadania* (2010). Autor tomu esejów *Galeria Jacka Kaczmarskiego. Skrzydło wschodnie* (2013) oraz tomu opowiadań *Koronczarka* (2013). W 2018 wydał *Mój płaski kraj Żuławy*. Odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski (2012). Żuławiak od urodzenia.

Radosław Kubus – ur. w 1991 roku w Nowym Dworze Gdańskim. Absolwent historii i archeologii na Uniwersytecie Gdańskim. Specjalista ds. historii regionalnej w Bibliotece Elbląskiej, doktorant w Instytucie Historii UG. Swoje zainteresowania badawcze koncentruje wokół historii medycyny w epoce nowożytnej oraz dziejów prasy w I poł. XIX wieku.

Andrzej C. Leszczyński – urodził się w Chodzieży. Eseista, wykładowca akademicki, okazjonalnie nauczyciel licealny. Studiował pedagogikę i filozofię. Autor czterech książek i ponad 200 rozpraw i szkiców z zakresu filozofii człowieka, etyki, antropologii teatru. Promotor ponad stu prac magisterskich i licencjackich. Prowadził teatralne warsztaty komunikacji i ekspresji w kraju i za granicą.

Andrzej Lubiński – ur. w 1952 roku w Gniewie. Absolwent historii w UMK w Toruniu. Prezes Towarzystwa Miłośników Sztumu. Publikacje w „Komunikatach Warmińsko-Mazurskich” „Studiach Elbląskich”, „Roczniku Elbląskim”, „Prowincji”, „Z dziejów Sztumu i okolic”. Autor książki *W ich smach powracała Polska*. Mieszka w Sztumie.

Alicja Łukawska – ur. w 1959 roku, absolwentka filologii polskiej Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Bydgoszczy, później pracownik naukowy tejże uczelni, dziennikarka prasy lokalnej i krajowej, autorka książki *Duchy Kresów Wschodnich* wydanej w 2018 roku w wyd. von Borowiecky, współautorka książki *Córka organisty. Wspomnienia mieszkanki Pomorza*.

Sergiusz Tomasz Mizera – ur. w 1994 roku, Kwidzyniak. Absolwent I LO im. dr. Władysława Gębika w Kwidzynie oraz Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Gdańskiego. Ukończył aplikację notarialną przy Izbie Notarialnej w Gdańsku. Obecnie słuchacz Instytutu Kultury Polskiej. Od najmłodszych lat związany z teatrem. Instruktor teatralny Kwidzyńskiego Centrum Kultury. Twórca Grupy Teatralnej „Sotie”. Reżyser, scenarzysta, aktor, pisarz. Miłośnik muzyki i sportu. Jego debiutem poetyckim były *Przemijania* z 2018 roku, które ukazały się nakładem Wydawnictwa Uniwersytetu Gdańskiego. Publikował także w „Schodach Kawowych”, następnie w kwartalniku „Prowincja” i aperiodyku „Errarte”. Ujęty w Antologii Poetów Ziemi Kwidzyńskiej. Prezentowane wiersze opublikowane zostały w jego najnowszym tomiku poezji *Bezgwiezdna i inne opowiadania*, wydanym w październiku 2023 roku, nakładem gdyńskiego wydawnictwa Kreativer.

Piotr Napiwodzki – ur. w 1972 roku w Jeleniej Górze, teolog, filozof, tłumacz, były dominikanin. W 2005 obronił doktorat na Uniwersytecie we Fryburgu Szwajcarskim. W latach 2006–2010 rektor Kolegium Filozoficzno-Teologicznego Dominikanów w Krakowie. *Ostatnio* w Bibliotece Prowincji wydał *Małe obrazki, proste scenki. Powiślańskim szlakiem Wilhelma z Modeny i losy całkiem współczesnych osadników* (2020). Od 2010 mieszka w Koślinie koło Sztumu.

Grażyna Nawrońska – ukończyła archeologię na UAM w Poznaniu oraz dwuletnie Studium Podyplomowe Ochrony Zabytków na Uniwersytecie Warszawskim, a stopień doktora uzyskała na Uniwersytecie we Wrocławiu. Pracowała w Muzeum Archeologicznym w Gdańsku, Pracowniach Konserwacji Zabytków Oddziały w Zamościu i Gdańsku oraz w Muzeum Archeologiczno-Historycznym w Elblągu. Od 1980 roku związana z Elblągiem. Wspólnie z mężem Tadeuszem rozpoczynała prace archeologiczno-architektoniczne na Starym Mieście, a po jego śmierci kierowała i prowadziła dalsze badania. Jest autorką kilkadziesiątu publikacji naukowych w kraju i zagranicą, uczestniczką licznych konferencji, organizatorką wystaw i redaktorką książek, a także popularyzatorką przeszłości Elbląga. Działa w Polskim Towarzystwie Historycznym, Stowarzyszeniu Naukowym Archeologów Polskich i Stowarzyszeniu Miłośników Truso.

Wiesław Olszewski – ur. w 1957 roku. Absolwent Akademii Rolniczo-Technicznej w Olsztynie, rolnik. Inicjator reaktywacji struktur Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego w Nowym Dworze Gdańskim. Przewodnik po Muzeum Stutthof oraz Muzeum Zamkowym w Malborku.

Katarzyna Rozmarynowska – od 1985 roku była związana z Wydziałem Architektury Politechniki Gdańskiej. W latach 2010–2021 jako posesor nadzwyczajny związała się z Wydziałem Architektury Krajobrazu Sopockiej Szkoły Wyższej. Jest ona autorką licznych opracowań projektowych oraz kilkadziesiątu publikacji naukowych i popularnonaukowych, w większości dotyczących zabytków zieleni oraz wydanej w 2011 roku monografii pt. *Ogrody odchodzące...? Z dziejów gdańskiej zieleni publicznej 1708–1945*. Jej zainteresowania zawodowe obejmują architekturę, urbanistykę i architekturę krajobrazu oraz historię i teorię sztuki ogrodowej

Janusz Ryszkowski – ur. w 1955 roku w Opaleniu. Ostatnio opublikował tomik wierszy *Stacja przedostatnia* (2014), *Morawscy – pięć pokoleń i pół. Patchwork historyczno-literacki z Powiśla i Kociewia* (2014), redaktor książki Józefa Borzyszkowskiego i Marka Stażewskiego *Dzieje Sztumu 1806–1945* (2014).

Ryszard Rząd – ur. w 1958 roku, historyk, absolwent KUL. Pracownik Muzeum Zamkowego w Malborku. Autor szeregu publikacji poświęconych dziejom odbudowy zamku w Malborku na przełomie XIX i XX wieku.

Leszek Sarnowski – ur. w 1959 roku w Barcinie na Kujawach. Absolwent historii Uniwersytetu Gdańskiego. Współpracował z „Gazetą Wyborczą”, „Dziennikiem Bałtyckim”, „Radiem Gdańsk”, „Radiem Plus”, „TVP Olsztyn”, „TVP Gdańsk”. Redaktor naczelny „Sztumskiej Solidarności” i „Gazety Sztumskiej” w latach 1989–1993. Pomysłodawca, wydawca i redaktor naczelny kwartalnika „Prowincja”. Autor książki *Sztumska droga do wolności* (2017) oraz *Ocalona pamięć. Żydzi na ziemi sztumskiej* (2018).

Mariusz Stawarski – ur. w 1961 roku. Absolwent Wydziału Architektury Wnętrz Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Gdańsku. Od 1990 roku pracuje w zamku w Malborku, gdzie zajmuje się wystawiennictwem i grafiką użytkową. Od 1986 roku zajmuje się malarstwem liryczno-groteskowym, wystawianym i nagradzanym w wielu krajach i zagranicznych konkursach. Mieszka w Malborku.

Marek Suchar – z wykształcenia psycholog oraz absolwent studiów z zakresu judaistyki i archeologii biblijnej, nauczyciel akademicki na sopockim Wydziale Uniwersytetu SWPS w Sopocie. Autor czterech książek i licznych artykułów poświęconych historii i teraźniejszości Jerozolimy. Ostatnio ukazała się drukiem jego powieść *Kwadrat jerozolimski*.

Agnieszka Świercz-Karaś – absolwentka Uniwersytetu Gdańskiego. Od początku kariery zawodowej związana z samorządem i lokalnymi mediami. Wieloletnia redaktor naczelna „Nowin Gniewskich”, współpracowała m.in. z TVP i Wydawnictwem Pomorskim. Obecnie zatrudniona w Starostwie Powiatowym w Sztumie i zaangażowana w tworzenie nowego wydawnictwa „Dzień Dobry Powiat Sztumski”.

Łukasz Walendziak – ur. w 1983 roku w Gdańsku. Pisze o sobie: „W 2015 roku stałem na skraju przepaści. Limit głupot, błędów i porażek już wyczerpałem. Za mną były spalone mosty a dookoła zgłiszcza. W akcie desperacji zdecydowałem się na ucieczkę przed samym sobą. Bilet w jedną stronę do Nepalu. Z perspektywy dnia dzisiejszego, śmiało mogę jednak stwierdzić, że cały ten trud nie poszedł na marne. Były to korepetycje w zakresie odpowiedzialności, samodzielności, radości życia czy poczucia własnej wartości”.

Arkadiusz Wełniak – ur. w 1973 roku, historyk archiwista, genealog. W latach 1999–2011 kustosz i kierownik Oddziału w Archiwum Państwowym. Od 2011 roku pracujący w branży usług archiwalnych, dokumentacyjnych i genealogicznych, w międzynarodowej firmie GEN Gesellschaft w Berlinie. Aktywny członek Towarzystwa Genealogicznego Prus Wschodnich i Zachodnich. Publikował m.in. na łamach „Rocznika Elbląskiego”, „Przeglądu Zachodniego”, „Archeionu”, „Archiwisty Polskiego” oraz periodyków genealogicznych w Niemczech. Zainteresowania naukowe koncentrują się wokół problematyki polsko-niemieckiego pogranicza w XIX i XX wieku. Praca doktorska dotycząca kwestii migracyjnych, demograficznych i społecznych Elbląga w latach 1945–1950, obroniona na Uniwersytecie Gdańskim. Miłośnik muzyki, twórczości Günтера Grassa i literatury współczesnej.

Radosław Wiśniewski – ur. 1974 roku. Absolwent psychologii Uniwersytetu Jagiellońskiego. Mieszka w Kielczowie, pracuje we Wrocławiu., związany z Brzegiem. Pisze wiersze, publicystykę, prozę, krytykę. Autor między innymi: *Inne Bluesy* (2015), *Psalm dla Św. Sabiny* (2016), *Dziennik Zenona Katuży* (2017). Współzałożyciel Stowarzyszenia Żywych Poetów w Brzegu, redaktor naczelny ex-kwartalnika „Red”, współpracownik „Odry”, „Studium”, „Undergruntu”.

Piotr Zawada – pasjonat historii, w szczególności epoki napoleońskiej. Z wykształcenia ekonomista, posiada też licencjat z historii. Od 2002 roku w polskim ruchu rekonstrukcyjnym doby epoki napoleońskiej – dowódca Pułku 12 Piechoty Księstwa Warszawskiego z Gdańska. Autor *Sojusznik czy wróg? Armia rosyjska w kampanii galicyjskiej 1809 roku* (2009) oraz *Victor za Blüchera. O marszałkach epoki napoleońskiej związanych z polskimi ziemiami* (2020).



**PRACE PLASTYCZNE
ANNY ALBRECHT**



